7683

Konstanty Hr. Górski

Artykuły okolicznościowe literackie
i ~~krytyczne~~ pośmiertne
drukowane w „Czasie"
i innych periodykach

Odpisy

USN
2921

Czy drukować?

może jakie wyjątki?

Cras z niedzieli 5 Października 1896.

W sprawie Krytyki.

Od jednego z naszych współpracowników, który nie chce na razie nazwiska swego zmienić, otrzymaliśmy następujące pismo:

Szanowny panie Redaktorze!

Artykuł, zamieszczony w Nr. Czasu z dnia 3 Października 1896 roku, a noszący tytuł: „Krytyka krytyki" — wywołał we mnie, bardzo radosne uczucia. Może też nastanie czas — tak mówiłem dziś sam do siebie — czas, gdzie nietylko w całej Europie, ale i u nas będzie wolno szczerą prawdę wypowiedzieć, gdzie publiczność zrozumie, że sprawozdawca artystycznych produkcyj nietylko nie powinien kłamać, ale kłamać nie może.) — — — — — —

Zgroza w codziennem życiu pętnuje jemy pogardą na jadowite podszepty robaków pióra, gdy do dziennika, na byle zdarzenie na zgorszenie?

Po cichu szepcą sobie wszyscy, że koncert pana X. lub pani Y. był znowu bardzo lichy, albo nudny, — — — —

Na linii A — B mówi się głośno o niepowodzeniu. — Biada jednak dziennikowi, który ogólne zdanie w tamach swoich umieści. —

Przed dwiema laty, kiedy wielki hiszpański artysta wiedeńskiego teatru wystąpił u nas jako deklamator, brukowe, nieistniejące już dziś pismo

dowiodło, że „jakiś pan Lewinsky" przyjechał wytrudzać pośrédzie pieniędze. —
Ale niech przyjedzie jaki zmatnowany zmanierowany posłaniec aktor, jaki mówca bożka z pacanowa, wszystkie dzienniki zadrze o puszon reklamy. —
„Patryotyzm" pewnych gazetarzy polega na systematycznem batamuceniu opinii. —
Nie znam się na muzyce i nie piszę nigdy recenzyi z tego zakresu.
Zdawałem natomiast sprawę z literackich, artystycznych i malarskich produkcyi. — Wypowiadałem zawsze moje własne, subjektywne zdanie; nie lubię używać wyrazu „my", odzywać się w imieniu kół znanego ogółu. — Mówię zazwyczaj „ja", wystąpię jako pierwszy lepszy pan z publiczności, który dalszego bytu nie pisze, że interesuje się sztuką żywiej od innych, że bada jej objawy jednostronniej i płytniej. — Od pisarzy i artystów, których powołałem sobie krytykować, domagałem miary dowodów uznania, szczerości za szczerość. — Ja sam próbuję czasem się jako artysta i chciałbym się wtedy od publiczności, do recenzentów dowiedzieć, czy mam iść dalej na tej twórczej drodze. — Nie dziwię się więc, że na moje bezstronne uwagi odpowiadano niekiedy zirytowaniem i pocreinie. — Dziwiło mi się nawet raz, że artysta, którego dzieło pokrytykowałem, dał mi delikatnie do zrozumienia, iż pomimo niechęci krytyka do twórcy,

może istnieć zgodność człowieka do człowieka. + Była to piękna chwila w mojem życiu, chwila, w której, pomimo, że zdawcy Kraków leży w Europie. — Ale po co to! Ileż miłości, ileż nienawiści wywołały moje szczere recenzye! Ile brutalnych anonimowych listów odsyłałem w ciągu kilku lat, w których pisywałem sprawozdania!

Nie mam nikomu za złe, że przy lawiny niepochlebne recenzye swego dzieła, zachmurza się i obrazy. Pragnę tylko, aby każdy zgłaszający artykuł zadał sobie na jedną, krótką minutę pytanie, czy ten jego przedmiot pisma nima przypadkiem racyi? — ....

Obóz doświadczenie podaje mi pod tym względem następujące statystyki: Na dziesięciu debiutujących pisarzy, beletrystów lub uczonych, znajdzie się jeden, który przez chwilę przypuści, że jego praca nie jest arcydziełem. —

Mnie, krytykowi, wystarcza to zupełnie. —

Na sto artykułów dramatycznych dany się jeden szczery, głęboki, dobrze rozwarzał, czy zarysy, które nam stawiają, nie są pozbawione pewnej oryginalności.

Na tysiąc nadany, nie wypadnie — o ile wiem, ani jeden artykuł dość objektywny, aby zrozumieć, że najpiękniejszy pomysł może być niezrozumiałym dla osób niewtajemniczonych i obcych, że tego może nie sprostać,

nie odpowiedzieć zadaniu.
Muzyków nie znam, Szanowny
panie Redaktorze. Lecz jednak, że
trzeba między nimi rozróżnić dwie
grupy: kompozytorów, pełnych nieco
dziecinnej prostoty i wykonawców.
Ci ostatni zdają się zawsze czekać na
„brawo". — Kiedy malarz wystawi swe
dzieło, nie chodzi mu o to na wystawie,
nie podsłuchuje co mówią o
jego obrazie. + Poeta lub powieściopisarz, pisarz, pisze na świat swój tomik
i czeka, co świat powie. +
Aktor, prawdziwy aktor, żyje
w atmosferze, gdzie Molière lub
Shakespeare, Becque lub Hauptmann
wytworzył; rampa dzieli go od
publiczności; ona nie jest sobą, nosi
perukę, przywdział strój obcy, jak
przedewszystkiem literacki pozór.
Gra z pianistą i śpiewa z
kimś, inaczej się ma rzecz z dekoratorem na estradzie.
Im trzeba oddechu, aby mogli
dalej grać, śpiewać, wzrok wyszukać. + I nikt nie ma tyle
co oni wrażliwości. +
Przed dziełem dobrym wykonawca
krytycznie, jak z mieczem, jak
z gruntu fałszywym — jest trudniej
o sądzenie trudnej i ciężkiej krytyce.
Aby się odważyć na wypowiedzenie zdania o cudzem dziele, trzeba
coś czuć samemu, być twórczym
artystą. —
U nas zadanie krytyka jest przykrzej-

nie w każdym innym kraju.
Nie wolno nam dziś o wyższych
poziomach artystycznej produkcji,
musimy z obowiązku chwalić,
musimy dramat — byle chwalić.

W przeciwnym razie zamyka się nam
brak obywatelskiego poczucia. —
Niema jednego w polskim dzisiejszym życiu,
dobrego pojęcia, że tylko ~~prawdziwe~~
prawdziwość warą, że w ogóle
w życiu istnieje tylko — prawda.

Słusznie przytaczał napróżno
ustęp z pisma: et veritas libera-
bit vos. Milczą, przerażeni i
prawdy nie przeniknęła do tej
naszej zgorszonej zdrowi.

Szanowny panie Redaktorze!
Niechaj pan zechce pomieścić je
w swoim dzienniku racy przy-
jęć niniejsze uwagi, wywołane
artykułem o „krytyce krytyki";
niechaj pan zechce pomieścić
je w swoim dzienniku. —
Być może, iż zresztą, osobiste
moje wyznania, wydadzą się
panu, zbyt śmiałemi.
Wtenczas, gdyby do Szanownej pana
uznał za zbyteczne, proszę ogłosić
zaś imię i nazwisko autora
tych rozkładek, a tym samym i
wiernego pańskiego przyjaciela
i sługi.

Ahasverus.

Bez 2 środy 8 Kwietnia 1896 r.

Dom Beethovena.

Kiedy przed dwoma przeszło laty powstała u nas myśl stworzenia domu Matejki, powoływano się na podobne, istniejące zagranicą, na Casa-Buonarotti we Florencyi, na Dürer-Haus w Norymberdze. — Wymieniano również salzburgskie Mozarteum, ale zrzadka i jakoby niechętnie. Bo w istocie tylko plastyczni artyści, prosząc się o ten rodzaj pośmiertnego hołdu, o izby, pełne oryginalnych dzieł, albo przynajmniej wiernych reprodukcyj, rzadychaw, położonych cny odciwoi. — Casa-Buonarotti i Dürer-Haus mogą dochodzenie przedmiotów do dni dzisiejszych i powabnych studyów. I ten i tam widzę na ścianach prace, zdolne przyciągnąć turystę, zainteresować go i nauczyć. Wyszedłszy z tych dwóch małych muzeów, czuję wtedy, że mogę się bliżej zapoznać z twórczością wielkiego artysty. — Trzeba tymczasem dawną potrzebę kompozytora lub poety, trzeba się z nim zżyć, przywyknąć do niego, aby w ogóle pojąć oględność jego nierzadnie i pozorne po nim wspomnienie. — Kto nie czuje Jerozolimy wyzwolonej, nie ma po co odwiedzać podwórka

Torquato-Tassa w Rzymie, w Don Orsorio. — podobnie się mu rzecz z Dz. mennymi muzykami. — posiadają oni wprawdzie dla wielbicieli danego artysty, dla gromady wiernych mu dam, przemawiają jedynie do wybranych. ++ Obcy, obojętny człowiek niczego się tam nie dowie, nie nawróci się do kompozytora. Stojące wprawdzie mumie instrumentów nie dzwonią, nie rozbrzmiewają jednak pięknie. / / /

wzruszono pana Oderwa — i odwaru znalazły się pieniądze, pozyskały się dary.
Cesarz Wilhelm II ofiarował podarek kompozytora, trzebki akustyczne, dzięki których dosłyszy głuchota pod koniec życia, używał. Złożono pokój instrumenta, umyślnie do niego sporządzone, np. portepian wiedeńskiego fabrykanta Grafa, skrzypce, altówki, violoncelle, na których pod kierunkiem autorki wykonywano jego kwartety. Na ścianach domu, który trzeba było do dawnego stanu przywrócić, wiszą dziś portrety mistrza, jego krewnych i bliskich. Jest między tymi obrazami portret dostojnej i przyjaznej kobiety opatrzony na odwrotnej stronie podpisem następującej dedykacji: „Wyjętkowemu geniuszowi, wielkiemu artyście, dobremu człowiekowi."

Czyżby nie można gdzieś wypisać tych słów w Kwadratowym Domu Malejki? Najwybitniejsi, najmożniejsi ludzie w Niemczech dopomogli słowem lub ofiarą innej inicjatywy. — Tak samo było i u nas. Ledwo pomyślano myśl, aby kwóstę „Sztuki" uczcić godnym i głębiej pojętym pomnikiem, pomnikiem bardziej trwałym od marmurowego grobowca, zgłosili się, z dawnej dostojnicy środowisk, przywódcy artystycznych kół, przedstawiciele kojnej warszawskiej publiczności. — Tutaj się jednak podobieństwo urywa. — Na Pomniku w Bonn stanęło zaraz całe społeczeństwo, artyści pozyskały się ze wszystkich

stron swoją; z każdego niemal niemieckiego domu, gdzie miewają grywają Beethovena, a nie wszystkim u nas wiadomo, ile jest takich domów — przeto stanowiby dwadzieścia tysięcy pieniędzy — na pamiątkowy dom objęty. Nie dziwota mnóstwo melodramów, ale naród zgodował Beethovenowi też pomnik. Czy inicjatorowie Madejkowskiego mu czemu mogą to samo o naszem zgoła teatrze powiedzieć? ...

Jedynym radosnym u nas objawem są dary, nieraz bardzo serdeczne, ale bardzo rzadkie widzieć, dary ze strony małych gmin miejskich i wiejskich. —

Ale wróćmy do Bonn, dodajmy przegląd, o którym dziennikarz nie wiedział. +++ Wielbiciela Beethovena siostra zbytniego niemieckiego profesora, postanowiła zdobić rodzinny dom obrazy, jakimś pejzażem, allegorycznym obrazem. + Udała się w tym celu do malarza Grellschap'a, znanego z dzieł nieudanych, w berlińskim arsenale. + Miałem w ręku szkic tej kompozycji. + Nad kolebką przyszłego muzyka stoją, jakby dwie wróżki, dwie kobiece postacie). +++!!. (Jedna z nich jest Muza, dziewica ze skrzypcami, druga — to wierna towarzyszka jego życia, Niedola. !+++!. Malarz podjął się pracy, ale postawił warunek. ++ Niech on zapłaty za dzieło, pragnie je ofiarować do zbioru, do muzeum pamiątek.

159.

Wielbicielce Beethovena, nie pozwolisz mi prócz prawa zachwycenia wspaniałych rzeczy do obrazu. —
Szczęśliwej Wiosny, ofiarnej i bogatej! —

Vaneri.

Orel z Soboty 4 Lipca 1896.

Fantazmagorye.

Miałem niedawno prydry sen. Zapiszę go, bo sądzę się, że był to sen proroczy. —

Chodziłem po moim starym Krakowie, ale zdawało mi się, że jest w nim wiele rzeczy nieznanych i nowych. — Po ulicach szły pędem elektryczne tramwaje, a na placach biły strzegi wody z publicznych studzien i fontann. — Zrozumiałem, że zaprowadzono jéż wodociągi, że żyjemy nadewszystko dziesiąte stolecie XX wieku. —

Na przegnieć nie zwróciono bynajmniéj. Kiedy z wieży marjackiéj otrębiono południe, postanowiłem zajść, starym zwyczajem, na wyborne Sowańskie dwa dzbanki piwskiego. — Ruszam bowiem, że jest to poranek niedzielny. Poznałem go odrazu... czy z jéj wieży, po czem go poznałem? Może po zbiorowisku osób, wracających z mszy, z kościoła do mieszkania na rynku. — Może po ubraniu świątecznych ludzkich robiących. — Może po dźwięku biegłych chóralnych zakrystian i chudych czerwonych, śpiewających — A może po prostu nieruchem dnia dzisiejszego, radosnego nastroju, który w świąteczne dni, na dni wypoczynku, ogarnia i matkę i ogrodnicze miasta. —

W Sukiennicach to jasny ranek. Tłumy zebrane

Gracchen.
I może by nie było zapamiętała jego słów, gdyby w powietrzu nie było tyle błogiej pogody, tyle ochoty do życia, tyle nadziei.
Po drodze zadawałem sobie pytanie, czy nie też towarzystwo sztuk pięknych jeszcze istnieje? czy apatya jednych, wichrzycielstwo drugich nie zabiły przypadkiem starej instytucyi?
W Salzburgu nie zastałem wystawy, wystawiano mi natomiast nowo zbudowany, budynek obszerny, a jednak pod względem architektonicznym niedostateczny. Na dzisiejszą nie byłoby nawet myśli, aby coś godnego pięknego wystawiono w Wiedniu. Od czego mamy audytoryum, komisye, sądy znawców, od czego, by zwalczać opinię publiczną osobiste względy i gazetki? Ale we mnie wierzy się we wszystko, co się widzi.
W audytoryum do gmachu. Na ścianach pastele francuskie, węgierskie, amerykańskie obrazy. Po środku zaś wodne pozegi, namiastkowane i wodne. Jedynie publiczność mogłaby być potrzebą, ale niezbędny publiczności nie było. —
Zapukałem do drzwi kancelaryi. Otworzył mi zdziwiony pan Severyn Böhm, sekretarz towarzystwa.
— Jestem dawny czas korespondent rzeczem — przybywam tu po wiele

tułach nieobecności. — Powiedzcie, co się stało? Gdzie się potrzeć malane? Gdzie cała nasza artystyczna produkcja? —

Pan Böhm uśmiechnął się zrazu, ale po chwili przybrał spodziony, urzędowy wyraz twarzy. —

— Jakto? — rzekł. — Gdzie produkuje, Pan chce na tę publiczność publikacyę. —

Na stołach kancelaryi leżały ilustrowane wydania wszystkich poetów pisarzy od Reya do Klicziana: dawne drukki, czarnoksięskie, chronologiczne i nowsze dawne drukki i platynotypie. —

Cały szereg rysunków odnosił się do dzieci Powiatowego i do sceneryi wybranych, do nieznanych dotąd poezyi Cypryana Norwida.

Pewny cykl objaśniał kompletnie dzieła Sołtyka Rozbickiego. —

Tu i owdzie pantarmagoryczne nowochrześciańskie, alegoryczne Madonny odbijane na zielonym papierze.

Ani jednej nieszczęśliwej adwokatury, ani jednego szkicu. — Wszędzie śladu obserwacyi, zamodnienia życia. — Czasem, jakiś szczęśliwy dotknął ilustrowanie dziwacznie ludowe podanie, bo wszystkie prorocze i szczere legendy wyczytał już wtedy.

P. Böhm wstał, jak poprzednio, tem i rzekł:

— Odbiję Stachiewicza, dwory, swoje

Madonny, potrafią namalować jedynie te ilustrowanie dziecinnych, budnych lub podejrzanych.
— A druga połowa?
— Malują panoramy.
— ?!
— Tak jest, panoramy. Jedź pan dziś od Gdańska do Zakopanego i od Poznania do Wilna, to każdemu miłośnikowi ujrzy pan takie rozkoszne, cudowne malowidło. —
— To niepodobna!
— Ja jednak mówię prawdę.
— Nie wierzę! Jacek Malczewski...
— Siedzi w Londynie, robi dyrygent widok Sybiru według wskazówek Riemana.
— A Chełmoński?
— Związał się z Rapackim i pozostałym. Pierwszy z nich wziął na siebie zagony, drugi chałupy pod Warszawą. — On zaś maluje niebo na górze i rozpościera nieruchomie trzema kubłami błękitnej farby. —
— Czy i Wyczółkowski taki upadł?
— Wcale nie upadł. Traktował z nim magistrat w sprawie, ale on wolał jechać do Quedlinburga, gdzie pracuje nad odtworzeniem widoku dawnej krypty romańskiej. —
I tak sekretarza padały same podobne nowiny. —
Wachowski ograniczył się do portretów, do sali wiedeńskiego parlamentu

[illegible] Deputowanych.
Włodzimierz Tetmajer maluje wybór
prosto z mniejszej wsi. —
Lenz i Badowski uwieczniają
panoramą Warszawę. — wybrany
pomysł! Po ulicach na wyścigowych
alejach zgromadzili najgłośniejszych mieszczuchów
Krakowa, ostrożnie kluby myśliwskie,
pierwszy kadryl balowy.
Ze strachem zadałem jeszcze
jedno pytanie: co słychać o Krakowskiej szkole rzeźb pięknych?
Odpowiedziano mi:
— Niema jej — i to oddawna.
Czyż uczniów pracuje dla widzów
starego nadbadego i rysuje z głowy
galerycz kobiecych piękności. —
Inni wymagali pilny cyrk przy
ulicy Dietlowskiej i wprawiają
się w malowaniu panoram. —
— a dyrektor, a Fabak?
— Siedzi na wsi i robi studya z
natury. — przyjeżdżają po nie
amatorzy i kupcy z Berlina, z Monachium i z Paryża.
Ale u nas, jeżeli się nikt o sztukę swoją
pracę nie zapyta. — Wielcznie ludzie,
którzyby w kraju mogli kupować
obrazy, wolą umieszczać kapitały
w przedsiębiorstwie jakiejś panoramy.
— Cóż więc dajecie, wy Towarzystwo,
cóż dajecie swoim członkom, jako
premię?
— Reprodukcye obcych, a zwłaszcza
dawnych malarzy. — Trochę Böcklina,

N.

Hoche Halsa, Velasquera i — czy
pan zgadnie? najwięcej Rafaela.
- - - -

Czas z Soboty 10 października 1896 r.

Paryż 5 października.

(A. H.) Wiele codziennych spraw, dużo drobnych wydarzeń zajmowało od dwóch tygodni wyobraźnię ludności Paryża. + Dzisiaj też, mielibyśmy niewątpliwie prawo potrącić o różne artystyczne i literackie kwestye a jednak nie wolno nam dziś tego uczynić. Mówić dziś o czemkolwiek innem, jak o przyjeździe cara, znaczyłoby tyle, co dobrowolnie odbarwić, zgadnąć obraz chwilowego Paryża. Bo miasto, zwane stolicą światła, pragnie od dziesięciu dni wytężenie nadaremne, aby nie świecić, ale olśnić. + La ville lumière zdaje się stolicą ogni sztucznych.

Dziś, gdy to piszę, zdaje się jeszcze zwycięża rudawa wielkomiejska dnia powaga nad wieżami katedry. A wieczór zaprowadzi, jak co dnia, ciemność ponad stolicę. Chorągwie zniknęły w pomroce, a miliony lamp i weneckich latarni nie zapłonęły jeszcze. — Ale jutro, jutro zamigocą się setki ulic w obfitości smug różnobarwnych świateł i dnia, co się już od kilku dni ciśnie po bulwarach, bystrzeje się błyszczy i drzewi. —

Wszystkie dyrekcye kolei żelaznych zmówiły ogromnie ceny biletów jazdy i według obliczeń najpoważniejszych dziennikarzy, ludność miasta zwiększy się na te dni o siedemdziesiąt kilkadziesiąt tysięcy. Taki przypływ grozi się nawet

w parcu. — Dworcowej nie mamy już nikl o miejscu do omnibusów, a kolorki, chodzące po ścieżkach, ujrzawszy się pod ciężką podróżnych, chociaż nie otrzymawszy pasażerów, dziwnie na nie wstępu. — Trzeba czasem cieszyć dość długo, aż nas jakiś parowiec zechce wziąć na pokład.

Publiczność mieszana, że w dniu jutrzejszym będzie jeszcze trudniej zmieścić dekoracyę miasta i długo spiczastą obejrzeć ulice, pełne flag, maszt o maszkach powiewających, place, portale ściśniętych ciągnących się zmurszy bieżących i kolorowych łańcuchów, gdzie jutro zapalą się światła. — Co będzie widzianym dla niewiele, bo ulice, którymi mam jechać, będą chwilowo zamknięte dla publiczności. Ujrzę go tylko szczęśliwi właściciele odzieży, o które się teraz wszędzie projektowanego przejazdu ubiegają ludzie majętni. — Widzę o mieszkaniu, które kosztuje pięć rocznie, trzy tysiące franków; za wynajęcie odzieży dano mi dziesięć tysięcy. — Na Avenue des champs Elysées widziałem wiele parterowych sklepów, zamienionych na trybuny, których dzierżawę sam obrót kurek ludzkich. — Ale, jak mówił mi pewien jeden z ludzi wybitnych dziennikarzy, wolno jest czasem

szalei Paryżowi. — I możeby kto
dodać z poetą:

recepto
Dulce mihi furere est amico.

Nie moja wina, że ja lepiej znam
Horacego. — Gdyby mój francuski
kolega po piórku przypomniał
sobie, że zdanie, byłby je może
pomieścił w artykule, bo dotąd
tylko jeden Łacinizdi wydał
Horacego we wszystkich humorystycznych i poważnych pismach,
wydał, tworzący dość zabawną
gry słów:
o rus! o Ruse! quando te aspiciam!...

Francuzi muszą bowiem zrobować,
nawet teraz. — Pisma i pisemka
są pełne insynuacyj na przyszłego Faure'a. — Jedno z nich
wyrzuca mu monarchiczne
ambicye, chęć otoczenia się
królewskim zbytkiem, a to
dalszego, że służbę, pomieszczoną
w pociągu, którym wczoraj wyjechał do Cherbourga, miał ubrać
w bogate liberye. — Rozpędzi
się obelgi, pewien dziennik
wspomniał, o „matce piastującej,
matce ujętej całej rzeczypospolitej!
Drobna prasa rozniosła po świecie
wiadomość o Felicie Faure —
samodzierżcy. — Tymczasem biedny
prezydent nie sprawił swoim bliskim
żadnego kolorowego stroju z galonami:

wyjechali w Cherbourgu w celu
samym czarnym fraku, jak on
sam, przedstawiciel Francyi.
Zrównali się przed carem. Wtaicz
nie powinniby byli wszyscy
razem wdziać liberyę. — Redaktor
humorystycznego pisemka Le
Grelot poparłby moje zdanie
przed trzema tygodniami pomieściwszy
on bowiem ciekawy rysunek [illegible]
Przed mauzoleum, przedstawiającym
Rozjanina, dostojnicy francuscy
klękają i biją pokłony. — I dodał
napis: „Próbna sesicja elydicka i
zrbudli podziękowania się."
Tu i owdzie odzywa się — wśród zupeł
nego otrzeźwienia — jadi głos, nacechow
any rozsądkiem i godnością. [illegible]
Jadi E. Lepelletier np. zapytał, na co
wobec całego po wszystkich gmachach
Paryża, kiedy jego wdaiciwcie, tych wo
mennica obchodzi.
Car będzie tymczasem objeżdżał
miasto. Zawiozą go do Akademii
francuzkiej, gdzie go powitają wier-
szem. Coppée'go, umyślnie na ten cel
ułożonym. — Jadzą mu na godzinę
teatr „Francuzkiej komedyi," i będą mu
znów deklamować wiersz p. Claretie,
umyślnie na ten cel ułożony. — Pozwolą
mu wejść do „Opery," ale nie ujrzy
tam Sigurda w pełni odzaradzia i
w całym blasku zwyczajnych przedsta-
wień. — Lękamy, aby się jadzie miłe
pieczne indywiduum nie wdzierało
między zebranych, obawiamy się, aby

150

w operze francuskiego kompozytora, sceny wyjęte z baletów na deskach. Ceat będzie jedyny w galerii Louvre, w Panteonie, w Inwalidów. ++ W wróż katedra Notre Dame przyjmie go arcybiskup paryski i, jak to już w kościele państwowym zwykle, odśpiewa Te Deum. ++

Ulice, którymi Mikołaj II przejedzie, są już dzisiaj przybrane. ++ A i na innych, odległych, powiewają od kilku dni chorągwie. ++ Przez rady miejskiej, zajęty się tem komitet obywatelski, ustawił w poszczególnych dzielnicach. +++ Flagi wdarły się aż na najwyższe szczyty, aż na wieże katedry. ++ Jak zwane „wielkie bulwary" tworzą całe szeregi łuków triumfalnych, ozdobionych festonami z żołędzi, przeplatanymi (kwiatami sztucznymi -) ++ . . . .

We dnie razi one oko zwykłą barwą różową i zieloną, wieczorem nabiorą przepychu i blasku. +++

Całe rue de la paix otrzymało po obu stronach misterne drewniane rusztowanie, majowym kolorem i stylem naśladujące, podobne za czasów Ludwika XV stawiane po ogrodach. ++ Wadzeum wzięwał ich tak często za to do swoich scen miłosnych. ++ I jak w pałacach odwiecznych, tak i dziś służą te kolumny, girlandami - świeżych liści. +++

171 –

Nie wiem, czy Place de la Concorde
nie jest przypadkiem najpiękniejszym
placem na świecie: w każdym razie
nie równa się z nim żaden inny pod
względem dekoracyjnych pomysłów. Otoczona z dwóch stron, bardzo
zdumiony tłumem o szczęściu, patrzy
z jednej strony na Louvre, z drugiej na
wielki Tuck tryumfalny. — Po prawej
— mówią tak, że nie ma zawsze zdania,
że ten dom różany crue musi,
po prawicy na dziedziniec: Magdaleny, a po lewej, za schodami
Palais Bourbon, dwie gmachy o starożytnych frontonach. — Obok dekoracyjnego Paryża, i to dziś nie wystarcza. Otoczyły plac [illegible] rami lamp
i od strony Louvre'u, stangety marki
z flagami, gittandami i wielkiemi
literami R. F. co wygląda znaczy:
République Française, ale dziś przypomina raczej: Russie France.

Pięć Elizejskie mówię prawie
wyłącznie o Rosyi ,,,,,,,,,,
(O dwóch dziedzińcach środkowych wznosi
się dom, mający otwór dwugłowego. Tylko dla pieszych, i tylko przez
odwrotne — odwrotne jest niekiedy zajęte — przypominają Francyę. —
Między słupami, festony lamp
białych. —
Jest miejsce, gdzie się pięć Elizejskich rozszerza w okrąg (Rond-point).
Drzewa stoją jeszcze, bez liści
Kasztany. Ale ręce ludzkie ubrały
ich gałęzie w papierowe kwiaty,

1792

czerwone, różowe i białe. — Widzę
cesarza Nabanyma — jeździła po pustych
gubernjach swego państwa,
Kolemnikin dawał wskazówki przy dro-
dze, gdzie stać szałasy dla dworzan, prze-
kazujące chaty, domki, cerkwie. —
Na cesarzu uszedł dworak cywilizacyi
której jeszcze nie było. — Cesarz
zgromadza Paryż wiosny, której
jeszcze niema. —
Poza tem wszystkiem i ponad tem
wszystkiem, wznosi się olbrzymi łuk
tryumfalny ku czci wielkiego cesa-
rza. — Na jego ścianach na-
miennych wyryto nazwy miejs-
cowe, czasy, wydarzenia i nazwiska
ludzi, co zdobywali sztandary. —
Pozostaje zobaczyć, czy imię Bu-
dziewicza widnieje na pomniku.
Ależ, jest. —
Wśród wszystkich tych przygo-
towań ciśnie się tłum nierliczny,
ciśnie się, rozpycha, cieszy się i śmieje.
Potrzeba czasu kwadransu, aby
można ujść na środek. —
Wreszcie ogarnia powoli najobojęt-
niejszego przechodnia. — Jeżeli zaś
radość, cywilizacyjna radość, złożona ze
swobody i dumy, nie uderzałaby się
sobie, mój czytelniku, jak i mnie
opanować nie mogła, nie nasza
to tam wina. —
Chorągwie porwane wiatrem,
głucho i niemo trzepocą, jeżeli razem
z ich fałdem, nie trzepoce się i w na-
szej piersi serce. —

Czas z środy 21 grudnia 1896 roku.

Z Paryża.

Z Paryża piszą nam /ath/.: Teatry paryskie nie przedstawiają chwilowo prawie wcale sztuk nowych. — Sara Bernhardt w najsłynniejszej i odwiecznej swej roli, jako Dama Kameliowa. — „Comédie française" wznowiła: Moutjoye, dramat Oktawiusza Feuillet'a, znany i u nas z wyst. pół. Jana Królikowskiego i p. Solarowskiego. — Krytyka powitała dość niechętnie tę utwór, ale nieco nieprawdopodobną i przestarzałą sztukę. — Jak Sarah Bernhardt, aby czemś nowem przyciągnąć, przypomniała sztukę z 1845 roku, i nadała jej odpowiednią oprawę, tak znów wdowa po Oktawiuszu Feuillet przy pomocy aktorów odmieniła cały szereg starych wyrobów, które i przejrzyście w Moutjoye, które umarła za przedawnione. — Paryż śmiał się długo z tego wprost pracowniczego artystów dramatycznych, ale mimo to chodzi pilnie na sztukę. —

W „Opéra comique" powracają niezawodnie Mignon Thomas'a i Orfeusz Gluck'a, które nie krytyka przy wznowieniu przepowiadała artystom tryumf, a które jednak utrzymują się na afiszu i po stu razach zachwycają. — Nowość jaskrawa od dawna tak napięcie, ale dotąd nie wydawiona

rzeczy wszystkie jedynie Odeon. –
Emil Bergerat, piszący do Dziennikó
pod pseudonimem Caliban, jedna z tych
niewyraźnych blady[illegible] fizyognomii
paryskiego literackiego świata [illegible],
którym tylko zarozumiałość i gorycz
do ludzi trochę charakteru nadają, ubożuch
był oddawna komedyą wierszem, omi-
łe na dle zżytnej powieści swego
teścia Teofila Gautier - Capitaine
Fracasse. / przedał powieści dru-
kowało niegdyś warszawskie
Słowo za czasów, kiedy Henryk
Sienkiewicz był jego redaktorem /.
P. Borel, ówczesny dyrektor Odeonu
był miał rzekomo zamordować u Emila
Bergerat, ale jej pokusy nie grał.
Inde irae autora, żale, które jeden
dziś wywodzi po kilkuset nadar piz
smach paryskich .. ++ Bo jeżeli
Caliban uważa tylko formę wiersza
a mało dba o treść swych poematów,
to zrozumiałe, że treścią jego literac-
kiej dawyery może być jedynie
reklama. + Borel odpowiada na
te zarzuty i maluje na literackiej
wojna, dzieli malejące literackie
przemiany.
Rzecz ta ma tylko czasem drobne,
ale rzeczywiste powodzenie i krótsze
widzów, zachęcając widowni pierwszem
przedstawieniem za nowej dyrekcyi
Odeonu. ++ Na czele „drugiego
teatru francuskiego" stał Antoine,
jak wiadomo, Antoine, rozgłośny
kierownik „Théâtre-Libre", który

1795

za towarzysza dodano Cisewala, Pawła Ginisty. ++ Nie spodziewano się, aby nowy Kurs w Odeonie rozpoczął się od wydawienia Capitaine Fracasse, morderczego węża teatralnego, i z nowych dyrektorów. ++ Nie spodziewano się ani komedyi wierszem, ani miłosnych wierszy takiego fachowego wirtuozy rymu, jakim jest Bergerat. ++ Powróćmy może do jego utworu. Na dziś zapiszmy, że następne nowe dzieło Odeonu będzie Don Carlos Schillera, o którym dziennikarz, jak zwykle dosłownie poinformowany, twierdzi że w oryginale pisany jest prozą. ++ Francuzki Romeo wprowadził zmiany, usuwając na drugi plan Boga, sprawę Niderlandów, całą politykę i Gedankenfreiheit!

Czas z Wisłoku 27 października 1896 r.

Z Paryża: pisze nam [A. H.]: Alfred de Musset należy, jak Heine do tych poetów, których obecnie cenią tępiej od rodaków. — Najnowsza generacya francuzkich literatów, sekundowany od dawna autora Czarnego Pióra. ++ Inni pisarze romantycznej epoki mają dziś wielbicieli. Alfred Lamartine'a odsyła — nowo, a Victor Hugo nie zamyka jeszcze zupełnie w swoim urzędowym grobowcu w Panteonie. ++ W tych dniach wyszedł z pod prasy pierwszy tom prywatnej jego korespondencyi, a chociaż tej Hugo nie uskarza [illegible] z nowej, że świeżej strony, lizdy zdały się przedmiotem ciekawości całego cywilizowanego Paryża. ++ Tymczasem zaczyna się objawiać zwrot i ku Musset'owi. Przed laty i latami czytano jedne z najsłabszych jego jednoaktówek, o których wygłoszono przed nimi jeden czy dwa jego wiersze. ++ Warer zapowiadają w Nikli teatr Sarah wznowienia jego komedyi i dramatów. ++ Sarah Bernardt przebiera się po myśli i będzie grała tytułową rolę w Lorenzaccio, odczytanej w ciągu zimy, Andrea del Sarto, a komedya francuska Le Chandelier. ++ Wśród całego tego muzealnego ruchu uskarady się

1926.

nowe „dokumenta", dotyczące naszego poety, pani George Sand i owego lekarza, który ją w Wenecji, podczas choroby autora Nocy począł. + Powiada się on Pagello i żyje sobie dotychczas gdzieś we Włoszech. P. Paweł Mariéton ogłosił w Echo de Paris nie wydane listy pani Sand i urywki z pamiętników doktora. Drobne te wiadomości zrobiły w Paryżu wrażenie. + Dawniej, za dobrych czasów myślano, że badanie życia wielkiego pisarza ma o tyle pewne uprawnienie, o ile zdoła wyjaśnić jego twórczość. —

Dziś biografia zdała się wtarmegym, oddzielnym swoim celem. —

Dziś, mniej naiwni od naszych poprzedników, wiemy, że poeci nie na to żyli, aby pisać wiersze, ale poprostu żeby dalej, żeby potomni mieli zgromadzone studyować możne ich przygody. + Dzieła tych autorów, nie mają żadnej wartości w oczach inteligentnego czytelnika, są to tylko dokumenta do biografii, pisanej dla radości i zadowolenia innych pp: Potrzebie wierszy, zamieszkujących obydwie półkule, naszej i innej planety. ++

Wielkich pp: Mariétonów, i niedyskretnych p. Pagello, doktorów wreszcie nauk lekarskich, nie przemogę jednak przeciw przemożnemu krzyżowaniu Alfreda de Musset, o pani Sand: „Zdradziła mnie, jak zwykła

praerdia". — A co dalecko ważniejsza, nie przestroże nam odczytywać takich adwokatów, jak Ulik de Décembre, lub Souvenir, nie wyjaśnią nam nic z ich treści, nie zalecą nic z ich blasku. —

Edward Pailleron, autor zdyrnego „Świata nudów", odczytał w przeciągu tygodnia dwie jednoaktówki przed komitetem francuskiej komedyi. Pierwsza z nich, noszi tytuł: Ailleurs vaut toujours, druga zaś Et violette. obydwie komedyjki zdenerwują całość, jakkolwiek i osoby, wystąpią w nich i jakaś treść, jest zupełnie różną. — Ciekawym wydaje się nam fakt, że dwóch popularnych, ogólnie uznanych pisarzy dramatycznych, Hadman Sudermann i Edward Pailleron, wpadło równocześnie na pomysł wydawienia kilku jednoaktówek, zwiększających jakiejś wprawdzie lustrę, a przecież wspólną nicość. —

Publiczność krakowska zna już Fryca, jedną z trzech sztuk, którymi niemiecki autor nadaje teraz tytuł Modistki. — Ruchliwa krakowska dyrekcya wystawi zapewne i dalsze dramatyki Sudermanna, a potem przyjdzie może kolej na „dyplyt" Pailleronа. Sędziwy francuski komediopisarz, jeden z arcydzieł „niezmiernie lekkich" nie zalega dotąd pola. — Po odczytaniu wzmiankowanych jednoaktówek, które przyjęto do grania, przedstawi Kilka bliżnym znajomym aktorom francuskiego

179

teatru - scenaryusz nowej sztuki. —
Oby go wiodła w prawą stronę muza, która towarzyszyła stworzeniu „Świata nudów", a nie ta, której zawdzięczamy „Komedyantów," / Les Cabotins /, tę komedyodramat czy melodramat, który ani na scenie Comédie Française, ani na deskach jakiejkolwiek teatru w Warszawie nikt prócz znużenia, nudów i zatrwań nie wywołał. —

Czas z Niedzieli 15 Listopada 1896 roku. –

Z Paryża piszą nam: / A. Sk./
Tutejsze teatralne sfery, i teatralne dziennikarstwo zajmuje się zwłaszcza losami Odeonu. — Po kilkutygodniowem wzajemnem drażnieniu dwaj dyrektorowie zubożonego operowania sceny, doszli do takich różnic w zapatrywaniach, a nadewszystko do tak silnej wzajemnej nienawiści, że jeden z nich podał się do dymisyi. — Kierownictwem „drugiego francuzkiego teatru" ze, jak wiadomo, od jesieni p. Antoine, który niegdyś założył słynny Théâtre Libre i wywarł tem samem ogromny wpływ na najnowszą dramatyczną literaturę oraz p. Ginisty, literat, do niedawna zawsze gotowy bronić i dzisiejszego wzpółnictwa i najświeższych kierunków sztuki w piśmiennictwie. — Wydawca chciał zaprzęgnąć tych dwóch przyjaciół do jednej roboty, aby ich rozdwoić. P. Ginisty nie mógł wytrzymać z kolegą w dyrekcyi i prosił o zwolnienie z obowiązków. — Sprawa oparła się o ministeryum, gdzie chwilowo zarządzono zgody. — P. Ginisty został zawodniczym dyrektorem, a p. Antoine kierownictwem sceny. —
Innemi słowy literatowi powierzono wybór sztuk, aktorowi zaś reżyserczą. Nadto udzielono bezterminowego przywileju, bytego Théâtre Libre, miejsce usługi, o które **podobno nie** prosił. —

Wygląda to na rodzaj klauzy i przypomina wygnania z Wersalu, za czasów Ludwika XIV. ++ W drodach dobrze poinformowanych mniemają jednak, że Ginisty nie da sobie rady ze wszystkim i że Antoine wróci z honorem, jako pan i samodzierżca „Odeonu". ++

Dobychczasowa działalność dyrekcyi tego teatru nie zasługuje się niczem prócz rozgłosem osobistych waśni.

Pierwsza wystawiona sztuka Capitaine Fracasse Emila Bergerat zrobiła kompletne fiasco. ++ Nie mogę wam o niej obszerniej pisać, bo ucierpiałem po drugim akcie; „o teatrze mowi Klótzgi z paryzkich krytyków — zniesanie jest takie opinię." To com widział było niedbałe mimo, pod względem literackim i muzycznym, ale i źle wystawione, źle grane. ++ Jedynie, sprowadzone z Londynu, wydały mi się wprost doskonałemi. Każdy teatr niemiecki przyzwyczaił mię do wiarygodniejszej inscenizacyi, a nawet Krakowski p. Śpiżiar nigdy nie równie takiego nie wystawił. — Drugą sztukę, bez Don Carlos Schillera grany bez zadnego zrozumienia nie z niemieckiego dramatu. ++ W Odeonie nie wystawiają dygrad, ale jednych nie mówią, ale wyją i ryczą naprzemian. ++ Jeden tylko zdaje autor, Taillade, oddał podziwienie godne.

O trzeciej sztuce, o Persach Aischylosa powiem później. ++ Grano je

dość dopiero dwa razy. Za pierwszym razem poznałem ją z dzieckiem pani Dieulafoyx (Dieulafoy), słynną z swych studyów i wykopalisk w Chaldei Asyi. + Podczas podróży na Wschodzie przywykła ucieczka Pani do noszenia męskiego ubrania, a za osobnem pozwoleniem nie zdjęła go i w Paryżu. + Z dzieckiem Odette przemawiała moje ono gradem..... Strój przebrzydły miał być, jak z tyrady, najwięcej atrakcyę dziecka.

O innych paryzkich teatrach, nie mam wiele do zanotowania. — Wiarada ze wprawdzie ciekawa, psychologiczna sztuka Les Bienfaits Leurs, ale jak to Francuzi zawsze przepowiedział upadło tak pogodło, że nie miałem czasu przekonać się osobiście o jej wartości. — I stary dobry zawiódł pewno zgrzebna komedya ruiny, bo była zanadto literacką, zanadto dobrze pisaną, za drogą, nie dość oblicznie na efekt, nie dość scenicznie. — Coquelin, który ją w swoim teatrze wystawił, zwrócił się teraz do melodramatu, do dzieła owego d'Ennery, autora dwustu sztuk teatralnych, w których zawsze gramy Dwie sieroty, a pan Wojnowski jedną ze swych ról najlepszych i najbardziej realistycznych. —

Obydwie sceny muzyczne Grand Opera i Opéra Comique podczas mojego tu pobytu zmieniły swój ustrój, wprowadzając

3.

Don Juana — „pierwszy z tych dwóch tygodni to dzieło, które Gounod ogłosił dotychczas za najwyższy artystyczny wysiłek swojej twórczości" — ale co Académie nationale de musique — tego zwykle się oficyalnie wielka opera paryska... grała dramma giocoso Mozarta, według dawnego, francuskiego układu t.j. w pięciu aktach.

Salzburski mistrz napisał tylko dwa... .. dopełniające, a podobno i przepełniające dzieło tonicami, wyjętemi z mieszczących dzieł autora, dodali tutejsi reżyserowie udoskonalić, „zaokrąglić" utwór.) — . . . . .

(Balet przenosi i zmienia, panna Elssler zatrzymuje w paryżu Mozarta, a balonniak w Opéra comique mamy niebawem wyrzeź prawdziwego Don Juana w dwóch aktach. III. Nie można wprawdzie przypuszczać, aby p. Carvalho wystawił operę z tej rzeźni dla zamiarów kompozytora, którego każdy niemiecki teatr daje ciągle dowody, mimo to wolno się spodziewać, że całość wypadnie bardzo dobrze. IIII. Tytułową rolę ma śpiewać tenor artysta, jak Victor Maurel, a Zerlina, pani Delna. Gust to arcyponowna śpiewaczka. Słyszałem ją tylko raz, ale słyszałem ją w Orfeuszu Glucka. —

A chociaż mam ten mizerny pomysł z wielu scen niemieckich, austryackich i włoskich, muszę przyznać, że p. Delna, nie dorównywała

ani weidereichéj Roza Papier, ani
zwłaszcza amerykańca Hasstreiter,
która przed siedmiu laty zachwy-
cała Krym, mierzeję Lindyé do wy-
borných uprawnych ogrodniy
i wspaniałéj roli, która nietylko
podziwiego Grozu, ale i gry, podziwiéj
gry wieniaga. — gdyby wiekha
owca che foro zenza mia Euridica
stała wyrazem i ziść na wszodoi
i innych miejscach, Dema byłaby
zupełnie nadomiestym obrazem,

Cres z Wisły 1 Grudnia 1896 r.—

Ruch artystyczny i umysłowy.

Z Paryża piszą nam: (AK).

Stało się! Antoine podał się do dymisyi i w liście pełnym taktu, wystosowanym do ministra oświaty, wyłożył powody, które go zmusiły do tego kroku. — Połowa prasy złaje mu za to, druga podnosi zasługi jego dotychczasowego współnika, p. Gémier, który odtąd obejmie na własne ryzyko kierownictwo Odeonu. — Głosy dziennikarskie są zbyt krytyczne i zbyt niezgodne, za mało w nich ciepłej życzliwości, za dużo osobistych uprzedzeń, aby można było coś więcej wywnioskować z tak niezgodnego koncertu. —

Mówię więc mowić o własnych wrażeniach, wyniesionych z „Drugiego francuskiego teatru."

Po niefortunnym „Don Carlosie" dano abonentom wcale dobre przedstawienie „Perrois" Michelet'a, do którego Jan Richepin napisał prolog, zawierający parę ślicznych, natchnionych wierszy.

Mówiła go znakomicie pani Segond-Weber. — Dekoracya musiała razić ludzi najmniej obznajmionych z pracami dotychczasowego budownictwa, chociaż dekoracyi [illegible]

donośnym, ale bez zrozumienia,
p. de Max, który grając tytułową
rolę w „Don Carlosie" przyczynił się
w znacznej części do niepowodzenia
sztuki, był znowu złym kierownikiem.
Ale Taillade w roli Dariusza a
zwłaszcza pani Tessandier jako
Atossa dowiedli raz jeszcze, że wśród
ludów romańskich nie zaginęło
poczucie starożytności. Było to
wrzucone racemi rymowanemi nie ~~[illegible]~~
hellańskie, ale nie bradło
stylu ni powagi. —
P. Tessandier uchwytnemi zowiała
się nadto wybornie. — Miała dar
wagi wyjść z ramy przedstawienia,
występić w stroju wschodnim,
pełnym świetności i przepychu. —
Wolno to uznać artystce, której
umie tak właściwie zawodzić, artystce
posiadającej prymat nad
u francuzek, tych typowych aktorek:
własne indywidualności. —
Inne popisowe miejsce roli Atossy
zastępuje również nie pochwały:
widziałem „Les Précieuses ridicules"
Moliére'a, „La Folie amoureuse"
Regnard'a wreszcie „Tartuffe" —
widziałem te trzy sztuki w niemiej
obsadzie, grane wprawnie, z dobrem
z charakteryzacją. Pochwał Tessandier
wyszła zawsze z zachowaniem wzoru
p. Chelles. —
Mimo to wzrok, jak zresztą wzrok
dziadu Antoine'a, wzrok jego

świeżych pocruć i pojęć nowego
typu. — On jeden bezbłędnie może
wyklasyfikować aktorów, że w chwilach
najsilniejszego uczucia ludzie nie
zawsze krzyczą, że Makbeth wstał,
mając wymówić „Amen". —
Antoine wchłonął podobno jadło
aktor, do tragedyi, z której impresario
de Glaser zamierza jeździć po stolicach
całej Europy. Słabo się, nie zobaczymy
nic w Odeonie rzeźbi nowego
Talmy'ego i jeżeli d'Aucourt napisze
jakiś dzieło równie pocałowane jak
np. „L'école des veufs," to ujrzę je
w Petersburgu albo w Kopenhadze,
ale nie tu... „Peer Gynt" Ibsena
zgodził się zresztą — przed dwoma
tygodniami — z aprioryzmami admi-
łego niezrównanego Montmartre
i ze sceptycznem podrwiwaniem
Paryża. — Jak ten stary „wujaszek"
całego artystycznego świata, ogniska
smok złotej na stary tradycyi,
jak ten Francisque Sarcey krytykuje?
Biorąc z Paryża, popada się łatwo
w jednostronność i wspomina jedynie
o teatrach. — Przejdźmy więc do nau-
kowych i artystycznych studyów.
P. Georges Moore, profesor estetyki
szkoły sztuk pięknych, należy do
najstanowczejszych badaczy architektury
starożytnej. — Kiedy się greccki porta-
nowił uchronić od obalającej zasady
Partenon, którego ostatnie krzyżu-
jące się rzędy wytrzymało nowe zrządy,
zwrócono się z Aten do dzikich ruinach

przeby wających, jak tam mówią w „Europie". = podobno Grecy uważają się do dziś dnia za lud wschodni; mimo to areopagi i nary wają „Europę" to, co my zowiemy „Zachodem".
Wspomnę więc między innymi Niemca p. Durma z Karlsruhe, autora pięknej rozprawy o budownictwie Hellenów, opatrzonej w liczne rysunki i plany gmachów, wykonane przez samego autora — Przywołam również p. Magne, który, podobnie jak niemiecki kolega, włada i piórem i ołówkiem.) = ...
Ze swej podróży do Grecyi przywiózł on sporą ilość szkiców i widoków starożytnych gmachów, i wydawnictwo to w tej chwili w Trocadero, w salach odlewów z rzeźb francuskich. = . .
Widzimy tam pełno admiratorek, świadczących nietylko o archeologicznej biegłości, ale i o malarskim talencie pisarza. = Niebawem by zdobyć sławę poważnego historyka sztuki, wypadnie mu być i sławnym artystą. = Nauka na tem pewno nie straci. — . . . . .
Prywatne wystawy rzeźb i obrazów nie odbywają się jeszcze do publiczności. = Tylko stowarzyszenie „Sztuka" porwała nam obejrzeć kilkadziesiąt rycin, rysunków i akwarel. = Są to rzeczy ciekawe, świeże, ale już nie nowe. = Wytworzyła się dawno idealizująca moda, wydawała się temat szablon archaizujący i stylowy

Z drugiej strony odzywa się zamiłowanie do tematów bolesnych, które mają przerażać tłum i zgorszyć filistra. „Kto wie, czy nie najlepsze z dwa rysunki Sadlera owego Niemca, który się zrył z Dürerem, zapatrzył na niego i dziwaj w Niemcech sędziej sławy urywa, a jednak — mojem zdaniem — jest dobrych czas tylko epigonem, człowiekiem, który zbiera w publiczności te hasła, które się artystom zgłębianym od niego należą. „Mam tu zwłaszcza Maseca Klinger'a na myśli." —

Na zadowolenie zapisujemy zaraz jak. przekład polskiej książki na język francuski. „I dodajmy że dzieło zasłużyło sobie na ten dorobek uznania zagranicą. — powieść p. Zofii Urbanowskiej p.t.: „Niezrozumiała" powieść napisana dla panien, jak u nas, a zwłaszcza w Warszawie bardzo cenione i czytane powszechnie. „La princesse" Romanowa przez M. Cardiani, ukazała się nakładem firmy Armand Colin i Ska, która nie pierwszy już raz wspaniale na oddadzie książki uważa: pour les jeunes filles. —

P.S. I znowu muszę wrócić do spraw teatralnych. Sara Bernhardt która teraz występuje w tytułowej roli w „Lorenzaccio" Musset'a, będzie potem grać nowy trzyaktowy utwór Wiktoryna Sardou pod tytułem „Spiridione" —

Czas z Wiednia 6 grudnia 1896 roku.

Z Paryża piszą nam (A. Sb.):
Pani Wanda de Bonina Rudzkowska rozpoczęła występy na scenie „Komedyi francuskiej," jako Franita w „On ne badine pas avec l'amour" Alfreda de Musset. + Młoda i niezwykle piękna artystka sprobiała się z utworem, które się jednak nie zamierzało na tryumf. Rodrice jej są podobno jeszcze polakami, ale ukształcona artystka jest już, jak słyszę, Francuzką. Do konserwatoryum wanda z zamiarem poświęcenia się muzyce, potem powzięła myśl próbować szczęścia na deskach. + Wystawiwszy najwyższą nagrodę szkoły dramatycznej, występiła zaraz w Odeonie, zdobywając sobie podziw publiczności i sympatyę prasy. + Obecnie gra na scenie, która - słusznie czy niesłusznie uchodzi za pierwszą w Europie. + Sędzic z jej talentu, przypuszczam, że nie powinna być przedstawicielką poetycznych, zwiewnych, zawsze nieco fantastycznych kobiet Musseta. + Tragiczny wyraz twarzy, surowy charakter jej piękności, pewna szorstkość do delikatnych uczuć usposabiają ją raczej do ról Corneilla, do wielkiego repertuaru. Prasa wyraża się o niej przyjaźnie, ale bez entuzyazmu. + Valery dodaje, że obecnie niebardzo powodzi się artystce. + Nie wiem, które z dwóch racyi, które się we mnie kłócą, jest

/~~Bach~~ prawdziwem, ale to pewne, że albo nie należy przedstawiać, miłośniać ludzkich fantazyi, / ale komedya Musseta, albo też grać ją źle — na najbrzydszej scenie Europy. —

Paryżowi brak widocznie teatrów zdaje się odwarto nowej, w Quartier Latin. Przedsiębiorcy wzięli sobie za cel wystawianie „odwrotnych dzieł największego literackiego geniusza, którego kiedykolwiek wydała." — Czy to Goethe? Czy może Szekspir? — Nie, Voltaire! —

Niechaj mi więc nie powiadają, że zrozumienie francuzki zaniknęło. — Masakrują się „Don Carlosa" w Odeonie, skandalizuje się „Hamleta" na najpierwszej scenie Europy" — i oklaskuje „Théâtre Voltaire".

5 Listov. Stovo 1897. i 1898.

Nagłówki:

Listy z Francji

I piątek 5 listopada 1897

II [illegible] 28 listopada 1897

III [illegible] 12 grudnia 1897

IV piątek 31 grudnia 1897

V środa 23 lutego 1898

192

(Przegląd dnia 5 Listopada 1894 r.:

Albo: str. 252.

Listy z Francyi.

I

(Obfitość materyału. – Pozycye publiczne pięciu akademii. – Mowa Alberta Sorel. – Zmarli akademicy. – Ks. d'Aumale. – Jego dominujący nałóg. – Guido de Maupassant i jego pomnik.).

Pisujęc sprawozdania z artystycznego i literackiego ruchu w Paryżu, mamy tylko nadmiar przedmiotów, o których wspomnieć należy, tylko trudność wyboru. – Po za bieżącemi letniemi, każdy dzień przynosi to nowe księżki, odbijane nieraz w tysiącach egzemplarzy, to wystawę prac jednego malarza, to wystawę zbiorową, urzędową pewnej grupy artystów, zazwyczaj oddawnej i pęknięcia od obbrzmiałych wiekuistych „salonów?" – Co tydzień niemal podnosi się tu po raz pierwszy kurtyna nad jakąś sztuką, która – szczęśliwie czy nieszczęśliwie – zainteresuje Europę i obiegnie świat. – Można jej będzie obstawiać niekiedy na dziesiątki „Rozmaitości," ale nawet oglądać po naszych prowincyonalnych miastach i miasteczkach. – Doprawdy, nie brak tematu dla korespondenta. Trudniej o trafny wybór spraw, które się ma

porucięć. — Korzystając z tej godzinowej chwili z Paryża i odemnie słów o zmysłowem i społecznem życiu Francyi, nie. możebym wybrać bardziej ważnego i poważnego przedmiotu, niż ten, który mi los dziś nakreśla. — Mówię o publicznej sesyi sali zwanego „Sorbonne".

Rok na rok, dnia 25 października gromadzą się członkowie pięciu akademii. — Każda z nich ma osobne cele, odrębną administracyą, własne swoje fundusze. — Ale corocznie, w chwili, kiedy Paryżanie zaczynają wracać do Paryża, akademie przedstawiają się wspólnie publiczności. — Dzieje się to w wielkiej sali pod złotą kopułą dawnej kaplicy, wystawionej z zapisu kardynała Mazarinego. — Ucznie w haftowanych frakach zajmują połowę obszernej sali, druga połowa i trybuny należą do zaproszonych gości. — Nie łatwo o miejsce, bo i świat nadworny i świat — jakby to powiedzieć? — „świat towy", uniesiony zupełnie obcy, ubiega się o bilety. — O ile wiem, zaszczyt przewodniczenia przypada corocznie na członka jednej z pięciu akademii: kolejno ustępują swego przedstawiciela na krzesło przewodnie. — Tym razem zajął je pan Albert Sorel. —

Nie potrzebuję go zapewne przedstawiać czytelnikom „Słowa". — Wielotomowe jego dzieło o Europie

i Nowoleckiej Francuzkiej złoi na pół
tach licznych potrzeb domowo — i
dworów i miejskich kamienic — a złoi
zarewegraj lud obok księg wielkiego
Hipolita Taine. Lwokrotnie daroniej-
szej literatury francuzkiej znajdę
jego drobne a wspaniałe prace o
Montesquieu i o pani de Stael. —
Albert Sorel należy do Akademii
francuzkiej, jest sekretarzem zwiadu,
profesorem w szkole nauk politycz-
nych; jest ładzia — aby uniknąć wyraże-
nia, które się nieraz spotyka na kar-
tach pogrzebowych — erudytem wiel-
słowiańskich naukowych, np: Akademii
w Kopenhadze i Akademii Umiejętności
w Krakowie. — W charakterze sekretarza
mógł mię w czerwcu r.b. przewo-
dniczyć zgromadzeniu, na którem
p. W. Gastowski, komunikował Fran-
cuzom pięknie i doniośle utwo-
rów Henryka Sienkiewicza. —
Ale Sorel jest czemś więcej, niż
oficyalnym przedstawicielem
„naukowych stowarzyszeń." —
Jest to indywidualność, pewna
siła duchowa, odbijająca intelekt
jego i charakter. — Kto chciałby
miał sposobność zetknąć się z nim
osobiście, wyniósł, po za wrażeniem
wielkiej, serdecznej uprzejmości,
pamięć miłych godzin poetycznych i pod-
niecającego nastroju. —
Sorel zamierzył w badaniu, jak
wiemiec, poznać ideał Francuzki
dat przedstawiania rzeczy jasno,

zwięźle, prosto, a zawsze w wiernych konturach. — Ale szczegół jego postaci, jego przemówienia w tem „dole historycznem", którego prezesem był do niedawna, musiał podziwiać ich swobodę, dobrodusznego humoru, dowcip. Sama postać przypomina się do wrażenia. + Albert Sorel ma lat pięćdziesiąt pięć, ale wygląda się młodzieńczym. + Trzyma się prosto, jedwo zaczyna siwieć. + Nie nosi brody, dużo wąsy nadają mu wojskowego wyglądu, odbiegającego do cywilnego. Przepada za Chopinem i lubi o nim chwilkę pomówić i wspomnieć urodzinkę, która tak wybornie grała preludya i mazurki — dużo Marcelina Czartoryska.

Mimo to pewnej rezerwy, wczoraj, z delikatnem (acz ucrony) bycie i zrozumieniem i zgrabnem, acz subtelnem i zimnem rzecz traktował o pewnem delikatnem, a potężnem, nie wyjaśnionem dotąd zjawisku. —

Przypuszczam zgromadzenie pięciu akademii, musiał potwierdzić słowo wspomnienia wszystkim jej członkom, zmarłym w ciągu roku. — Był tam Henryk Meilhac, pisarz wybitny, może chyba nieco zbyt ważony po za Francyą, nie należy tobie bowiem zapominać, że współautorem libretta „Pięknej Heleny" jest również współautorem „Frou-Frou." Ani Challemel-Lacour, były

minister; ani niemiecki kompozytor
Jan Brahms, ani von Arnesk, Rektorzy
Akademii Sztuk Pięknych, ani Leon Gautier nie
zdawali się do apelu. + Ten ostatni,
mało znany w szerszych kołach,
należy do grona nielicznych,
niestety, Francuzów, których prace
cały świat naukowy ocenia. + Leon
Gautier pozostawił po sobie znakomite
dzieło o epickich poetach
Francji średniowiecznej) ... / / / /
Obok Gastona Paris'a, Paulin Meyer'a
stoi Gautier do najczęściej
najczęściej badany, w zakresie
filologii romańskiej. +
- Sorel wspominał kolejno starszych
tych pracowników. - Nie mógł im
jednak poświęcić wiele czasu. -
Chciałby go nierozdrabniać, nierozdrabniać czas
poświęcić poetom: Księżę d'Aumale,
członek trzech akademii, kojarzy się
dobroczyńca, Emanuel w mgle już
zgasłego rodu. -
Pamięć jego, musi być zgasła w
Indyjach, którymi zapisał Chan
tilly. W Warwicku do budzi w wielu
osób wspomnienie zdymionych
wystawów, dla innych jest „obrazów
wspaniałych ram" nazwisko na
myśl Madonny Rafaela, szkicy
renesansowe, Rodella, do dobrego
malowidła, przez Jana Fouquet,
najwięcej cenionego wśród francuskich
miniaturzystów XV stulecia. W Oksfordzie
niebywałe wzrosnie uczonych zbiorów
i amatorów sztuki, zdjęć księżę

1872.

d'Aumale i księcia [illegible]
w bradu poezy, którzyby śpiewali
jego czyny, opowiadając ich wesołe
chwile pobytu - o młodzieńczych wy-
prawach afrykańskich tego syna
Ludwika Filipa.) ++ (((((
Obrazy obrazy Horacego Vernet
te zabawne dziatki wdzięki, ale brak
ich jest podwiązki, opowiadając bo-
wiem Simonowi, jak książę d'Aumale
w walce, jak zwyciężał w Afryce,
Rewolucya 1848 r. wygnała ojca
berło, a synowi miecz z ręki. +
Za cesarstwa [illegible] na wygnaniu.
Podczas wojny niemieckiej nie mógł
się bić. + Wtedy później, przewodnicząc
zdowi wojennemu nad marszał-
kiem Bazaine, usłyszał z jego
ust jako usprawiedliwienie, słowa:
„Ależ nie było już widocznej rady!"
Syn tego zdetronizowanego króla
odpowiedział: „Żeby Francya jeszcze
była!" - Dopiero owemu artyście,
który jeździł po Paryżu na czarnym,
z rzymskim profilem, dopiero
generałowi Boulangerowi, przypadło
w udziale uszczknąć Henryka
d'Orleans ze spisu żołnierzy francu-
skich. + Dozwolono mu jednak zostać
w kraju, jakkolwiek bez tytułu
królewskiego. + Kiedy, bawiąc przy-
musowo w Brukseli, usłyszał rozmowę
o jednym ze swoich przodków,
zdaranym przez Ludwika XIV na
pobyt zdala od dworu, d'Aumale
miał nawet powiedzieć: Jacy oni byli

szczęśliwi! Jednocześnie wysłano na wezwanie do Chantilly." —

W Paryżu, za zawiedź-zeblelna, wiek-
kowniejsza, ale będź co będź zawiedź-
nie może zapomnieć wystawnego
księcia.) — " " " " "
Jak temu niedawno, jadł się widz-
iało w teatrze twarz jego już wyg-
działe, głowę sobuzie, postać ubyt-
łoną, ale imponującą. — W tym rodz-
jak poprzedzą mędrcy dworu adam-
do Sary Bernhardt, winszował jej
nowej roli. — Na prośbę by zechciał
usiąść, odpowiadał uśmiechem: „Nie
jestem tak stary, abym nie mógł
chwilki postać, przed tak adorującą,
jak pani."
Sorel nie kwitł się nawet o nadaw-
stanie całej tej pięknej postaci, nie
wdawał się tem bardziej w biografię
Mówił o erudycie Tardysie, jako
erudycie — Tardysie, ale w słowie jego
słowo jak coś wzruszającego, wiązał
się ego z tragicznem wzruszeniem
Sorel umie mówić pięknie — a prosto
o przedmiotach, przez które swoje
piękności przeszły. —
Potem udzielił głosu kolegom
z innych akademii. — pan Henryk
Moisson przedstawiał tym razem
nauki ścisłe, pan August Himly
tak zwane „nauki moralne i polit-
tyczne", pan Emil Picot akademię
epigraficzną i historyczno literacką
(des inscriptions et Belles-lettres), a
pan Gerzy Lafenestre — sztuki

pięćdziesięciu. Historyk malarstwa włoskiego, biograf Tycjana, odczytał pracę o Korreggio La Fontaine'a do współczesnych nie odbiegających.
Jean Lafenestre miłuje od dawna wielkiego bajkopisarza i poświęcił mu nawet przed paru laty książeczkę, którą czytelnikom moim polecam.
Rozbieżność w handlu dwa franki, ale jest więcej warta.
Publiczność, uczęszczająca z pożytkiem, zadawalała sobie pytanie, dlaczego zasługi Księcia d'Aumale w Akademii francuskiej, w Izbie deputowanych, w Zdaje się jednak, że pierwszeństwo odnosi Eugeniusz Guillaume, ten sam, który przed laty kilkunastu zasiadał w pierwszej jury nad pomnikiem Gladstone'a i Mickiewicza. —
Jest to znakomity rzeźbiarz, znany również jako historyk sztuki. —
Wiadomo, że rząd francuski wysyła corocznie szereg młodych artystów do Rzymu. — Malarze, rzeźbiarze, rytownicy i kompozytorowie muzyczni przepędzają na koszt kraju trzy lata, całe trzy lata nad Tybrem. —
Szczęśliwi ci ludzie mieszkają w Villa Medici i mają przed sobą najwspanialszy widok na Rzym, a w ogrodzie za gmachem — ustronne i ciche, wonne i święte gaje.
Eugeniusz Guillaume jest dziś Rzeźbiarzem całej tej uczonej w sztuce i zapalonej młodzieży. —

We dwa dni po uroczystej sesyi Towarzystwa odbędzie się pogrzeb pomnika człowieka, który dwie-ście oficyalnych odznaczeń i nie chciał należeć do żadnego urzędowego grona. Guy de Maupassant — świetnie po-dobno, że istnieją orderu wydawcy, orderu który brodzi w życiu, które na zawsze powitają człowieka. — A mianowicie: małżeństwo, order Legii honorowej, wejście do Akademii, i wreszcie prawo z wyłączeniem w „Revue des deux mondes". Pozostał wierny trzem z tych por-tretów. — Ozdobił natomiast z nadzwy-czajnością powieść w drugi dzień pana Bulora — „Walter Coeur", może nie najsilniejsze, ale w każdym razie jedno z najwytworniejszych dzieł. —

W dzielnicy Paryża, którą bardzo lubił i często opisywał, wśród cieni Pardon i Monceau, wzniosą się dziś jego popiersie. — W głębi niszy bibliote-ki w białym marmurze, młode, atrojne, paryżanka z 1893 r. w najnowszej mo-dzie — bo i w rzeźbie panuje teraz zwyczaj — charakteryzowania postaci współczesnej przez ubiór współczesny. — Pan Raul Verlet, autor pomnika, czuł jednak, że banalna alegorya nie odpowiada wadze talentu, charakterowi wielkiej powieściopisarki. — Co dziś po fałdach greckiej chlamidy, co po nurzących przezroczystościach „Sławy", czy „Poezyi"?

W pobliżu portretu ukochanego au-tora widzi się Muza, ale czy dobrze

Chwilowe odbiegła na bok dziejów, zamarła się nad nią. – Być może, że ogarnia Słowiańszczyznę, niemożliwy pesymizm Chrupaszanda. – Może nawet jemu jej źródła myśli. – Może na mocy najsilniejszego z praw duchowych, na mocy prawa – nadziei prowadzi ją na drogę wyrozumiałości, przebaczeń i wzajemnej ~~pomocy~~ zgody. +

Co do mnie, nie mam dziś ani dosyć miejsca, ani dość czasu, abym się was jeszcze zapuszczał w dygresyę nad zgubnem a wielkiem powinowactwie, które czyni wydawnictwa Dawna, dzieła w białym marmurze. –

Wiem jednak, że Chrupaszand był wielkim, pierwszorzędnym pisarzem. Wiem, że wśród niezrównanych – Lisów, ubiegających, raz jeden pozostał zawsze sobą. +

Całe chóry współczesnych mu autorów powieści i popularną, chwilowo uznaną gazetkę. Kobiety zadzwiły się na styl nowy, niby indywidualny, przebrały zmysłów przepiękną prozą ~~francuską~~ francuską wyśpiewywali mowę jasną i przejrzystą. – On pozostał wiernym tradycyjnemu językowi. + Nie bawił się w dziwactwa stylowe. Lubił zwrot krótki, zwięzły i dosadny. Oszczędzał wrażenie nie ilością, ale doborem środków. + Wśród zbytniego rozpasania – zachował zawsze umiar i miarę. + Przedstawił, że uważał on sobie za punkt honoru

202.

nie wżywał ani zbytecznych wyrazów, ani efektów, któryby nie był konieczny. — Umiej stawiony od swego przyjaciela Zoli, który Tenar zrobił mu przemawiał przy odsłonięciu pomnika, był on większym od niego i zabłeszczającym artystą, jednym z najdoskonalszych pisarzy francuzi.

R. M. Górski.

203.

Wiedeń, (28) Listopada 1892.

~~Feuilleton. N. 273.~~

Listy z Francyi.

II ~~##~~.

Prix de Rome. — Dwie instytucye francuzkie w Rzymie. — System konkursów w paryzkiej Szkole sztuk pięknych. — Wystawa prac jej uczniów. — Jak Paryż wpływa na artystów. — Ryszard Wagner i jego „Mistrze śpiewacy" w wiedeńskiej Operze.

Wszystkie znaczniejsze szkoły sztuk pięknych wysyłają co roku prace swoich uczniów. — Publiczność może wówczas poznać, jaki duch panuje w zakładzie, czego się młodzież tutaj uczy i czego się nauczyła. —

W paryżu, nie podobają nam się obrazy, przedstawiające jedynie te obrazy i rzeźby, którym światem przyznano „prix de Rome" — Również już w ostatnim liście, że każda tego rodzaju nagroda uprawnia do trzechletniego pobytu w Rzymie. — Daje ona zobowiązanie do zrzucenia się z wielkiej sztuki minionych stuleci, do studyowania arcydzieł, zapewnia na pewien czas życie bez trosk, bez obawy o jutro. Jednym pozwala podziwiać starożytne mistrzy, jak Fra Angelica

obok fresków Michała Anioła, drzwi
gimi daje dość swobody i wezmu, aby
zej mogli w sobie skupić i dworzyć
samodzielnie. — Francya posiada dwie
wielkie szkoły w Rzymie i umieściła
obydwie pomiędzy w gmachach wspa-
niałych, architektonicznie tak skła-
chetnych, że najzwyklejszy turysta,
o nich zapomnieć nie może.
W pałacu Farnese roi się od histo-
ryków wszelkiego odcienia. Badacze
starożytności klasycznej żyją tam
w wielkiej zgodzie z paleografami,
oddanymi średniowiecznym pozo-
stałościom, miłośnicy epoki odrodzenia
wymieniają z szczególnem zamiłowaniem
fachowych terminów i wskazówek.
W celu instytucyi dni obecnie
Księga Duchesne, sławny ze swoich
prac na polu archeologii chrześci-
jańskiej. — Młodzi francuzi uczeni,
przybywający do Rzymu, są zazwyczaj
wybornie przygotowani do studyów
w bibliotece Watykańskiej. — Wszczęli
się podanej historycznej metody
w Ecole des Chartes, albo w Ecole
Normale. — Mogą więc rywalizo-
wać z owym Instytutem Germań-
skim, którego dyrektor, p. Peters-
sen, zaciekły prusak, zrzucił nie
tylko ze swych dzieł uczonych, ile
z dyrektorskiej nienawiści do Słowian,
Czechów czy polaków. — ||||| ||
(Dawałoby się, w obwodzie którym
od tylu lat mieszka tuż przy
Kapitolu, z odkryć pałacu Caffarelli

ogłoda codziennie rzeźbi do pojedynczej
statuy, powinien mieć pogodę filozofa,
sekretnego artysty politykę, znienawidzonego
losów, powinien rozumieć, że przedstawiciele rzeźby wszystkich narodów nie
znają narodowych uprzedzeń. ++ P. Peterssen nie jest
bynajmniej młodzieńcem, a mimo to należy do gromady owych młodo-
niemieckich mrowych, dla których wielkość Germanii stoi przed
prawdą i zasadami je, podobnie
jak dla Bismarcka, książęcia na
Lauenburgu, stoi przed prawem.
To też niechętnem okiem mierzał się na francuzkę i włoskę,
która sam w sobie, w pasach, do
którego budowy sam Michał Anioł
przyłożył rękę, rozwija się i rośnie.
W drugim zakładzie Francuzów,
w Villa Medici na Pincio, sprawy
idą mniej pomyślnie. ++
Młodzi malarze i rzeźbiarze, przybywający tu z Paryża, bywają
zbyt surowi, niekiedy z Rzymu
korzystać. ++ Z jednej strony brak
ogólnego historycznego wykształcenia,
[redacted], którem młodzi artystyczna
cała świata dziś gardzi, nie pozwala
im rozwinąć się zdrowszy wiedzniejszego
ideału. ++ Z drugiej strony
talent ich nie rozwinął się dość
samoistnie, został nieraz zepsuty
dwiema zamożnemi nagrodami, nagrodzonych przez zakład zbyt
paryzkiej, była tego nowym

i wyraźnym dowodem. —
Prace uczniów, może mniej słabe,
niż w roku ubiegłym, nie noszą
na sobie piętna osobistych talen-
tów, nie świadczą o systematycz-
nem rozwijaniu indywidualności,
ale raczej o ujęciu jej w formułę. —
Taka zasada może być dobrą w spe-
cyalnych fachowych szkołach,
kształcących do praktycznego zawodu.
W szkole sztuk pięknych jest zaś
bójczą. — Tylko szkoli, ale zniewieścia.
Przed tej jesieni stanęliśmy przed wej-
ściem obrazów, przedstawiających
ostatni epizod historyi Apollina
i Marsyasza: obdzieranie zwycięz-
conego i pijawka ze skóry. —
Najlepsza praca była prostem
i zręcznem naśladowaniem dzieł
p. Gustawa Moreau, czyjem
pasticcio jego ciekawych, nieco
archaizujących malowideł.
Przebrane wydawali kilka
prelegyonalnych scen pod tyt-
tułem „Mucius Scaevola" przed
„potopem". — Obecnie nikt nie
otrzymał pierwszej nagrody zna-
komitej i wśród płócien, przedsta-
wiających przybicie Prometeusza
do skały nie było też ani jednej
prawdziwie udatnej kompozycji.
Świadczy tylko to, co Francuzi
nazywają „le morceau", dobrze
wykonana, wiernie oddana
partya obrazu, starannie wy-
modelowany tors, fałdnie ułożona

draperyą. Rzeźba zdała malowidłu o wiele wyżej. —
Trzej młodzi artyści, dali nam trzy odmienne pojęcia, pięknie ugruntowane „Rozstania Orfeusza z Eurydyką." — Było tam malowidło, pewne popiersie, wyróżnione wśród wieku, a prawie śmiertne.
Błogosławione te chwile czasu, kiedy młody artysta wchodził nie do szkoły, ale do pracowni słynnego malarza lub rzeźbiarza, a często nawet rzemieślnika. ////
Wtedy powoli po prostu jako czeladnik rzeźbiarza do majstra.
Z razu nie pobierał żadnego wynagrodzenia, płacił nawet, będąc „w terminie". — potem odzyskiwał pewną płacę, coraz wyższą, ale z biegiem czasu pracownię na własną rękę i odpowiedzialność.
Wówczas uczono się za młodu technicznie, oswajano z farbami, z pędzlem, z warsztatem i dłutem.
Wiernemu prawideł estetycznych nikt chłopcu nie narzucał. + Kto posiadał wprawę, mógł potem malować, co chciał, malować, co się przyśni.
Z biegiem czasu powstały szkoły, akademie. + Pewna doza rzemieślnictwa musiała odpaść, zaginąć, trochę poezji — przycichnąć.
Jednak można było jeszcze iść swoją własną drogą. + Nie wszystkie akademie ze ~~wszystkimi~~ jednakowymi

akademię. ++ Można się wiele nauczyć w Konstancie pod kierownictwem Fatala i tych pięciuset wyszkolonych, kosztownych, samodzielnych ludzi. III Można się bardzo wiele nauczyć w Monachium, w szkołach belgijskich, a zwłaszcza i przede wszystkiem w Paryżu — byle nie być Francuzem i nie uczyć o Prise de Rome) ++ ! ! !

Leologami otwiera się niebo i Trójca
święta objawia. – Ale dalego, że
bycie wystawnym do Rzymu to
znaczy – uryzdzać rozgłos, rucić
na świat wiernane dolęd nazwisko,
mieć trzy lata spodziewane. –
„W nadziei ludzie dzisiaj – mówi
Jan Kochanowski – i w nadziei
zginą!" – ale nadzieja młodych
francuzkich artystów nie zawsze
jest szlachetna, zrewordzona – i dru-
ma. + Porównuj ich, wyrzekają
się wstrętnych pragnień i pocuć,
oddają się duszą i ciałem szkole
rzeźbiarskiej, która ich woli, ale
bez pieczni, po szczeblach konkur-
sów prowadzi do celu. + Nie
do rozwoju artystycznej indywi-
dualności, ale do pochlebnego
świadectwa. + Potrzeba wyjść
zwycięzko z wielu nadepnięć z
tych po sobie konkurentów, aby
móc wstąpić na poważniejsze
szranki. ++ Należy pobić wzpół-
zawodników na błoniastrzie niższego
stopnia, aby móc uczestniczyć
na wyższym. ++
Na samym szczycie błyszczy
Prix de Rome. + Nie dziw, że
młody artysta, przeszedłszy szczę-
śliwie prób, ubiegający się o te
wspaniałe bajkę jury, zatraca
osobistość swą godność i nastroj
osobisty. +++ Jego talent jest
do tamtad mamurem, z tych
stron dotychczas obcym Rzymu,

lat rzeko gwałtowny pitwidiem profesora, że ostatecznie powinien być chudy i nerwowy figurą. ++

Logicznie rzecz biorąc trzeba przyznać, że system Rousseau jest trafny, odpowiedni i najzupełniej dowcipny. ++ W tem tylko bieda, że logika zastosowana do życia wydaje nieraz niespodziewane, nie zawsze logiczne rezultaty. Życie nie jest łańcuchem serdecznych rozumowań, lecz zbiorowiskiem objawów. - Klodwigowi przeto na świat padły, widzi w nim nie rzeczy abstrakcyjne, ale tłum barwny, rzeko niezgodny tłum zjawisk. ++ Dla mnie jest ustrój paryskiej szkoły szkoły pięknych, ubraniem odarem, albo też przykrem owego klasycznego nastroju (esprit classique), o którym Hipolit Taine tak mądrze mówił w pierwszym tomie swej pomnikowej pracy. ++ Logiczny umysł XVIII wieku, obcy wszelkiemu historycznemu poczuciu, nie oświecony znajomością rzeczywistych stosunków, pozbawiony kontroli prostego rozsądku, doprowadził Francyę do zupełnego i smutnego przewrotu, do Rewolucyi, która popełniła jeszcze więcej błędów, niż odkryć zbrodni. ++ Francuzi obalają tronu, odmieniają niezadługo formę rządu, lecz nie zdołali by zabić, logicznego

zwycięzcy Salyńskiego z mydła i
Naród zgodnie pozbawiony filozofii
czułych upodobań i zdobności, trzyma
się jeszcze, trzyma się ciężkiej łagiewnej
nawyczności. —

Mniejsza więc o talenty, mniejsza
o osobności, które zgubnem zabija.
Społeczeństwo nie mówi im:
„Starajcie się nadzwyczajności, wyrobić
sobie indywidualność, starajcie
się być sobą." — Mówi im nakaz
miast: „Pracujcie pilnie, pracujcie
tak myśle, że powinniście się
swoim profesorom podobać. —
Jeżeli pójdziecie utartą drogą,
jeżeli przydziecie w duchu osobiste
wasze popędy, nie zbraknie wam
obelgi zewsząd ze strony Paryża
i Kraju."

Nie można się dziwić, ani zapewnić
niewinności tych prac, które uczniowie
Szkoły szkół pijanych
wypisywali, ani niedbałemu porów-
nowi moralnemu młodych
artystów francuskich. — Że to
przeważnie ludzie, chciwi uznania,
odznaczeń, obelg zbiorowych. —

„Walka o byt" jest dla wielu
pierwszorzędną zasadą. — Każdy
na wiosnę t. j. otwarcie podwaja
Szkoły robiciom, uczniowie
płci męskiej, powitali koleżanki
szydłem i gwizdaniem. — Na zapy-
tanie, co ich skłania do tak brut-
talnego z nami francuzki uprzej-
mości niegodnego podłych,

odpowiadali zgodnie i bez wstydu, że kobiety mogą odtąd zdobywać odznaczenia i nagrody, że dla dawnych uczniów będą stanowiły poważną konkurencyę. !!! A więc precz z atelier'ami! — Bo tu nie chodzi o sztukę, chodzi poprostu o zamówienia, o chleb powszedni. (Prasa rzuciła się na młodych malarzy.) !!!

(Złem zdaniem powinna być raczej wystąpić przeciw ustrojowi Szkoły rządowej. — Szkoło się dawna zasadę „walki o byt", szkoło się dziś w czym wprowadza, nie naturalnego ujęcia w stłumieniu miłości sztuki, w altruizmie przyszłych artystów.

System oficyalnej Szkoły, który nekcyę jej nieco przedawniony — wywołały w paryżu reakcyę. Powstał cały szereg szkół prywatnych, gdzie i Francuzi i obcy uczą się rysunku, malarstwa, modelowania. !!!

Znani nieraz słynni mistrze udzielają sami rad młodym artystom i artystkom. — Patronowane, niemal na przedmieściach umieszczone „akademie", pp. Julian, Colarossi, Délécluze ściągają tłumy adeptów. Wielu znakomitych rzeźbiarzy i malarzy wyszło z tych szkolnych instytucyi. —

Chcę być zupełnie szczerym, muszę oświadczyć, że dzisiaj francuska szkoła artystyczna wyrabia w swych uczniach pewną (wielką) władzę w rzeczach Europy

zalety: umie rysować, znać anatomię ludzkiego ciała. Profesorowie przy ulicy Bonaparte'go i kierownicy prywatnych „pracowni" wśród potrudzonych dziełami pary, władcy grozny nacisk na zgrubniałe figury ludzkie). ++.
Benvenuto Cellini Cellini niegdyś mówił że szkoła jest to umiejętność nauczonania mężczyzny i kobiety). ++. . .
(Dzisiejsi artyści francuscy mają wprawdzie szersze, rozleglejsze i może grubsze pojęcie swego zadania, ale nie tak ważą tradycyi Renesansu, zasad Cellinicgo. ++ Toteż nigdzie się tak nie można nauczyć rysunku, jak w Paryżu. ++ Stądże należy wyszukać młodych naszych artystów nad Sekwaną. ++ Nie radziłbym im jednak pozostawać zbyt długo w „Świetlanem Mieście". (Ville Lumière). ++
Radziłbym, aby się borykali ze szerzeniem, choć może grubiańskiem pojęciem Niemców, pragnąłbym, aby unikali ciężkiej, lichej atmosfery bulwarów. ++ Nie wystawiam sobie, nie zdołam sobie wyobrazić otoczenia, „środowiska" bardziej wrogiego artystycznej twórczości, niż Paryż. ++ Ryszard Wagner, dzież może genialny i prosty, upadł, że znajdzie we Francyi publiczność dość inteligentną, dość „europejską," aby oceniła „Tannhäusera". — Wyguwizdano operę, wyguwizdano

arcydzieło, poemat sublimny i po-
ezyny. + Francya wywarła jednak
na swój sposób dobroczynny wpływ
na talent Wagnera. + Studyował on
oddawna Scarrona, myśli przewo-
dniej, szukał samego siebie. + +
Pobyt muzyki francuskiej obu-
rzył go do tego stopnia, że postano-
wił zerwać z tradycyą i pisać po
swojemu. + Pocuł, że nie zadowoli
eleganckich gości Wielkiej Opery,
że nie zdoła się nagiąć do wymagań
paryzkich. — Pocuł równocześnie, że
na coś użytecznego do wiedzenia, "
dużo myśl w dużych zarysach. —
Wiedział, że dziecinny stan Francu-
zów nie może go zrozumieć. +
Postanowił zatem nie bierzyć się
z nimi, być z miasta i prosto sobą,
wielkim, czystym niemieckim mu-
zykiem i poetą. — Przybywszy ów-
czesnego Paryża Ryszard Wagner
wie zanurzyć się w germanizmie.

Muzyce Meyerbeera zawdzięczamy
po części uświadomienie potęgi,
którą Ryszard Wagner miał w sobie,
i odarał z wiatu. —

Jeżeli Paryż ma dziś na
wszystkich artystów, to wypraco-
wany nasz ~~Dzisiaj~~ nad Sekwaną.
Cóż dziwy czerpają tam i inne
wpływy, a wielu młodych malarzy
wywozi stąd więcej dziwactw, niż
zdobyczy. ++

Wagner opuścił Francyę, ale jego
opery powoli do niej wracają.

Mistrowano zrazu zabić „Lohengrina“, ale przetrwał pierwsze burzliwe wieczory. — „Tannhäuser“ wywodał już same nerwy oddaski. — Świeżo powiano „Mistrzów śpiewaków“ z entuzyazmem. + Chwała Bogu z tych wszystkich to może objawów, że nie najpoetyczniejsze, jak tu będzie opery, ale te realniejsze, do muzykalnej dusz medyi zbliżone, najwięcej odpowiada gustowi francuzkiemu. ++

Co prawda przedstawienie Wagnerowskiej opery ma być z nadzwyczajne. — Nie mogę o niem jeszcze mówić de visu, lecz wiem z rad pochwalców. +++

Bo pawyżda zabawnem wydawała mi się dobre wystawienie Wagnera. — Widział on wprawdzie takie reprezentacye „Lohengrina“, że nie chciałoby ich słuchać w małych miastach niemieckich, gdzie czasem, np: w Frankfurcie nad Menem, zdarzy się tak jęczmy Lohengrin, jak Bandrowski. — Pamiętam natomiast „Tannhäusera“ z dobrej sceny niemieckiej.

I jeżeli Księżna Paulina Metternich, bywając w Paryżu, chodzi oglądać operę, której tytuł zajęła się jeszcze za Cesarstwa, jako ambasadorowa austryacka, nie ma już ona dziś powodu tamać w chusteczkę gniewu wachlarza o brzeg loży. ++ Bo na scenie śpiewają wybornie, w sali słuchają nieźle, i dziwo, która przedstawiała przed laty, zwyciężą dziś, zupełnie bez protekcyi.

R. i M. Gorscy.

Wiedźma / 12 Grudnia / 1899 r.

~~Wiedźma 1899 r. 234.~~

Listy z Francyi.

~~III~~

III

(Ostatnia książka pana Brunétière. — Niektóre jego poglądy, gusta i uprzedzenia. — Charakter „społeczny" jego pisma. — Rozdział literatury francuzkiej na odwrocie i znaczenia, które autor różnym odcieniom przypisuje.)

A gdybyśmy też, nie pomni wrzasku i zgiełku, pomówili dziś o czemś obcem całej sprawie Dreyfusa? Nie będzie to wzorem taktu. — Trudno jest tak się skupić, zamknąć się w ścisłej ciszy, aby krzyk rozwścieczonej gawiedzi, nie dochodził do uszu, nie dostał się z ulicy przez okna zamknięte i zasunięte firanki. — Silny wiatr bije dziś o ściany starego domu, w którym mieszkam. Nad całym Paryżem rozszalała się burza. + Słońcie świeci chmury się na złoto.

Nie powiem dziś ani słowa o najnowszej jego powieści, wychodzącej w odcinkach dziennika. — Wolę poczekać, aż ukaże się w formie. + Nie mam również serca

prawić o szkodach, które w tej chwili
gromadzą publiczności w teatrze. —
Na cóż mam mówić o błahych,
lichych komedyach, kiedy się taka
straszna, bolesna tragedya rozgrywa?
Szczęściem istnieje świat osobny,
świat naukowej pracy, świat dążeń
ku wzorowych. + Autorowi ich nie
idzie na nieśmiertelność, badają
jednak, trudzą się i piszą. — piszą,
bo mają coś do powiedzenia — spodziewają się, bo szukają tej prawdy,
która nieraz gardzi tłumu mężów
politycznych, bo całe swe życie
oddali na jego usługi.
Ta miłość prawdy naukowej nie
jest wrodzoną, wdaje się tutaj
romańskim. — Germanie, którzy je
w polityce lekceważą, są a priori
jedynymi jej wielbicielami w badaniu.
Ale niemieckie tchnienie przenosi
się przez Francyę. + Po za-światach
starych, w cieniu tak olbrzymich stosów
wiedzy, pracuje się dziś w Paryżu równie zawzięcie i równie
systematycznie, jak w Lipsku i w
Berlinie. — Wdzięczymy więc
pomówili o tych cichych i
poważnych dziełach naukowych?
Wydawca zrobił te nowe francuskie wydawnictwa na stole.
I wydaje mi się odrazu, że buja
zewnątrz przycicha, że światła przygasają się chwiać i migotać —
Biorę naprzód do ręki gruby tom,
„Potrzeby ruchu dziejów francuskiego

piśmiennictwa" / Manuel de l'Histoire de la littérature française. Paris, Ch. Delagrave., 1898/. Autorem jest p. Ferdynand Brunetière, członek Akademii Czterdziestu.

Dziwny to człowiek. + Niemasz pewno we Francyi pisarza, któryby tyle był czytał i tak dokładnie znał wielkich francuzkich, ale i obcych autorów. + Dość powiedzieć, że na wiele lat przed modą, która wprowadziła Schoppenhauera do Francyi, pan Brunetière ocenił doniosłość jego filozofii. + Zwalczał ją nieraz – ale rzecz w paryżu zbyt rzadka – przeniknął ją, zanim ją odgadł. + Jako profesor, w „Ecole Normale," jako literacki redaktor w „Revue des Deux Mondes," wydał wojnę różnym artystycznym dziwactwom, które uważał za zgubne. Przeciw indywidualizm – romansu tych lat, niezdrowy powieści realistycznej. + Nie znał wówczas, ani litości, ani upamiętania. + Nie pojmował w ogóle literatury – po za swem osobistem pojęciem o literaturze. Bywał wprost niesprawiedliwy i dla średniowiecza, i dla lat ostatnich. + P. Brunetière ogromnie wiele czytał i nie bardzo dużo, ale wydaje się rzadkim, że nie wszystko rozumie. + Dopóki nie przekracza granic wieku XVII i XVIII go, dopóki mówi o Corneille'u i Molière, o dziełach Voltaire'a i Jana Jakóba

Rousseau, słuchamy go piśnie, wierzymy mu na słowo. — Ale kiedy nie będę filologiem, zaczynam prawić o poezji średniowiecznej francuskiej, kiedy je w rambuet potępia —, kiedy pieśni ludowe XIV stulecia, restawia z kapitelami współczesnych „cafés chantants", czujemy, że się coś psuje, że pisarz przestaje być historykiem. — Podobnie ma się rzecz z nowożytnemi dziewosłami w piśmiennictwie. —
Świeżym uwielbieniem, które Edmund de Goncourt obdarzał swoje własne prace i swoje dostojne osoby, umyślne czy przypadkowe niejasności tak zwanych „dziewiętnastowiecznych", „neo-mistyków", — „neo-chrześcian", różnica wrażliwej admiracji, coraz częstsze, wśród nudnych dzieł pisarzy, arcydzieła dydaktyki, błahe zabłąkanie drugich — wszystko to i wydawało pana Brunetière do tego skłaniać, że brakło mu zbyt często owej pogody, bez której niemasz krytyki, przynajmniej tej apodyktycznej, jedynej, którą sam pan Brunetière uznaje. — Dla niego krytyk — jest to sędzia, odpowiedzialny naprawdzie przed potomnością za wyroki, ale w chwili obecnej upoważniony do wymierzania sprawiedliwości, do stawiania pozycji i do karania śmiercią. — Nie przypominam sobie,

aby literacki recenzent „Revue Des Deux Mondes" zadecydował pomiędzy konkurentami ze współczesnych. — Byłem natomiast świadkiem licznych, krwawych egzekucji. Rod tego, czy dzieło publiczności odgadywało objawiciela, widziała miarę w krytyce-potomności. — Po jego ocenach nie porozdzierali się, albo prawie nie z Flauberta, Daudet'a, Zoli, Verlaine'a, z tylu innych, z tylu wydawanych książek braci Goncourt. — Tuódy Bourget, Zoli, Lemaitre zaczęli wystawiać głowy nad poziom zwykłej miernoty, pan Brunetière rośnie z zapałem, jak pulle makówki. — Wszyscy starzi pisarze, których wymieniam, albo spotkali się z odmową akademii francuskiej, albo nie mogli o niej, (jak np: Verlaine), ale ten wydali jej wojnę. — Młodzi natomiast, postarali się o rezerwowy fotel i kolegują dzisiaj z panem Brunetière. — Piszą nawet do drugo godnika, którego od lat tylu nie czytają. —

Nie wątpię, że ze rezerwacją, której dał mi tak dowody, uznaje on sam, że się grubo pomylił w surowych recenzenckich wyrokach. — A nawet kto wie, czy dzisiaj nie czuje, że dawne prace młodego Bourget'a, te właśnie,

którem zwalczał i potępiał, co wydało mu się, prawdziwe od osądzonych. —
Przeciwnie, jest to z natury — nadwiślańskie — „społeczeństwo," to jest człowiek zajęty ogółem spraw społecznych, oddany niejako stronie ich praktycznej, więcej zatem, niż teoretyczej — w codziennem, potocznem znaczeniu wyrazu. — To należy dowodzić całości społeczeństwa, prawa jego bytu i rozwoju, pogrążając go zawsze." — W obec nowego literata i jego utworu, jeżeli nie pierwsze, to jedno z pierwszych jego myśli, było to: czy dzieło przyniesie ogółowi pożytek, czy szkodę. —
Przez pewien czas miał określone pole działania i recenzyę literacką i historyę literaturę. — Jako profesor w „Ecole Normale" wygłaszał podobno miłe te same pogądy, które rozwijał w artykułach „Revue des deux Mondes." Jeżeli się czytelnicy dzielili na dwa wrogie obozy, to, jeden z nich wiarogodnych zapewnień, wśród słuchaczy miał prawie zawsze zwolenników i przysięgłych uczniów. — Od chwili objęcia redakcyi pisma, w którem przez lat, pełnił obowiązki literackiego recenzenta, powierzył dobytek czasowy swój dział pan René Doumic, młodemu i zdolnemu pisarzowi, który podziela w zupełności jego przekonania, ale ich broni w całkiem odrębnej sprawie.

spodrojniej, dyskredytniej, a może skuteczniej. + Walery nie obserwuje i pogardza: walery ironię. —
Literackie krytyki wyrażone „Przegląd dwóch światów" między zwycięstwem prawdy wszechczasów fałszerstwem. + Porównując wiadomości dotychczasowych środków walki, wymowę, patetyczność, zły, chwyty się broni obosiecznej, ale jednej, która zadaje dwie rany :)
(chwyty się ironii. —
Brunetière przekład wówczas zajmował się dziełami późniejszego Lutra, postanowił rozszerzyć widnokrąg — odrzucił przykłady. —
W odległościach i brzegach wyrażenie jako potencjał i „potencjał."
Jedna z tych odległości, nosząca tytuł „Bankructwo nauki," wywołała burzę długotrwałą i — w mojem przekonaniu — niepotrzebną. — Bo dlaczego, że zdyscyplinowanego uczonego wyprowadził raz stan, który zaszkodził prawdziwej i prawej umiejętności, a w rękach przyrodników, wywołało, albo śmiech, albo zat i oburzenie, dlatego, że pan Brunetière, chemik, a politykujący chwilowo na męża stanu, pokrzywdził się kandydaturą na francuskiego ministra i zawołał: „Świat nie ma już tajemnic." — czy wypadało dla tego, czy wypadało poważnemu badaczowi użerać z kretynem, że nauka już zbankrutowała? — P. Brunetière, który wprowadza teorye ewolucyjne do

studyów nad rozwojem umysłowości i piśmiennictwa, ulegt powinien wojowniczemu swemu temperamentowi. + W gruncie rzeczy sam się jeszcze w nauce.

Na wiosnę 1886 wyjechał do Ameryki, aby w publicznych wykładach zwalczać realizujący powieść francuską. Nie dziwiło się Lucjanowi, jakoby na kampanię przysporzyło w paryżu życzliwych. Stamtąd udał się do Rzymu, gdzie dostąpił zaszczytu prywatnej, blizko godzinę trwającej audyencji u Leona XIII. + Brunetière ma podobno zamiar pisać rodzaj apologii katolicyzmu. + Podaję to na wiarę dziennikom i do-peryskich; innemi słowy – nie biorę odpowiedzialności za wiadomość. Przecz zresztą nie wydaje mi się jednak niemożliwe. + + + +

Wśród wszystkich literackich swoich ciasnot, wśród szeregu niepowodzeń, jakich się doświadczył, nierozwiązanych problemów, o których pisze, odczuwał się zawsze skrzeczącą złość i zgryzotę przedwczesną. + + +

Fontenelle napisał, że gdyby miał prawdę w dłoni, nie otworzyłby nawet pięści, aby ją pokazać światu. Raz, dawno, w zapale polemicznym Brunetière oświadczył, że w danym razie jest gotów sam ją potępić. Przyszło mu zapewne na myśl francuskie przysłowie, że nie stara prawdę, należy ją zgładzić. + Nie wiedział, że się jego zdanie zgotuje

z czterowierszem Miśkiewicza. — Myśl ta zapewne o chwilowych prawdach w zadaniu politycznym, o opportunizmie pośród spraw bieżących. — Idzie jednak, aby i wówczas przed tłumy, Brunetière nie zbierał do tych, którzy radzą — przejść do porządku dziennego nad sprawą winy lub niewinności żołnierza, oskarżonego o zdradę.
To w każdym razie pewna, iż — mówiąc, o słuszności badania, uczciwym badaczu zrodzi dla samego siebie prawdy, zwiększy dla własnego sumienia! — Do niedawna bezbronne w kwestyach religijnych prawdziwym, nieprzekonanym sceptykiem. Całe jego wyzwanie opierało się — jak zresztą — na nowoczesnej filozofii. — Uczuwał w wierze, w dogmacie podświadomie; wielką siłę społeczną, wielką i społecznie dobroczynną. — Pozostawał jednak na neutralnym terenie obserwacyi.
Świeżo ogłoszony podręcznik wydaje mi się nie tylko ważnem i cennem dziełem p. Brunetière'a, ale również znaczącym faktem w jego biografii, w dziejach jego wewnętrznego rozwoju. — Przedmowa zapowiada wprawdzie inną, dwójzdaniową, zdaje się, może wielotomową, ale ja mam w obecnej rodzaj literackiego testamentu. — Nie zdziwiłbym się, gdybym na niej lub na innem tomie znalazł oświadczenie ks. mieszczącej treści: „Mam lat blizko pięćdziesiąt. —

Mogę sobie dać tę sprawę dlatego,
że potrafię zgłębić poświęconem badaniu literatury francuskiej, tych
perfidnych, które uległa, i tych,
które wywarła na zewnątrz. +
Doszedłem do różnych rezultatów,
z których nowości i znaczenia ani
wydzielenia publicznością, ani na-
wet uczeni, nie zdają sobie sprawy.
Obecnie mam zamiar poszerzyć prze-
strzeń dla teoretycznej strzelaniny) –
Nie chciałbym jednak, aby wszystki
moich dotychczasowych usiłowań
poszły na marne. – Wydaję zatem
dzieło podwójne). ++
Pierwsze część daremnej stronicy zajmie
wynikający mego drobiazgowego zapatry-
wania na rozwój francuskiego –
piśmiennictwa). + , , , ,
W drugiej zaś części, obok bardzo
zamiennych – wydawniczych bibliogra-
ficznych, objaśnienia do wydanego
dotychczas mojej książki: szereg uwag,
notat, odnoszących się do różnych autorów
tów i innych i moich. – Radzę
sobie z tem jak możecie."

Muszę dodać, że gdyby ta fantastyczna
rzecz, przeze mnie skomponowana
odczytana, była naprawdę wyszła
z pod pióra p. Brunetière, różniłaby
się z pewnością od pomyślanej.
Po pierwsze: byłaby o wiele krótsza
i mniej szkaradna – i ta okoliczność nie
wydałaby się niektórym dowodzą.
Powtóre francuszczyzna byłaby
tak skomplikowana, wydania tak

popełnione w jednem ostrzymi odwiedzi, że nie byśmy się nigdy oświadczyć przestrzegli - odezwę na polskie prozy czytelnicze - Hart na stronie Lumbardzkiej, że może to i niestosowne żart. — Ale trudno nie przyznać, że pan Brunetière, utrwierdzony w zasadzie nowożytny i pojmujący zmienność epok, usiłuje niekiedy pisać objektywnie. XVII wiek, a nie wie, że dzięki nieumiarkowanemu umysłu, wrodzonej dodatności skłonności pozostawania szczególnie popada nie w pewność, nie w odwzględność zdań Boileau, ale w rozwlekłość drobiazgowość wielu autorów niemieckich. —

Książka jest wysoce interesującą, nosi bowiem na sobie wyraźne piętno nieodzownego umysłu -, stałej nieposzlakowanej erudycyi. — Zwykłość szczegółowego autora wynagradzają tu w bladej wady nie rzucają się tak silnie w oczy. — Sobieżny obraz dziejów piśmiennictwa francuskiego, zajmuje górną część stronic, można z tych świadczyć w jeden niekiedy przeczytać zdaje jednak, że aby tem trudniej w całej pełni swej ocenić, należy znać dawniejsze dzieła, wcześniejsze poglądy, szczegóły... studyja pana Brunetière. —

W rozdziałach dolnych mieszczą się: z jednej strony — daty biograficzne, daty wydań, tytuły najlepszych monografii o danym pisarzu -, a z drugiej — i to jest najciekawsze, —

szereg uwag szczegółowych, nieraz nawet rzędu drobiazgowych, chwilami trochę dziwnych, uwag, które rozwijają myśl, będącą zarodkiem w dziele. + Wygląda to wszystko dość dziwnie. – Przedtem, za Brunetière, mając wydać obszerną wielotomową książkę o literaturze francuskiej, zapisał sobie daty, których dołączać zamierza, a dzisiaj, rzuciwszy plan pierwotny, ograża drukiem, owe drobiazgi notatki. – Nie mnie rzecz się z autorem, niż wiele z nich stworzyła. + Dla czytelnika, umiejącego czytać tekst zdrowy, dla wczytanego w ciężką francuszczyznę byłego profesora Szkoły Normalnej, są to rzeczy pewne nauki.

Tom liczy prawie 500 stronic, ale niemasz w nim całych dwudziestu kart, poświęconych wiedzie średniej. Mówiąc o dziejopisarskiej działalności Voltaire'a, potępia p. Brunetière jego kapryśne wybory faktów i epok, godnych opracowania, lub niegodnych nawet przelotnej wzmianki. + Pomimo to, w ciągu tych długich stuleci, które piśmiennictwo, zalewające całą Europę średniowieczną, znalazło dziś badaczy w Niemczech, Włoszech, Skandynawii, a nawet i u nas, p. Brunetière nie widzi nic – nic godnego zajęć uwagę. +

Wiek XVI przyniósł nowy pierwiastek poruszeń artystycznych, wzbudzający ambitniejsze zadania pisarza. + Z wrogą zadumą niady,

wrócą zasady: „rzeczy dla rzeczy,"
podkopie dotychczasowe artyzmu. —
Wierny francuskiej zasadzie klasycznej, że chcąc dobrze skomponować dzieło, należy wiele rzeczy pominąć, dużo prawd we mgle utopić, i całe światło, podobne do blasku operacyjnej reflektorem lampy, skupić na kilku najważniejszych rysach szczegółach, Brunetière sekundowany obszerniej ruch i rozwój ojczystego piśmiennictwa, aby półtora wieku wydobyć z ciemności — i jako wiekuisty ideał przed narodem postawić. !!
Blizko trzysta stronic pomija epoce, w której odbywa się proces, „uuarodowienia literatury!" —
Trwa on od 1610—1763 roku, od zamordowania Henryka IV do wstąpienia na tron Ludwika XV, od zabłocenia pałacu Rambouillet do salonu pani de Lambert. ++
Audoura ki i Calimeny, Wedowie i Harpagoni — oto są prawdziwe, szczere i rodzime typy. —
Na początku XVIII wieku zaczyna się „rozkwitanie ideałów klasycznego."
Od roku 1802, od urodzenia Wiktora Hugo trwa epoka „nowożytna". —
Autor mówi tu tylko o zmarłych, a mówi z pewną, niezwykłą u niego nieporozumiałością. — Gustaw Flaubert i Leconte de Lisle i nawet ten komedyant Baudelaire zdobywają się z powagą zgrozy o nich.

O braciach Goncourt niema wzmianki. – Żal mi trochę młodszego z nich, Juliusza, który był moim chorobliwym, ale szczerym przyjacielem. – Harry, Edmund, tyle o sobie samym napowiadał, że my, potomni, mogliśmy go już nie wspominać. –
Niechaj mu ziemia będzie lekką i niech obojętność nie boli. –
Ostatnie słowo o Księciu Brunszwickiego.
Nie polecam jej ogółowi do czytania: polecam ją tym wszystkim, którzy lubią dzieło przeanalizować, wyssać szpik z kości, tym, którzy zwykli mozolnie dobywać żywotne soki z karłowatej biblioteki szkolnego podręcznika. –
Można się z niego wiele nauczyć o literaturze francuskiej i o nauce francuskiej: – wreszcie mi będzie wolno dodać ogólniejszą, cenną obserwację, którą mi dzieło Brunetière'a nasunęło. – Oto w Niemczech, nawet arbitrzy, jak grzeczny Piotr Cornelius, jak przykładny Wilhelm Raabe pragną iść w zawody z uczonymi. We Francyi nawet uczeni, nawet ludzie dalekoczytani, dalecy obojętności o prawdę, jak pan Brunetière, chcą nam przedstawiać dzieła sztuki, rozporządzać własnowolnie, jak malarze, blaskiem, światłem i cieniem. –
Z jednej myślę i drudzy.
Cały stos innych uroczych ksiąg czeka jeszcze na mnie. –

Ale nie przeszła, nie cicha, nie
zemsta. Brunetkine zawiódł mię
dalej, niżeli iść myślałem. —
pomimo niedyspozycyi o której
nadmienięch dziełach francuzkich,
całkiem odmiennych, mniej
oryginalnych, bardziej metodycznych,
a równie ciekawych.

R. M. Górski. —

Listy z Francyi.

IV

piątek 31 grudnia 1897

Ks. Scheurer-Kestner, i cywilna odwaga „Figara." — Śmierć Alfonsa Daudeta. Nekrologi pióra Zoli. — Flaubert, Goncourt, Zola. — Powieści Daudeta — Jego obrazki i nowele — Jego charakter.

Uwaga wywołana sprawą Dreyfusa, prawie przycichła [illegible]. Pośród tego względnego uspokojenia zaczęła narastać nuta wielkiej narodowej żałoby. — Dnia 16 grudnia, o godzinie 8½ wieczorem, zdumiał nagłe Alfons Daudet. —

Ubywa znowu Francyi jeden z tych nielicznych już dziś pisarzów, których talent całą Europę przyciągał i zachwycał. „Jak temu lat osiemnaście — pisze w swojem nekrologu Zola — pewnego wieczora, w samotni mojej w Médan, krążąca depesza obiegała Maupassant'a, który miał również zginąć obłąkany śmiercią, donosiła mi o pierwszej bolesnej stracie, dotykającej nas wszystkich bólem: Flaubert nie żyje! I oto osiemnaście miesięcy temu telegram Daudet'a spadł na mnie, z tą samą nagłą brutalnością, w letni pogodny poranek: Goncourt nie żyje! A teraz uderza piorun po raz trzeci, w wesołej wieczór, w chwili, gdy serce zapomniało i o żałobie i o nieustannej zmienności ludzkiej doli: „Daudet

nie żyje!"

„Wszyscy oni zmarli tym samym nagłym zgonem. — Umiorda ich odtarcie śmierć gwałtowna i dobroczynna, lecz bolesna dla nas, którzy zostajemy."

Kolej tak Konior wspomnienie: „Goncourt powiedział za Flaubertem, a ono teraz Daudet zasnął obok tamtych. Jestem sam."

Ale jak zwykle, złośnicy, panowie Bourget albo Marcel Prevost — zastrzegą w obecnem stadyum tej już działalności się to — drugorzędni powieściopisarze —

Pierwszy z nich utracił, co miał najlepszego: ufność, zapał młodości; drugi zagubił pewne właściwe poczucie rzeczywistości, nie tylko względnie wyższe wartości swych bohaterek, ale i wyższe wartości literackich zamiarów. — Nie mówię o Widdowie Cherbuliez, nie bardzo zresztą tym, ani o Julianie Clarétie, który się chyba nigdy nie zaliczał do mistrzów powieści. — Nie wspominam wielu innych pisarzy, mniej lub więcej obcych, albo wrogich dziennikowi Zoli. — Wśród drewódki, z której sam jeden poradzę, ja, odróżniam ludzi dwuimiennych nie tylko dwuinstancyjnie, ale i datami kalendarza.

Flaubert, najstarszy, był w gruncie rzeczy zadawnionym romantykiem.

Prawie bezwiednie, niejako przypadkiem zostaje, jeżeli nie twórcą, to przywódcą realizującej szkoły. — Jest to zresztą mający o sobie innem, że dopiero z czasem uświadomił w sobie pewien brak lirycznego polotu „i z hymnu zstąpił do prozaicznej powieści." Stworzył na tem polu istne arcydzieło, bolesną, przykrą, porażającą, w istocie zaś bardzo moralną książkę, „Madame Bovary!" On pierwszy nauczał, ile jest uroku, nędzy i goryczy w nieprawej, w niecudzołożnej przed światem wzgardzonej miłości, ile jest w niej przysięgi. Pod jego oczami upadł dogmat romantycznego, wiara w omnipotencję uczucia, w prawa namiętności poryw. — Flaubert stoi na progu nowej szkoły, stoi jak po równi pochyłej, do wytężonego badania wszelkich objawów ludzkiej moralnej niemoty, znaczenia i głupstwa. — Był on, jak trafnie mówi Brandes, nie „wrażliwy", lecz ... „imbecylizny". —

Szczegóły umiejętnie dobierane pozwalają zachęcać brak miejscowej mgły, zwodniczej i płodnej. — Jak Balzac, którego z nim dziś nie porównujemy, trawił dni całe na poprawianiu języka swoich powieści. Dowiódł on każdym razem do niepoprawnego mistrzostwa, w tym zakresie, jak jednym z najwybitniejszych stylistów, jakich nasze stulecie wydało. —

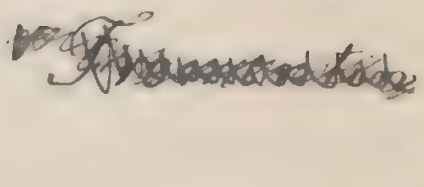

Zakopiony w drobnej zazwyczaj historyi, przeważnie drobnych swoich bohaterów, cierpi do końca, dumną nienawiść do wszystkich objawów codziennego życia. — Opisujące śmiesznych liberałnych apodiaty, uporniast się — nie bez wrzawy — o prawa — rzekli dla ich ludzi. Twierdzi, że świat cały istnieje wyłącznie na to, aby go poeci mogli opisywać. — I odróżniając, jak romantycy, świętą grono artystów od pozostałej ciżby, a chcąc dogodzić pochlebiać, odrzekł od cnót i wiary, mówił o nim lubianym swoim słowem: bourgeois. —

Talent br. Goncourtów wyrósł w innych warunkach, z innych podań. — Dwóch rysowników, zamiłowanych w obserwacji, zawsze mało pisać osobiście uwagi, wolowali przy wrażenia. — I biegiem czasu pióro i papier zaciężyły na ich życiu rytem i przykry nieboże. —

Malarze czerpali nieraz w beletrystyce nowego ujścia dla nadmiaru pocreć, obserwacyi, zachwytów. — posiadamy drobne powieści Rafaela, Leonarda da Vinci, cały szereg sonetów, madrygałów i hymnów Michała Anioła.

A w naszym wieku, czyż Eugeniusz Fromentin ~~Fromentin~~, którego obrazy widzę jak w Luwrze, nie napisał wybornej psychologicznej powieści? Czy Jules Breton nie ozdobił kilku tomów wierszy wdzięcznych i dziwacznych, natchnionych

f

i prostych? — I w polsce znam
pewnego malarza, jednego z najwyższych,
który zamiast przynosić mi od czasu
do czasu poemat do przeczytania i za-
miast, jo polecam chować do szuflady,
powinien był dawno puścić na świat
szeregi subtelne strofy, subtelne a
świeże, j[illegible] przesiąkłe „zapachem ziół
i szarych pól," — wonne i kolorystycznie
zarazem. — Ale żaden z powyższych ma-
larzy — skądże na to nacisk — nie opuścił
pracowni. — Przywalił wiersze, jak
Ingres grywał na skrzypcach — w wol-
nej, dobaj chwili. — Zauważam nato-
miast, że artyści plastyczni, przenosząc
się zupełnie na pole literatury, przy-
noszą zazwyczaj ze sobą pewne nawy-
kinienia malarskie, pewną „technikę",
która im w nowym zacodzie pracy
przeszkadza, niż służy. — Tak Teofil
Gautier np. nie pozbył się nigdy
jakiejś formalistyki, jakiegoś drobia-
zgowego zamiłowania w szczegółach,
niezbędnych w rysunku, często zbęd-
nych w poezji. — Los jego przyjaciół,
zawód braci Goncourtów potwierdza
moją uwagę. — Trawieni chwastofobią,
nauczyli się, że trzeba dodawać trochę
do krzaku, mnożyć pociągnięcia ryl-
cem, im więcej bowiem szczegółów,
tembardziej zaokrągla się porcja. —
Zostawmy powieściopisarzom, nie-
szczędzącym nieraz po dziesięciu ryso-
wnikach, drobnych obserwacji. —
Ale czytelnik nie zdoła nigdy zbyt
zapamiętać, zachować w umyśle

Szczegóły, które o rycinie wyszczególniają
równocześnie, następują po rycinie
kolejno, jeden po drugim i każdy ryc
poprzedni ginie pod wrażeniami dalszego.
Wyobraźnia czytelnika nie umie ani
utrwalić, ani rozmieścić w całości, szczegółów
charakterystycznych dobranych przez rycerza.
Pisarze krajobrazy bracia Goncourt
zamieniały się na pstrocizny plam
bezładnych, porzucie na zbiorowiska
pociągnięć piórem, na figury, złożone
z tysiąca postrzeżeń, że nie można
się jasno, czysto zarysować. —
W literaturze trzeba zwłaszcza linij.
Wreszcie i szczegóły mogą pomóc uwy-
datnić prawdę, czy prawdopodobieństwo
słowa. — Dickens, Flaubert, Maupassant
Tołstoj i Sienkiewicz posiadają dar
nakreślenia postaci silnie przez
mi stronę. — chodzi o to, aby pisarz
odnalazł linie zasadnicze. —
Dopóki żył młodszy z braci Gon-
courtów, Juliusz, chodzili razem
żywi ludzie po ich książkach. —
Gdy więcej lat oddalało starszego,
Edmunda, od dni współpracownictwa
tem częściej odzywała się zazdrość
i przykra. — Sława Edmunda nie
przekłada jednak rozumu. — Znał on
wybornie sposób narzucania się
słuchom. —
Gdy pierwsze — ogłosił się wrogiem
wszystkiego, co ludzie uważają i sza-
nują. — Kiedykolwiek się nie dostał
do „Revue des deux Mondes" albo do
Akademii francuskiej, skarżył się

8

oczywiście jego stronnikiem i jego wielbicielem. —
Po drugie - zdumiewał swoich współczesnych, które we Francji nie mogły nie wywołać wrażenia. — Były bowiem dwie rzeczy, że zaprzeczały się przeciwieństwa rozgłosowi. — Przede wszystkim że istnieją tacy filistersko admirację, tacy przeciwnicy i zamiłowanie do wsi i natury, do katedr gotyckich, do morza. — Człowiek, który w zobie niósł napewno ostatnią duszę Faustа, był tylko księżowskim, drobiazgowym umysłem, bratem Wagnera, „ucznego durnia" w powieści Goncourta. — Trzeci pomysł Edmunda de Goncourt był również prosty i wyraźny do celu: wypowiedział po dwóch wojnę wszystkim znanym mężom - z wyjątkiem kilku wiernych. —
Kto tak intensywnie podnosi, może zawsze liczyć na sprzymierzeńców.
Każdy ma bowiem wśród tych uznanych, swoich, którzy mu zazdroszczą. Sposób uwarty wywołuje wreszcie dzieło. — Edmund de Goncourt pozwolił samemu siebie na odtrącenie i sobie samemu zaczął palić kadzidło. — opowiedział przed światem swoje dziewięcioro domach „Dziennika" — co w danej chwili myślał o przyjaciołach, o przeciwnikach, o sobie nie wahał się ogłosić za dramatycznego pisarza tak wielkiej potęgi, że Szekspir jest w obec niego chrześcianem.

Jeżeli zasada Don Basilia: „Szkaluj, szkaluj, zawsze coś z tego zostanie" — jest w istocie praktycznej, to i ta druga: „Chwal się, chwał" — prowadzi niewątpliwie do pożądanych rezultatów. —

Autor „Chimer" był z pewnością człowiekiem wysoko wykształconym, bynajmniej nie pozbawionym talentu. Sądzę mimo to, że jeżeli dzieły w historyi literatury znajdzie miejsce, to będzie w niej występował jako typ „grafomana", mówiąc z Heinem — „als ~~Warnendes~~ Exempel." — Warnendes

Nie ambicya, nie duma, nie pycha nawet, ale licha próżność zabiły w nim rzetelność, szczerość i artystyczne poczucie. — Kto nie czuje szacunku dla niej samej, ten dla niej żyć nie warł i biadkiem jej żyć nie może.

Goncourt musiał mieć jednak pewną dobroduszność, która mu zawsze opuszcza pysałków i egoistów: musiał w życiu codziennem posiadać wrzód dowcipu, wybitne talenta towarzyskie. Bo czemże wytłomaczyć przyjaźń, którą go obdarzali tacy ludzie, jak Alfons Daudet albo Zola!

Emil Zola, trzeci towarzysz Daudet'a, jest z nów całkiem odmienną postacią duchowym rysem nawet różnych kierunków. — przed laty mniej więcej czterdziestu, z umiejętnem badacza, uczonem zimnem a poważnem, zaczęli ustawiać w szeregu hypotezy, oparte na długiej obserwacyi. — Czynili to ostrożnie,

widzę, że nowe doświadczenie
może jutro obalić, gmach, jak dom
karciany. — Znalezli się jednak między
nowcami, pół-uczeni, którzy oświadczyli
światu, że nowy dom, w którym
ludzkość ma mieszkać, jest już go-
towy, stary, nieustrojony. —
Tłum nie lubi czekać, nie ocenia
szlachetnej, powolnej pracy naukowej
nie rozumie poświęcenia, bezinteresow-
wności uczonych. — Tłum żąda
rezultatów. —

Dla tego, kiedy architekt., mając
sławiać wieżę, zbudzi rusztowania,
zdarza się, że tłum, chcący ujrzeć,
co się też dzieje, bierze chwilami zwąt-
pienie widząc bałagan i nieład, za mamie
rzone gotyckie iglice, za to, co dopiero
mającego w myśli rzeźbiarza artysty.

Tak było z teorye dziedziczności,
którą - na wiarę popularnych, zbyt
ufnych, zbytnio wyobraźnię obu-
rzonych pisarzy — Zola, człowiek
bardzo ocenianego, ale nie specyalisty,
nie przyrodnika, powitał jakiś pewnik
naukowy. — Oparł na niej cały
szereg powieści, całe swoje literackie
i życiowe credo. — Nie należę sam
do zawiści, wzniósł się, albo raczej
został wmieszany do tłumu. —
W subtelnych hypotezach, pewnych
restrykcyi i zwątpień zapytania, z
fatalnością potrzebnego
francuza, ujrzał nierbite naukowe
zdobycze. — O ile sami nie badają,
wierzący uczciwi ludzie za słowami

wierzyć w jakieś Nieomylność. —
Przed kilku laty „Wina" Zoli obiegły całe Niemcy. — przechodziły z rąk do rąk, a tu i ówdzie dochodziło nawet do bitki. —
Wielbiciele norweskiego pisarza, przysłali mojemu egzemplarz Dramatu — zdjętemu niemieckiemu koronerowi, który nietylko zajmuje katedrę psychiatryi, ale jest również dziennikarzem dzienno-odczytanych. —
I cóż profesor odpowiedział? „Dla nas specjalistów — mówił — nie przedstawia ta sztuka interesu. — Autor daje zbyt mało rysów dziwnych i nowych. — ale dla publiczności jest ich natomiast za wiele." —
Lękam się, że podobny sąd grozi „naukowym" powieściom Zoli.
Zola uważa w hypotezę dziedziczności, zakłada w teorye, że wszystko, co się w naszych duszach dzieje, jest tylko ostatecznym rezultatem fizyologicznych mniej lub więcej uświadomionych premis. —
Nakreślił fantastyczną genealogię swoich bohaterów, — rodziny Rougon Macquart, i łomami powieści, pozostawił nas przedmiot, o prawdzie naukowych przypuszczeń. —
Wszystkie grubiaństwa, wszystkie wstrętne szczegóły, zbyt często w dziełach wielkiego pisarza pochodzą z jego zaślepienia, z nieszczęsnego, niewytłomaczonego przedsięwzięcia. — Naturalizm chce z góry, w imię „nauki", widzieć

w ludzkości, tylko że instynkty, które są wspólne i jej i zwierzętom, które wreszcie stanowią tło. „~~[illegible]~~" [underline]la bête humaine[/underline]", musi przede wszystkim zejść do opisu ~~ich~~ ich zewnętrzeniach.
Wydaje mu się najprawdziwszemi, najbardziej pierwotnemi — dążyć objawom prastarej bestyalności, stają się dokumentami. Kluczem do zrozumienia współczesnego życia.
Człowiek jaskiniowy, o którym nic nie wiemy, ma czasem objaśnić naturę dzisiejszego człowieka. —
Zola byłby dziecinnym pisarzem, gdyby nie był wielkim. — Ma on na szczęście nie tylko uprzedzenia i teorye — ma talent. — Talent potężny, nie-pozbawiony szablonowych pomysłów, ale raczej silny, gwałtowny, niż wyrafinowany. —
Dla tego psychologia Zoli, przyprawy i odprawy uczucia w mózgu ludzkim są bardziej znane dosłownie od porywów i wahań pojedyńczej, skomplikowanej duszy. — Zola patrzy na świat przez szkła powiększające, widzi cały [illegible] szeregi olbrzymich bestyj, same ogromne postacie i potwory. W „Germinal" skopalnia, [underline]Au bonheur des Dames[/underline] nowożytny bazar, w [underline]Rêve[/underline] gotycka katedra stają się czemś nadludzkiem żyjącym, tajemniczym, i [illegible] same swoje wielkości, potężnych, pochłaniających ciała, a czasem [illegible], i duże ludzi. —

Zola jest to dyrektor wielkiej ob-
serwatorjum, rozmieszczonego w bardzo wy-
sokich, niedostępnych dźwigniach. — Słowo
podniesie balonik, trzeba ręki, huku
bębnów. — Flety i trąby rzadko przy-
chodzą do głosu —

Trzebaby raz zdobyć się na szczerość z samym
sobą. — Czy on odtwarza
świat istniejący, czy czuje w sobie
zgoła świat bezstronnego obserwatora?
Wie, on rzuca się na wielkie kwestje
z zapałem, z uprzedzeniem, z wrzącą
wyobraźnią. — przedstawia swój wła-
sny świat, pełen widm urobionych. —
Słowo postawi świecę na podłodze,
meble podrzuca mu na ściany
cień wydłużony, jakiś tajemniczy.
Tak robi Zola. Obudza chwilami
światło i sam się może dziwi, kiedy
mu wyskoczy rogi. Autor „Germi-
nala" nie jest fotografem. —
Gestko, jak mówi Julian Lemaitre,
znadwrażliwy poeta, patrzący się na
świat czarno, pesymistycznie i
pełen pogardy. —

W przeglądzie francuskich powieścio-
pisarzy z ostatnich lat niktby nie
wspomniał Maupassant'a. — Był to
największy z nich, był to może jed-
yny rzeczywisty twórca figur
żywych, niepodrównany malarz dla,
wspaniały pejzażysta. — posiadał i
myśl, dumną siłę i słodycz wra-
żeń. — Słowo go jednak Zola
nie wymienił w nekrologu Dau-
det'a, słowo mówiąc o uczuciach

zapryjaźnionych autorach, zamiast
czat o nim, jak gdyby był pięknem
kwiatem w wazie, zajmę się nim
kiedyindziej. — Wypada teraz mówić
o dwuaktówce — o komedyi „Nababa". —
W którym, który pokochał, on jeden
był z urodzenia literatem, świa-
tym poetą. — On jeden umiał roz-
trwonić arystokratów, on jeden
zdołał wyzwodzić ten uśmiech,
który się godzi ze łzami, z błogim
a tęsknem [illegible], z powaźnem a radosnem
wzruszeniem. —
Urodził się w południowej Francyi,
w kraju gdzie słońca dotychczas
rzymskie gmachy, gdzie w wiecz-
ności świerszcze nie przestały
dzwonić ni cyrylać. — Żadne
herkulesowe rzeźe kamyce nie
zdołały nad jego kolebką. — Pochy-
lały się nad nią starożytne prze-
słowiańskie wróżki, te „Gracye
obronne", o których mówi Flora-
cy. — Chodząc dziecięciem po ulicach
rodzinnego miasta, Daudet ogląd-
dał rzymski amfiteatr, otoczony
świętynią, wsparte na korynckich
kolumnach. — Te wiekowiska,
piękności, które my ludzie póź-
nocni, poznajemy dopiero z opo-
wiadań i rycin, ogarnęły
chłopca odrazu i urobiły na zawsze.
Alfons Daudet miał lat siedmnaście,
kiedy za radą drogiego, zawsze wiernego
mu brata, zajechał do paryża.
Początki były trudne. — W izdebce

woda miasta przy Kominsku. — Ale
w duszy wrzało. — Młodszy brat
wciągnął w swoje zwierzenia, i zdał sobie
z tego sprawę, że może wypadnie
że wypadnie. — później, w kilka
miesięcy. Książkach, opowiedział,
ile się z razu fizycznie i moralnie
nacierpiał. — Młodszy brat, Ernest,
doktoryzował również rozprawą do
życiorysu Alfonsa. — Niemiecki
wielbiciel pisarza, poświęcił mu
przed laty dziesięciu dwa tomy,
pełne literackich szkiców i rysów
biograficznych. —
Daudet, który nie gonił za popu-
larnością, odczuwał się — prawie
bezwiednie. — uznania w całej
Europie. —
Zaczął od wierszy, ale chociaż był
w gruncie duszy poetą, nie wie-
rzeni rozstrzygnął. — Nie miał
również wielkiego powodzenia w
teatrze. — Jeżeli „Fromont jeune
et Risler aîné" albo „Sapho" doz
czekały się licznych przedstawień
na deskach, dostosowały się do gło-
snej sławy, która ryczałty książki o
równobrzmiących tytułach. —
Daudet był do miszu opowieści,
z razu przeważnie lirycznej, a później
coraz bardziej obfity o szczegół, do z
kładnie opisu, o drobne, trafnie
dobrane, charakterystyczne rysy. —
Wiadomo, że miał stale w ręku
ołówek i kartkę papieru, że zawsze
był gotów notować ciekawe zwroty,

8
Czy nie trzeba ~~da~~ wymie-
nić w przypadku jakim
to wielbiciel f Niemiec
przed Daudetem

?

gest, mimowolne wyznanie swych
intersubiektywnych. — Z nagich, szczerze
zbieranych obserwacyj zbiera się figury,
które jednak nie bardzo żywotności,
konsystencyi, wybitnej linii prze-
dniej. — porusza się swobodnie,
w atmosferze prawdziwej, w sytuacyach
ciekawych, poważnych, nieraz bez
sensych. — obok protagonistów roi
się tłum osobistości podrzędnych,
malowanych z subtelnem, rzewnem
zrozumieniem ich duszy, to z
dziwną, jakby bolejącą się o ich losy,
pogodą, to znowu z cichem, lirycz-
nem współczuciem poety, który
musi świat kreślić takim, jakim
go widzi i ludzi swych nie może
uwolnić od niedoskonałości. —
Warowano Daudeta „francuskim
Dickensem ..." i jest w tem nazwa-
niu wiele prawdy. —

Wiedzie obrazu, tragizm in-
trygi kapewnicy autorowi —
„Królów na wygnaniu" z rzesz
bogatych, później miliony czytel-
ników. — Być może, iż z biegiem
czasu zwycięży ciężkiego pracowania
na podstawie notatek, iż rozsądek,
czysto fizyczne dziedzictwo,
że wreszcie zamiar nagięcia języka
do coraz nowych, przelotnych
subtelności osłabiają doniosłość
ostatnich jego powieści. — Cała
prasa paryska uznała w tych
dniach nad trumną pisarza, „Sapho"
za jego arcydzieło. — Nie możemy

tego zdania podpisać. —
Jeżeli, jak mówił wielki myśliciel
francuski, to co jest prawdą z-tej
strony Pirenejów, nie jest nią za-
górami, podobna różnica zdań
nie powinna zadziwiać. —
Pisarzy pisarze sądzą nad sędzi-
mi, ja zaś, chociaż się na nią cały
świat gniewa, jestem zawsze z nad
litery. — Inny kraj, inni ludzie,
a-p. Foguet dowodzi niezbicie,
że my obcy narodowej nie-jesteśmy
ani zdolni, ani godni literaturę fran-
cuską zrozumieć... —
Daudet zadedykował „Sapho"
„swoim synom gdy dojdą lat
dwudziestu" i może miał słuszne
powody stawić dzieciom przed
oczy ladie opisy bezgranicznego
zepsucia. — Książka była może
potrzebnem ojcowskiem ostrzeżeniem.
Dla nas jest przedewszystkiem
przykrą. — A że autor opowiedział
dzieje zuej bohaterki modernie jęz
szydliwym wyszukanym, ostro
mijającym, trudnym — do czytania
dla nas, którzy jednak umiemy
ocenić mistrzowską prozę Maupas-
santa, możemy jeszcze dodać,
że „Sapho" nie daje się nam dzieci
się ze wszech miar nucącą. —
Osobliwszy to zarzut, oskarżenie
na obce Daudeta. — Współczesnej
literatury współczesnej przemo-
humorystycznej literatury, we
Francji ten człowiek potrafił

wywołać iście komiczne typy, wiersze sytuacje. - Syn powieści z rozmiłowaniem i miernością podróżniczych fraz, niewinnych kuglarzy, tyrany, oblężenia zupełnie nie-
wiedzy i w tem jest niebezpieczeństwo, zresztą, tacy ludzie nietrzeźwi, jak „Numa Roumestan" —
Zazwyczaj ograniczają pole działania do klubu małego miasta, a nawet do jednej tawiarni. - Tam urodził się wyrósł i niedoskonalił Tartarin, obywatel miasta Tarascon, które dzięki Dudelowi nabrało w Europie takiego rozgłosu, jakim się u nas cieszą Dziedzic, Pacanów, Smorgonie i Rykiwół. - Tartarin jest to Daleki krewny Sancho-Pansy i Łazęgi. — Raz wyjechawszy do afryki, aby na lwy polować, zabija wychudzonego, zagłodzonego, jedno żyjące lwa, który przypadkiem uciekł z menażerji. - Raz z nowu, jak Łazęga - zdobył minimum chorego, dosiadł tarasconskiego dromadera i stanął pierwszorzędnego alpinisty. — W rodzinnem mieście opiewano już czyn bohatera. - Wąsy wirod obchodzi ku jego czci Tartarin wchodzi. - Tartarin bowiem nie umiera. -
Istnieje jednak drobne powiastki Daudeta, krótkie, poetyczne i obrazowe, obrazki, balady prozą lub nowelki, którym z mniejszą lub większą, pewnością życie rokować

Są to prace z lat pierwszych, pisane bezpośrednio przed wojną niemiecką lub po niej. - Znam pośród nich rozmaite krajobrazy nadmorskie, wesołe bajdy, fantastyczne legendy. - Pędzny mnie, wierzchowiec jednego z papieży awiniońskich medytuje przez siedm lat nad zemstą; do oka paź, paryż lekkomyślny i swawolny wypija stale porcję ciepłego wina, które codziennie z pałacu przynoszą wiernemi bydlęcia. — po siedmiu latach paź zostaje wielkim dostojnikiem. - Mur poznaje go pod nowym mundurem i jednem, ale od lat dawna obmyślanem uderzeniem kopyta zamienia go w proch. — po dyquitarze zostaje tylko chmura pyłu; zaledwie kilka piór bereta unosi się po nad chmurą. - Zmienia się scena i zmieniają się role. -
Za drugiego Cesarstwa, jedzie teraz minister podprefekt, na wsi. Noce rolnicze i ustawa o pozwolenie nowej oficyalny. —
Dzień jest upalny, a o latarni przy drodze jest chłodno. — pan podprefekt wyciąga, aby wśród cienia zebrać w pamięci najważniejsze punkta swej odezwy.
W ciemnem jest chłodno. — po drzewach idzie dziwny szum, z gałęzi dziwny śpiew drzemiących, cyzyrków, zięb, zięb, zięb, i małych ptaszek. — Mech jest miękki. — jest chłodno. — pan podprefekt — i ta jest tragedya —

nie zostanie nigdy prefektem. —
Bo oto przemawiał całe godziny, zapo-
minał o obowiązkach. — nie stawi
się na mszach na drugi czas.
Nie obwoży porządnie prowincji.
Pan podprefekt pisze wiersze.
Mój Boże — tym tatem mówię ja,
a nie Daudet — gdzież się ta poezja
nie gnieździ?

. . . . . .

Trzeba o tym Dübler powiedzieć, które
wszyscy u nas czytali, ale może nie
wszyscy do dziś dnia pamiętają. —
Są jeszcze inne, nieznośne powieści
Sad nieznośne, w swej zwięzłości,
Sad jędrne i prozie, i kto je raz
poznał, ten ich nie zapomni. —
Banek w aktualnej zwłoce sądowej.
Ostatni dzień narady po francuzie. —
Dzieci się wtedy, że tak opiesałe
uczuciem do ojczyzny. — Sędzia odby-
wa się zgodnie, w jakiejś uroczy-
stej ciszy. — Nagle odgłos bębnów i
odgłos krzykliwych piszczałek. —
Prusacy przyszli zająć terytorium.
Pomimo zgiełku z zewnątrz, w
izbie panuje pierwotna, niemal
na cisza. — profesor pisze wtedy na
tablicy: Vive la France.'
Inna opowieść.
Stary francuski generał jest chory,
nie może zdać myśli garet. Wojna
z Niemcami wybuchła i rodzina
ukrywa stan jego zdrowia, fałszu-
je dla niego telegramy dziennikow. —
Codziennie odbiera wiadomości o nowem

zwycięztwie francuskiem. —
Codzień podaje się jakaś niemiecka
wiadomość. — Według obliczeń gene-
rała, Francuzi powinni już byli
wejść tryumfalnie do Berlina. —
Dzień wstał pogodny, generał znalazł
się sam, wyszedł mimo prowadzonego
wychodzi na balkon. — pola Elizejskie
się dziwnie puste, okna pozamykane
zamknięte. — Znowu, znowu
odgłos bębnów, odgłos trzykolorowych
sztandarów. — przez ave de l'Etoile
wchodzą Niemcy do paryża. —
Generał pada, rażony apoplektycznym
atakiem . . . . . .

Alfons Daudet, który ładnie zdarze-
nia wymyślał, miał podczas
niemiecko-francuskiej wojny, okazję
się przekonać. —
Był to w ogóle człowiek zdrowy
i dobry. — przez szereg lat
oblężenia, cierpiał bez przerwy.
Choroba zabijająca w nim powoli
władze fizyczne, duchowych władz,
twórczości artystycznej nie zabiła.
Daudet mówił niedawno do je-
dnego ze swych wiernych przyja-
ciół, że mniej-więcej tak:
„Ja byłem ładnym dzieckiem, ład-
nym młodzieńcem z młodości, z jej
potęgą, i [illegible] szczęśliwym, abym
żył za to cierpiał. "

Ostatni atak wstrząsnął przy ładzie
ładzi. Dwóch braci, jego przyja-
ciół, powiadomiło się do [illegible]

dopuścić, że ktoś, że jeden z nich umierając nie chciał nawet widzieć drugiego i cały swój majątek zapisywał Dandelowi. — Dandel już sam bliski śmierci, pojechał do drugi koniec Francyi, aby braci pogodzić. — Przeprowadził rzecz całą, pozbył się zapisu na swoje imię. I potem w dziwa dni umarł. —

Zanim go zpotkój wiedziałby ogólnie, zanim się na jego mogile pierwsza trawa zazieleni, my, obcy krajowcy, nieznani, dalecy przyjaciele, powinniśmy mu poświęcić chwilę wspomnienia szczerego. — Nie podziwiamy bezwzględnie wszystkich jego pism, ale poznaliśmy się oddawna na zalach chętności wszystkich jego zamiarów.

Był on potrzebnym i nam, bo czytywano go często i u nas przy świetle lampy, zdaje mi, w ciągu zimowych wieczorów. —

V

106
25.

Środa (23) lutego 1898 r.

Listy z Francyi.

Środa 23 Lutego 1898

V

I p. St. Przewoski i jego Dramat w Odeonie. — Biografia a krytyka literacka. — Nowe prace o A. de Musset i Goethem. — Szkoła trzeźwej feministycznej. — Prawa krytyki i obrony. — Proces literacki. — Pan Dubout a Aleksander Fredro.)

Przedstawienia szkoły polskiego pisarza na wielkiej paryskiej, subwencyonowanej scenie jest wydarzeniem zdaje mi się, abym go nie miał zapisać na czele niniejszego listu. Chcąc wszelkich nieporozumień uniknąć, pośpieszam dodać, że nie chodzi bynajmniej o polską sztukę sceniczną, przetłomaczoną na język francuski, ale o sztukę pisaną po francusku przez polskiego pisarza.

Jest nim p. Stanisław hrabia Przewoski, znany w Paryżu głównie z dzieł dramatycznych i nowel, a u nas — z krytycznych studyów o Henryku Beyle, Pawle Bourget, Gabryelu Séailles i Gwidonie de Maupassant. — Te nowe „postrzeby literackie", mniej zwięzłe i mniej wystrzępione od dawnych, które Lucyan Siemieński podpisywał,

ukazały się naprzód w „Przeglądzie Tygodniowym," później zaś wyszły w osobnym tomiku. — Autor ogłosił je również po francusku pod tytułem „Etudes littéraires" (Paryż 1888). —

Obydwa rządowe teatra paryskie i Komedya Francuska i Odeon zwykły uroczyście obchodzić rocznice narodzenia lub zgonu wielkich scenicznych poetów XVII-go stulecia, a zwłaszcza Molière'a i Racine'a. Wydawiają podówczas jedno lub dwa jego dzieła i dają dodają drobną okolicznościową sztukę napisaną specjalnie na ten apoteozy. —

Autorowie podobnych jednodniówek dramatyzują zazwyczaj jakąś anegdotę z życia rozsławionego pisarza. —

Na pierwszy rzut oka mogłoby się zdawać, że ilość anegdot jest ograniczoną. — Ale jak mówią Francuzi: „Quand il n'y en a plus, il y en a encore." Po nawpół autentycznych zupełnie nie autentycznych rzeczy i historyjek dostają się na deski, równie cierpliwe, jak papier. —

Pan Rzewuski porzucił te dawno zdarte szlaki i nie wprowadził autora „Fedry" na scenę Odeonu. Wolał przenieść całą jednostkę w czasy późniejsze, na dni, kiedy całe Święte miasto od

imieniu Racine'a. — pozwol sobie przytoczyć temu poczuciu — z rozumiem, że literatowi wielbimy znakomitego pisarza, mamy na myśli jego dzieła, wpływ, który wywarł, rozdział, który zyskał, nie zaś jego osobę, chwilami błahą, a niekiedy wprost lichą. —

W podobnych czasach objawiają się dziwne pojęcia o stosunku biografii poetów do ich dzieł, że trudnoby mi było nie dotknąć dziś tej sprawy. —

Poruczam więc na chwilę uwadze Pana Rzewuskiego — i otwieram nawias. —

Do niedawna badano życie tak, jak Alfreda de Musset, w wyjątkowej nadziei, że biograficzne szczegóły pozwolą wniknąć głębiej w znaczenie, w przewodnią myśl jego utworów. — Ale dziś — proszę mi to wyrażenie przebaczyć — dziś odwrócono tok do góry ogonem. Co miało być środkiem, widzimy celem, stało się nagle celem. — Najpiękniejsze poezye Musset'a zeszły do rzędu wiadomych dokumentów. — Krytyk czytając „Noce" nie dbałby, że są to arcydzieła, ale poprzestałby w zamiarze kontrolowania innych biograficznych świadectw. — Jest w tem trochę winy niemieckich pedantów, trochę wpływów źle zrozumianych i źle dobieranych mistrzów z poza

Rem. — Jest wiele drobnej, nędznej, codziennej świata wodzicielej, ciekawości. Przedstawi, że chcąc poetę zrozumieć, trzeba go przedewszystkiem znieść do ogólnego poziomu, wyprócz z niego artystę, (widzicie,) w nim tylko codziennego człowieka, zwykłego przechodnia.

Autor „Lorenzaccia" zaciekawia dziś publiczność, jako wielbiciel i kochanek Amandyny Lucylii Aurory / trojga imion / baronowej Dudevant, z domu Dupin.

Wielu moim czytelnikom wyda się zdaje, że nie znają tej pani. — Mylę się. — Jest to George Sand. —

Czyż sam fakt tej pomyłki nie przedstawia nauki? Podobność ma i chce mieć jedynie autorkę „Margrabiego de Villemer," a nie idea o rozwódce. — Pseudonim, nazwisko jest nam obce. — Odczytujemy jeszcze niektóre powieści, nie pytamy o biografię. Mimo to traktowano nas przez całe przeszłe zimy wspomnieniami o złamaniu pani Sand do Musseta, wyznaniami świadków i ofiar tych ech, korespondencyę, wydobytą z tych zdarzych biurek, które niegdyś nosiły naszych zebrzedarzy. Wznowiono dawne żale, nienawiści i zgorycze. — Poświęcono całe tomy obronie jednej, albo drugiej strony. Sporządzono tysiące dossierów, które się też podniosły, dumanom ruszeń podobne, i zasłoniły jedynie

twarz wielkich pisarzy. —
Nie wzbogaciliśmy się jednak wcale
[illegible] wcale w cudzoziemskie wiadomości,
objaśniające ich dzieła. Pozostał po
tej kampanii niesmak i nic
więcej. —
W roku obecnym, ale tym razem
świadomie, z wyraźnej woli
ujęto sferę zgrozy zobydzania
pisarza: przedzierzono go jako
lichego exlowieka. — pan Edward
Rod, najmędrszy z paryzkich
dziennikarzy, autor wielu powieści,
z których bodaj jedna „La Vie
privée de Michel Tessier" zyskała
się z pewnem uznaniem, postanowił zabić obcego poetę. —
Szowinizm francuski, zbyt wielki
dziś, nie dziwi nikogo, popart niejako
krytyką w przedsięwzięciu. — Góra
pisarzy z nad Sekwany sędzi, że należy
zatoby raz usunąć z drogi takich obcych, przeciwnych przeczniomych autorów,
jak Szekspeare albo Goethe, że trzeba oczyścić widownię, by Lamartine
albo Wiktor Hugo, mogli w niej
skromnie sami. — Trzeba wmawiać
i w swoich i w obcych, że po za
Francyą niema zbawienia. —
Znalazł się jednak w paryzkiem recenzent — il y a encora des juges à
Berlin — recenzent, któremu się
tytuł książki pana Rod wydał nie
odpowiednim. — nie godzi się na:
„Essais sur Goethe", wolałby „Essais
contre Goethe". — W istocie nie jest

to ocena, jest to prosta, jaskrawa
zuchwałość współczesna napaść. – Nie
mogę umniejszyć w Goethem artysty,
stara się p. Rod ostrzegać czytelnika.
Zapomina o własnych słowach poety:
„Jakiegoż czytelnika ja pragnę? Wajz
mniej uprzedzonego, czytelnika, który
o mnie, o sobie, o świecie zapomina
i w książce mej tylko czyta." Zapomi-
na również, że do niego, tylko do
Goethego zwrócił Napoleon te słowa:
„Vous êtes un homme!"
Syn frankfurckiego mieszczanina,
później dworzanin i minister, po-
trzebował całego wysiłku swej energji,
aby się z więzów rodzinnych uwolnić,
nie utonąć w drobnych intry-
gach w Wejmarze, pozostać na
dworze, a nie stać się dworakiem,
potrzebował zaprawdę i Egmonta i Wer-
thera, aby zostać tem, czem
mógł być, czem się czuł, jednym
z największych poetów, jednym z
najpotężniejszych indywidualności
wszech czasów i krajów. —
Gorszącą jest mu niewdzięczność, że porzucał
i zapominał dawnych przyjaciół
i towarzyszów lat młodych, że
w ogóle dbał więcej o idee, niż o
jednostki. – odpowiedział on z góry
i na to oskarżenie: „Ten jest mi
drukiem, kto dostrzymuje środka,
kiedy trzeba. Skoro mi radzi[illegible] spo-
rządzę, ja się od niego wymykam."
Napróżno powtarzają więc historycy,

jak Goethe przerwał stosunki z La-
kim Lavaterem, Stolbergami i.t.d.
Człowiek, który w duszy nosił
„Fausta", prace z zakresu biologii,
historyi sztuki, optyki i t.d. nie mógł
czasu obcować z ludźmi, którzy wyda-
rzeniem z nim, teer nie nieobecnem
nie zdołali towarzyszyć. — Czyżbyśmy
woleli, aby i on ustał w drodze?
Ale nie, ale p. Edward Rod... Byłoby
może mniej o jednego wielkiego dzieła
więcej, nie urodzonego we Francyi,
jedynej — jak wiadomo — ojczyźnie
geniuszów. —
Paryż liczy wielu znakomitych
znawców literatury niemieckiej, np.
pp. Chuquet, Bréal, Lichtenberger. —
Wrogowie ich dzieła nie dostrzegą się
jednak do szeregów owego publi-
czności, wśród których p. Rod dużo
złego narobi. — Ażeby dać pojęcie jak
się Francuzi zachowują w obec ob-
cych piśmiennictw, warto przytoczyć wiekopomne słowa Victora
Hugo. — Pytano się go, czy zna Goethego.
„Nie — odrzekł — ale znam Schillera.
C'est la même chose." —
Nie po raz pierwszy to usiłują obniżyć
Goethego, przedstawiając jego życiorys.
Co parę lat ukazuje się książka, mają-
ca za cel oczernić autora „Fausta"
albo oczyścić „pocztę" „Pucelle d'Orléans."
Daremny trud! jak nikt w Voltaire
nie obniża człowieka, tak nikt go
w Goethem nie zabrudzi. —
Droga z najszpetniejszej satyry

zpotywa jak po piórach łabędzich.
W ostatnich dniach odbywały się w Paryżu nowe zgromy przeciw poezji niemieckiej. — Wystawiono w Odeonie jego dramat z lat młodych, rzecz napisaną o zakrwawionej godnia. — Ale należało zapewne wprowadzać „Clavigo" na tę scenę francuską na której nie grają „Fausta", ani nawet „Egmonta", ale zdawno się urządza na deskach, trzeba je było poprzedzić pochwałą od rytuałem, a nie stronnicą, nieczułą i płytką krytyką. — Praca z p. francuskiem Sarcey na czele, praca, która się zapewne dopiero z wydziału pana Lintilhac [illegible] dowiedziała o miłości jego do Fryderyki Brion, potępiła i życie pisarza niemieckiego i jego dzieło. Powstało ono, jak wiadomo, pod wpływem memoryałów Piotra Caron de Beaumarchais, przyszłego autora „Cyrulika Sewilskiego."
Francuski tłomacz wprowadził całe nudne tych polemicznych broszur do dramatu, udając że je uważa bohaterów. — I na podstawie tego „obrobienia" uznano Goethego za pisarza, któremu brak życia i talentu. —
We Francyi nie nauczono się jeszcze rozróżniać obcych autorów. — Nie tłomaczą ich, ale „adoptują". — Tam Hamlet jest — jak twierdzą afisze — dziełem pp. Al. Dumasa /ojca/ i Pawła Meurice „podług Szekspira."

33.

Tak przygodny „Dumski Królewicz"
nie zachwyca Paryżan.... Oto mnie
jest tylko ta różnica między publi-
czności bulwarów a moją, że ja
wiem, że to, co grają na scenie
Komedyi Francuzkiej, nie jest dziełem
Szekspira i że on za to odpowiadać
nie może. —
Nie moja wina, jeżeli wspominam,
takie małostki. — pomijając je mil-
czeniem, sądzę, że obraz artys-
tycznych i literackich pojęć współ-
czesnego Paryża. — Lecz, z drugiej
strony, może już nadszedł czas przejść
do innych objawów, do świeższych
wiadomości? Może by wypadało
z nowszych nowości?"
— Wracam do jednostajności pana
Przewuskiego. — Mówiłem, że, chcąc
uczcić Racine'a, postanowił wydawać
wspólnie poezye na dusze Klachelne
i prozę, nietylko na współczesnych,
ale i na dalsze pokolenia. —
Bohaterką sztuki jest Marya Leszczyń-
ska, towarzyszące ojcu na wygnaniu.
Biéda, nimal nędza zagląda do drzwi
byłego króla. — opuścili go wszyscy,
prócz ubogiego młodego Francuza,
pana d'Estrée. — Ubóstwo nawiedza poe-
zya nie tylko pamięć — bez trosk — i bez
sławy. — Marya nie potrzebuje jednak
pociechy: ma dwóch ludzi na świecie, którzy ją radują i smucą.
Pierwszym z nich jest Racine,
ostatnich odkrycia nierzadko. —
Ale poeci nie zamierają w tym samotnym

dniu, w którym Lebrat stwierdza ich zgon urzędowy. — Któryż to pisarz francuski powiedział, że zmarli działają na nas silniej, niż żyjący?
Dla Marii Leszczyńskiej Racine żyje, umarł jej co dnia zaparcia się siebie, pokus zmysłowych, pragnień zbrodniczych. Nie zapomniała ziemi rodzinnej, ale całe swe dusze powierzyła obcemu pisarzowi w opiekę. — Armand d'Estrée jest drugim człowiekiem, o którego dba, któremu wierzy. Troska go nawet, bo jeżeli się najwyższych, dalekich poleca wielbi, troska się tylko ludzi żywych, ludzi z krwi i kości. — Marya przyrzeka szlachcicowi francuskiemu, że będzie jego żoną. —
Nadar zjawia się list, który całe to zdrowsze życie, całe pogodne miłość w niwecz i boleść obróci. Pisze w nim wreszcie o tym dniu Marii Leszczyńskiej dla Ludwika XV, króla Francji.
Cóż ma dziewczyna uczynić? Poświęcić się dla ojca, może dla rodzinnego kraju, a może nawet dla ojczyzny najukochańszego poety, dla której oddawna czuje sympatyę, niemal przywiązanie? Czyżby jej nie było już wolno szukać cichego szczęścia, w cichej, spokojnej miłości?
Marya Leszczyńska odzywa się do Racine'a. I po chwili namysłu, wśród której bohaterskie wyrzeczony i ofiary

wielkich wodzów, znane postacie tragedyi, zdaje się do niej przemawiać, polska wyobraźnia powzięła stanowcze decyzye, bo nie chce być tych dumnych zjawisk niegodną. — Kochanie żony francuzkiego króla, zapomni o własnem, serdecznem i szlachetnem kochaniu.

Cały ten proces duchowy przeprowadzono wiarogodnie i pięknie. — Dodać należy, że dramaciek zwalczał na scenie „Odeonu" przedstawicieli zwyciężonych i pełnych cierpień. —

Dosyć tych dni teatru, pozostańmy więc trochę na deskach. — Nie można zdawać sprawy z całego szeregu widowisk, wystawionych od początku sezonu t. j. mniej więcej od dnia, w którym zaczęto pisywać niniejsze „Listy z Francyi."

Wszak Paryż posiada trzydzieści teatrów, nie licząc tak zwanych cafés concerts, które się również bawią w operetki, balety, pantomimy, nie licząc dalej sceny nawpół prywatnych, przeznaczonych dla stałych abonentów, a nie dla szerokiej publiczności. — Grzeszący tej zimy sztuki o tendencyi „feministycznej," a Warszawianka, pani Marya Szeliga otworzyła nawet osobny „Feministyczny teatr." — Później nastała era dramatów „społecznych". — Jedne i drugie wywodzą wiele wrzawy, jedne i drugie wprowadziły nowy obyczaj,

nowe pojęcia o prawach krytyki i literatury. — p. Julian Case autor broszury, przypominającej trochę „Obrazy" Zbrowa, obrażył się na recenzję Julinusza Lemaitre'a i odpowiedział na nią broszurą. — W zasadzie nie sprzeciwiamy się: wolno apelować do wyższego trybunału, choćiażby nim była publiczność ... p. Adolphe Mirbeau wystawia niedawno dramat treści socjalistycznej, zwrócony przeciw kapitalistom, a p. Francisque Sarcey oświadcza się świadkiem, że „Les passions" są utworem niedobrze zbudowanym. — Autor odpisuje w języku, którego się powstydziłby ulicznicy warszawscy. Doprawdy nie mam prawa zabierać się do wielbicieli p. Sarcey; zdaje bowiem, że prości rozsądek, jak mamy chociaż trochę rozumu, nie może wystawiać krytyki sztuki spraw artystycznych i literackich; zdaje, że poważne te zalety, nie zaciekawienia ani wyobraźni, ani dowcipu wymysłu nie są świadectwem, ani wrażliwości, bez której niema zrozumienia autora. — Mimo to nie sprzeciwiam się, widzę, że sława Sarcey wyszedł ze stajni Augiasza oczyszczonych, — z dyalogu z panem Mirbeau zwycięzcom. — Nie dziwię na tem. Oto dalsze szczegóły wojny wypowiedzianej krytyce. —

Jeżeli Sarcey, znany w Paryżu głównie pod przezwiskiem „wesołego

napisał, że autorka poderas przedstawicielki
komedyi Bizozi'a „Jalouse", że zbyt
długie, że musi niechybnie nużyć
widza i odstręczać widzów. — Dyrektor
teatru „Vaudeville" wpada podówczas
na pomysł bardzo nowy. Udaje się
do opieki prawa i każe stwierdzić
przez woźnego: po pierwsze, że przed-
stawienie między aktami trwaje co naj-
więcej tyle a tyle minut, powtóre,
że sala jest szczelnie zapełniona. —
Dość mieliśmy krytyki literackiej,
wiedzieliśmy przez urzędników, ma ona
zapewne przed sobą
Warszawie sprawa pana Dubout.
Jest to bandyta-poeta. — Napisał on
tragedyę w pięciu aktach, wierszem.
Juliusz Lemaitre, który, niedawno,
pomieścił recenzyę teatralną w „Jour-
nal des Débats", i przeniósł się do
„Revue des deux mondes," wydarł
w dwudziestodniku blasków pomysłu
lichotę formy. „Fredegonda" p. Du-
bout'a upadła zresztą z hałasem,
po kilku przedstawieniach. —
„Poeta" wpadł w gniew, w imię tego
gniewu wszystkich zdrowaków
wierszów. — Wydawca procesu pana
Brunetière, redaktorowi pisma i
żądał wydrukowania w niem obszer-
nej odpowiedzi oraz, co gorsza, wyroku
sądu „Fredegondy." — Chciał on
w imię prawa prasowego, do tego rzą-
cego orzeczenia i sprostowań, ogło-
sić chociaż fragment tragedyi w
dwudziestodniku, bądź co bądź stanowym

[redacted] i wystawiany w całej
Europie. — Zdaje się nawet, że Libera
prawa bytu za wymyślonym bandi-
tem i że wypadło się mieć do adwo-
katów zubożonych, aby go z Davidsem
odegrać. — A jednak przynajmniej dla
większości, sprawa jest prosta
i jasna. — P. Dubout, wystawiając
swą tragedyę, poddał ją pod sąd ogółu, a więc i pod sąd swe-
go sumienia. — Jeżeli się będzie ich dawia,
mógł usunąć w siebie przedstawienia
„Fredegondy" i zaprzestać na nie
przyjaciół. — „Wolność, Tomku, w
swoim domku!" — Słowa, które do
przytaczam, znajdują się w komedyi
starego, wielkiego Fredry, niedoce-
nionego, nie dość podziwianego pisarza.
Ten zgodził się z krytyką, i to nie
z rozsądku, umotywowanej, ale z
nienawiścią i zaciekłością. —
Nie wydobył nigdy procesu, nie
odpowiedział broszurą ani artykułem,
Zgodził się z krytyką, i dumnie
w obec zawiści, ale w obec nas
źle zgodził się. —
Przestań pisać, o ileż przestań pisać
z wiarą w swój talent, z wiarą
w samego siebie. —
Severyna Gozzeryszki, którego za
dziecięcia lat mało kto u nas wspomni,
zabił przyjaciół Fredry, o którym
może niedługo potrzeby chrystianicy
będzie mówić będą.
Od blizko pół wieku rodacy patrzą się
na komedye Moliere'a, mistrzowskie

grane. - Im bardziej je podziwiam, tem wyżej urasta w mojem pojęciu Fredro.

Przypomina mi to ciekawe zdanie wielkiego znawcy sztuki starożytnej epoki odrodzenia, rzeźb, obrazów wzorów szczególnych, szkowidła, który czytał naszych pisarzy w oryginale.

„W literaturze polskiej — mówił mi — są trzy wielkie nazwiska:

„Mickiewicz, Fredro, Sienkiewicz."

Chciałem zaraz zapytać: czy Kochanowski i Słowacki nie należą do najwyższych kolorystów, najsubtelniejszych mistrzów języka?

Ale zamilkłem. Uradowałem się bowiem czemś, oddanem Fredrze.

R. M. Górski.

106.

Czas z piątku 23 listopada 1900 r.

Z literatury zagranicznej.

Burschenliebe. — Ecce Wild. Cyclus von J. Resa. München. Braun und Schneider.
Gedichte von J. Resa. — Königsberg i. Pr. Thomas und Oppermann. 1900.

Przed laty mniej więcej (dziesięć — dwanaście raz wcześniej i nieznacznie raz później) — literatyce — podobno — zaszedł, zupełnie osobisty — fakt, nie bez przynajmniej negatywnego znaczenia. Odkrytem jest przypadkiem, by jej nie bawiem na długo stracić z oczu i znów na nowo odnaleźć. —

Pamiętam zdziwienie, chłodne, które mi jakiejś idyotycznej chłodnej, które mi nowo cienkie kawiarnię, w której uciekłem przed zimą. —

Gdzie — to bystro, dlaczego — nie pomnę, ale wiem, że — nazwisko, a raczej przezwisko podobne przywodziło mi na myśl konie, w dobrej bitce, pozrzędzi Szalizerowie, albo też ogromne, rozpięte, jasne parasole przeciwsłoneczne — na Italskim rynku — Verony, na piazza delle Erbe. — Zmurszony ogłoszeniem pismaczydełki, pożółkły w sem zapełnieniu, barwy i znaczenia, dobrze znanem skądinąd, co parę godzin wyciąga z szyi, aby się przyjrzeć obrazom, które

107

w dziry, zdala od zbiorowisk wygrzanego bruku. — W stodołach leżały dzienniki i pisma ilustrowane. — Natrafiłem na numer „Fliegende Blätter“, wydawanego monachijskiego tygodnika, którego już dziwaj — jak dotąd — nie widziałem gdzieindziej. —

Przed dziesięciu laty — niechaj mię zrozumieniu! — całe te tygodniki monachijskie zgromadzone, dnia, w którym się piszę wspomnienia, a mianowicie dziesięcie lat, jak zdjęcie kryjących niemieckich lat sobie wyobrażałem raj na ziemi: przebywać w Grecji, gdzieś, nad morzem bardzo zimnem, pod ochroną drzew ciemnych i wonnych, mieć przy sobie bardzo drogą sobie kobietę, nie widzieć o niczem, nie obsługiwać listów ani gazet, tylko raz na tydzień otrzymywać z poczty „Fliegende Blätter“. —

Ja podówczas, w Weimarze, sięgnąłem po numer. — Były w nim moje rysunki Oberländera, dzisiaj ich nie pamiętam. — Był jednak, tego nie zapomnę, cykl wierszy p.t. „Mitotée męczeńska“ — tak mniej więcej tłumaczę wyraz „Burschenliebe“ — cykl podpisany: F. Reza. — Po przeczytaniu powiedziałem sobie: oto narzeczona dla mnie. — Bo czyż i moi czytelnicy nie domagali się ode mnie, ze względów wprowadzonych poczęli, abym głównie o to, abym ptaki

zdoję się wegnać, nie wiem charakter zatracić? Chwilami wydaje mi się, że Słobicka, mimo zajęć do pisania, przebiera się po męsku, podobna w tem do George Sand która obrała męski ubiór i strój męski. — Pisząc Słobicky, chcę nas naśladować, rywalizować z nami, jak gdyby nie posiadały oryginalności, subtelniejszej wrażliwości, odmiennej zdolności pojmowania życia, cierpienia i kochania, odrębnej sfery uczuć, poczuć może bardziej chwilowych, bardziej zmiennych, ale — przez chwilę, ogromnie głębokich. —

Słobicka jest blizną drzewa, niż nagi, blizną drzewa, dla którego wszystko zdaje się rozłogą bez granic, albo boleścią bezdenną. — Że zaś dziecińskość jest najistotniejszą, jedyną, żywą, trzepoczącą potęgą, mogły, powinnyby wśród Słobickich powstać poetki, jeśli nie większe, to szczersze od poetów. — Otwórzcie im usta, a mówić poczną. —

Ja sobie zawsze wyobrażam — obszerną jadalnię, w której dziecińskość żywa dłużej niż u nas, budzi przejrzystych. Objawia się ono podziwem, zaciekawieniem, polegę śmiechu, zapału, cierpienia. — Oczy, jak dziecko, widzą po świecie wszystko pełnymi zadumy i wszystko co oglądam, jest mi cudem: zielona wilgoć lasu, błękit ponad nią, zimowe, rozdarte gwiazdy, wiosenne

szpiky zajęło, jasnemu słońcu niebios
wśród liści purpurowych i żółtych.
I góry sine, zdały się w dalach jasne —
i morze ciągłe się mieniące. — I ludzkie
ucieczka się niezgłębione, dumne, wzbi-
rające. Przychodzi jednak pora, w
której artysta poznaje, że wszechświa-
tem rządzą prawa jednostajne i nie-
złe, że wiosny powracają po sobie w
zdawczo zwyczaju, że żadna z nich
nie była osobliwszym umiłowaniem
przyrody do jednostki, że każde poko-
lenie, choćby najmarniejsze, niewa-
żąc wiosenki, bunkry albo szałasy,
że każde, choćby górne, ginie w ludzkim
lub owadzim samolubstwie. I
artyści przestają się dziwować światu
poczynają rozumować jak owi ludzie
ucieni w pięknym, zapomnianym
wierszu Cypryana Norwida. — Jest on
ład piękny i ład zapomniany, że
chce go przytoczyć w całości. —
Wosi tytuł, który w niniejszym
artykule dysonansu nie stworzy,
tytuł: „W Weronie."

Nad Capulettich i Montechich domem,
Spłukane deszczem, porumiane zgrozą,
Łagodne oko błękitu
Patrzy na grube więzienne
grodów,
Na rozwalone bramy do ogrodów
I spuszcza gwiazdy ze źrenicy. /4/

Cypryan mówi, że to dla Giulietty

I ste Romea ta Tza z nad planety
spada i w groby przeciebia....
A ludzie mówią i mówią ucieszeni,
że to nie Tzy są, ale ze kamienia
i że nikt na nie nie czeka *.

Obóz z dniem, — kaźdy jest przynajmniej moje przekonanie — z dniem,
w którym ostygła przestanie się dziwić,
w którym ozędzi, że jest pojmuje —
z wstrętem, jego brzydotę i nudę, z dniem,
w którym się z nimi pogodzi, z chwilą
w której nie będzie, jako owi malarzy
— z tym dniem, z tą godziną, muszą
zginąć na zawsze. — Może trwać, żyć,
działać jako wirtuoz, malarz, rzeźbiarz,
albo wierszopis: ostygły jest niema. —
A kobiety — nie mówię o tych nicrzeczywistych, które trzeba o byt malarzy
rywalny zapędza w szeregi feministek —
kobiety żyjące życiem naturalnem,
zachowujące dumę i pewnej zdobyć nawet
wnoszą świadectwa, zdobycze ucieczek
prostych. — Nie zrywają nici, wiążących ich, jakby nieświadomie z przyrodzeniem. —

Dlaczego więc poeckie chcą naśladować poetów, dlaczego akcydentyzują ze swej wyższości nad nami i nie pojmują wcale rzeczy, subtelnych wyznań kobiecych? Bo nie na co uwrażliwić, kaźdy udowodni, jak „Słowiańskie pieśni" Konopnickiej, że radość ta w każdej wypowiedzianej lirze natura. — Pełno naśladowań —

* Może dawniej ludzie wierzyli, żyli z bogami — z panienką.

filozoficznych, silnych, bezpośrednich wierszy o rodzaju tych, które czytała francuska poetka pani Ackermann. —
— A tu nagle, w Wenecji, wśród spódnic włoskiego lata, dzwoni mi wspomnienie dziwnego, niewidzianego wydawca. HIIIIIIII.
(Przebiegł, że jakaś kobieta, blada, droga, a jednak nieznana, usiadła przy wejściu, i długo się przed nim zdradzy. — Kobieta bardzo wykwintna, z natury bardzo milcząca, która rzeka na kochaniem, potem zbolała aż do zapamiętania. Nie literatka, gotowa ze swej serdecznej mądrości dobywać temat do novelli, nie autorka, jak Rachel, która przy śmiertelnej wierszy ostrzegł studyowała i swój ból, i trudy skonania. — Kobieta dokładnie której można odnieść prosto słowa Dantego: „płacze i opowiada," płacze o dice. Pośród jej wyznań poznaję od czasu do czasu ustęp z Goethego, ale nie jemu nie gorzej. — Ustępy z „Fausta" przechodziły same na karcie niemal, przeczytanej w goethem, zgrozy się z jej duchowym rozwojem, zamiewidrady na zawsze w jej słowie. — Może dopowiada: „literatura?" — Ja wówczas tak. ci powiem:
Jest pewna naiwność w przytaczaniu wierszy, które każdy wykształcony człowiek pamięta. — Jest w tem trochę nieprzyzwoitości. — Zwrot wielkiego pisarza naszego się sam pod pióro podobi,

odpowiedział jej chorobowemu cierpieniu
radosną wieścią: niech rozsadnie —
Gdyby sobie T. Resa Fundacja może,
czem na zasługi obce-rodowa, dóbr
rzeź jej' przypomniały, popadłaby
w zdumienie i „li Serafinę". — I gdyby
ona, co pisze tak prosto i jasno, gdyż
by postanowiła dać nam nie szkice
lecz obrazy, nie szereg opowieści, ale
harmonijnie opracowane powieści,
byłaby zapewne zdobyła zaszczyt
i „li Serafinę".
Tak się nie stało. — Kto czyta jej
poezye, słyszy jakby szept robiący
kochającej się, a jednak poruszonej, zdra-
dzonej, która mrze w żalu, bólu,
niedowidzeniu, w pragnieniu remedy —
i mrze przez miłość, do zwalczyć
jej nie może. —
Jak wyznań słucha, na ochotę
powiedzieć serdecznej dobiecie:
„Mów do mnie, ja ciebie będę słuchać
jak brat, słuchać i zmusić się z tobą
„20, wiem to najlepiej, powiedz co
nie mogę." —

— — —

Przez szereg lat T. Resa zginęła
dla mnie. — Spotykałem co najwy-
żej jej podpis, pod jakimś drobnym
dziełem — Świeto, w niemieckiem
wielkiem mieście, wyjrzałem w okno
księgarni dwa tomiki autorki. —
Pierwszy zawiera „Durch die Liebe"

jest dramatyczny i śmiały, drugi, wydany w bieżącym roku, stanowi, niewątpliwie ostatni epilog pięknych, minionych dziejów. —

Trzeba miałem ochotę przedstawienia całej treści utworów, ale zdziwiłem się o zbyt wielkie trudności; przekonałem się, że nie oddam ich prostoty. — Że to w nich rzeczy, wyznania rozdrażnionej kobiety, a potem chwile śmiertelnie ranionej duszy, niż konwencjonalne, wyrafinowane utwory, które z cierpliwością i wysiłkiem, można przełożyć później na inny język (odtworzyć). — Dusza Loniki pani T. Rena tworzy w mojem pojęciu coś nadzwyczaj dziennika, bez literackich opisów, ale z przeżyciem stanów duchowych, zanotowanych nie przez krytycznego psychologa, ale przez osobę mającą bardzo bezpośrednio, bardzo żywo. — Liryczny ton dziennik utrzymuje się sam, niejako z natury rzeczy i z natury poetki, w rytmy, rymy i strofy. — Nie omieszkam się ich oddawać po kolei i proszę o pozwolenie przytaczania niemieckich słów, w swojskiej, ślicznej prozie, pozbawiających je owego zwyczajnego drgnienia, które wiersz przynosi. — Proszę jednak o prawo zacytowania kilku utworów — nie w przekładzie, ale w bardzo swobodnem naśladowaniu. —

Hodzaj wiersza odmienił się w mojej przeróbce, rymy zdały się zadzierać, zbyt zwyczajniały, toni nawet „literackie"! — Zachciało mi się jednak choć trochę harmonijnych dźwięków, bo słowo poezję musi posiadać rytm, jak ptak — skrzydła. —

— — — —

— — — —

„Jeszcze raz zadzwięczę, pieśni dzioda,
Łzawą, żałosną, żałobną pieśnią. — Jeszcze raz zwyciężę, serce dumne, swoją bólem i swoją zgrozą gniewem. —
„Przeklinajcie jeszcze raz, rany moje, zamieńcie miłość, nienawiść hen — do noża! A potem ozwobodzenie, uzdrowienie, — a potem błoga ciisza niepamięci. —
„Błyśnij raz jeszcze, płomienie hardy, błyśnij do nieba, które cię potępia. — Jeszcze raz rozpal się, ty duszo, ze śmiercią zbratane, zdalone me kochanie!" —

Tadim wierszem bez nowych obrazów, nowych zwrotów, otwiera się pierwszy tomik. — Ale czyż nawet w tej martwej, prozaicznej mierzei, nie czuć szerokości, potęgi? Ta kobieta wtóruje całe serce, całe swe życie — w miłości — a nie w sztuce. Nie przerabia swych uczuć na poematy, jak jakaś autorka miesięcznych sonetów. Czuje, więc — się odzywa; nie śpiewa, ale drży czy — —

„Bójmij dla niéba, dlóve Cię pokrzíva!"
Te słowa ze niemal jákąś wdzięczność, poczuwającą przemianę okrutności, wśród dłoni ryk, sad silne kochanie wzrosło i zamarło. — Jmię wiedzi pierwszego towarzysza „Mea culpa", potrącam o tę samą strunę. — Gdzieś bliżnie nad urwiskiem.
— Mnie zdawna zwojsko na tej drodze:
Zuchwałem sercem wierzam na nię
I dalej po słepym rzek chodzę.
Ludziom i prawom — śmiech i wzgarda!
Pod jarzmo szczęścia mojego nie nagną.
Dalić mi szczęście, rozkosz dali?
Ja po nie sięgam, gdy zapragnę.
Że przyszły tydzień, że cześć i zmudek,
Że trwogą ze mnię śmierć podzwoni,
Czem mi to dziś? Tu sobie, szczęście,
Otwieram, leżnięce, me ramiona.
O jak mi jego wargi płoną,
Gdy nagle — zdrętwiam się z mojemi...
Róża, co dziwnie nad przepaścią
Jest najwspanialszą z róż na ziemi.
Dobrze wiecie opowiadają, „jak się to stało", Wiecie sami. — Mój Boże, jakżeż by się inaczej stać mogło. Czyta wiosna i dla młodej, nieświadomej kobiecie poczęło się uśmiechać dwoje czerwonych ust i dwoje oczu miłościwych. — Brakło, kiedy „jak miecze nad rozkosami, wzlecz wieża nad sercem szczęścia" Dwie mogą dać źrenice spojrzeniem w oba umiłowany; a ona we mnie zdawała sobie z tego sprawę, że tonnie ust i duszy oddaje. — Musiało to trwać długo, długo.

VII. ~~Wszystkie pozostałe ciekawe znaleziska objąć]~~

"i"ôrú, któréj nié zawrze północa
wiosny i słońca, dojrzewać powoli
w piersi dwóch ciał ludzkich, lat
zamożnych, lat nagle osamotnio-
nych. — Twórca Dziecięcia, zawrzał
na Kamieniach potok, ze szumiał
gej, nadeszła chwila zwlekań...
Myśl mi się w mętnej głowie plącze,
Nie wiemy co będzie i jak zrobimy,
Wiem, że mnie cichych marzeń dojrzał rój, ellida ziła,
ch zał pisa,
zeń mój...
Jak się to zrobiony? Tu z mowic pytam,
a jakrześ mogło i naczej się zadziać?
Znudziła się chłopcu miłosna
niewola. — „Wsiadł wyjechał na
Rodzicu, na parę tygodni, Robicia
przeczuła serecem, że wyjeżdża na
zawsze. I nie pożegnał się z nią rano
bójcie, usnie... Mężczyzna, który
ma odwagę powiedzieć Robicie,
że przebaczył jej Rochaś, mężczyzna,
który się nie lęka narazić na jej i Ty
i wyrzuty, jest po dziś dzień wyjęt-
kiem. — Więc i ten chłopiec
bohater dziecinnego T. Rosy, ukochał
sobie zerwanie, poszedł na
bójcie. — I poszedł w świat...
I ona powraca nad potok, do lasu,
do wczesnych pierwiastków, które
ukochany między podeptał. —
„Kto po tygodniach, wśród owej
wrzawy, wśród hałasów, wśród zgiełku,
Kto się zapyta, czy nie brak jednego

Witoú, której nie zawsze polneba
wiosny i słońca, dojrzewać powoli
w piersi dwóch ciał ludzkich, lecz
zamożnych, lecz nagle oświeconych. — Już wróciły ptaszęta, zawrzał
na łąkach potok, zazieleniał
gaj; nadeszła chwila zwycięzca...
Myśl mi się w mętnej głowie plącze,
Nie wiem, co będzie — i jak zrobię,
Że mię odeszła wszelka zuta,
Gdym pocałunków długich żar pił,
Wiem tylko, żeś ty mój, żeś mój...
Jak się to zrobiło? Ja znowu pytam,
A jakież mogło inaczej się zadziać?
Znudziła się chłopcu wiosna
niewola. — „Muszę wyjechać na
Podole, na parę tygodni, dobiła
przeczuła sercem, że wyjeżdża na
zawsze. Nie pożegnał się z nią rano
bójce, uszło... Mąż zięcia, który
na odwagę powiedział Dobiecce,
że przedał ją Rocław, mąż zięcia,
który się nie śpieszył narazić na jej ty
i wyzwedy, jest po raz dziś wyjeżdżającym. — Więc i ten chłopiec
bohater Dziewicka T. Rey, ułatwił
sobie zerwanie, poszedł na
bójce. — Z pewnością wiedział...
I ona powraca nad potok, do lasu,
do wczesnych pierwiosnków, które
ukochany niegdyś podeptał. —
„Kto po tygodniach, wśród owej
wrzawy, wśród hałasów, wśród zdra,
Kto się zapyta, czy nie brak jednego

V Wiem, że mnie cichych marzeń ojciec roj,

wrócisz, co nie istnieje, czy serce czyje gdzieś nie będzie?" — słucham ciebie z ciszy wody, szumem wiatru w bardzie, stale nie mówię mężczyzny."

A dalej:

„Nie opuści ta jej odwaga ani honor — bo zginąć nie może to, co nie istniało."

I znowu:

„Widzę go codziennie. — Nie boję się od widoku tych płomiennych warg, co jej tak palicy na mnie. — Unikam jego i jego ubrania. Serce mi drży, gdy za nim nie ma choćby patrzy, gdy, które zamyśli, serce, które odczuje."

„I zazdrość pytam, co leży pod jego stopami." —

Przeczuła jednak krótkie chwile bolesnej radości. — pod otwartą wolą, w noc miesięczną długi zarost uchwycić, którego myśl przyszła i — przedtem. —

Muszę ostrzec, że tym razem moje naśladowanie jest zbrodniczem, zepsutą, przeniesioną oryginału. Wszystko zdradzieckie — tradycja — i krój i ilość i charakter wiedzy.

Spadana, nadzga, pół żywa, pół zenna,
w noc leżę bezdzietną, miesięczna promienna.

Aż nagle ujrzałam, że z zbytu niepokoju w książce długiej, pod obcym, pod moim.

I prawo spojrzeń, łzawień i smutnień,
Ty, coś mię opuścił, bezmyślnie, obrzydnie.
A odejść nie mogę i nie wiem, że w górze
Różnego tryumfu zerwały się burze,
Łeb mego podniosła, zachwytem zdziwiona:
„I byś nie zapomniał i twój ból nie
zdrowa!
„Cierp, jakom cierpiała, i przeż się i
zrywaj!
„Ty zemsto, ty zdrado, ty zdrado, obywaj!"
Ale wreszcie zemsty ludzkiego serca nie
zadowolni. I. Rena śni o wiecznem
wojennie, o śmierci, o niepamięci.
Błędny ogień, który jej w kochaniu
przyświecał, wiedzie ją dziś na samo
bójstwo. — „O drzyj, która teraz giniesz,
niech się Bóg kiedyś w ciebie wpomni!"

— — — — —

— — — —

Drugi ton oburza się wiersze
ty treści:
„Co we mnie śpiewa, to tęsknota
wiedzy i nigdzie nie ubrykam się przed
nią. — Ona, która wśród śmiechu
drwoni wieczornie sam na sam, jedyny
głos.
„Na drogę spojrzy raz tęsknota w
wiosennych oczach, ciemna, trwożna
bólem, ten się zagubi w radosnem
jej locie, do końca swych dni jej
sługą.
„I w mojej piersi dyszy pawie jej
tchnienie. — I z niej to błyska mój
płomień. Ona wypija mi krew z pod

serca. – Ja jużem jej nigdy nie wyjęła."

I idzie ta trwa pieśń o Tęsknocie,
ubiera się w różne rytmy, w różne
kierdanty, w formę krótkich alegorycznych powieści, ale wraca i wraca,
Obrazy przemijają wciąż żywe, że
w duszy dziś ich echola obleka je w wiosenną nowość, jak bezpośrednie wrażenia,
albo jakieś wspomnienia, jakieś marzenia, jakieś
nadzieje. odzywają się w sercu.
I jedna drobinka zrywa się i opada.

Oto dwie piosenki podobnych nastrojów.
Pierwsza nosi tytuł „Wiem".

Jakże pachnie noc, dusza tęsknie za nocą.
Czasem w niepokojem powietrzu coś po drzewach
wciąż topoli
I wtedy odgłos dochodzi, odgłos szmerów
wiosennych.
Czasem – powoli zalecą kwiatowo cichych
i sennych.
Wtedy płacz mię porywa. – I choć ciszę
dokoła,
Wiem, że serce twe woła, i że zawsze
mnie woła.

Drugi wiersz zowie się „Róże".

Mroźna noc! Wyje... gwiazd pada,
na drogach leży śnieg wysoko...
Ach – zabłysło mi oko, twe oko,
I wiosna mi w duszy wejrzała.
Wargi twe się gorzeją
I płoną w purpurze...
Wśród śniegów, wśród lodów mam róże
I słońce.

120

niepodobna mi wdawać się w szczegółowy rozbiór podobnych bliższych widzeń. Przewijają się wśród nich różnorodne sceny, odrzyski macierzyńskiej miłości i obrazy własnego, błogiego dzieciństwa, spędzonego gdzieś w gościnnym zaciszu.

Od czasu do czasu J. Resa spotyka dawnego kochanka... „Wszystko minęło, dni słodkich pożądań, dni zrozumienia, tęsknoty — i blask twoich oczu i twoje pieszczoty. — O, ze jakaś sobie gardzić, jak bardzo gardzić muszę." — I gdzie indziej: „Tworzę, śmiertelne przeczucie — niepewność — mi wśród bólu i gniewu, że wejdziesz wśród na inny, obcy mi świat." I ta wieść, że „On" ze mną podróżą przyjemnia sobie złote spotkania. — Chcę trwać przy nim zapewnić nowemu domowi, nałożę w jego podwalinach pogrzebię tutaj siłę. — „Tu przyjdzie — wodą mieszkać ogromne, jak trudno, jak ciężko tego mienia serce złotnąć w czarnej trumnie." I zrywa się z nim nieznośni, nowy, najczystszy dowód niezmiennego kochania.

Wspomniałem o alegorycznych powieściach. — Te one znamiennym, symbolicznym objawem. — Wstał dzień, w którym zbolała, udręczona poetka przestała przestaje. się zbudzić i ufać i mścić się i zamierać. Poczyna rozmyślać o kochaniu,

wstawać – trzeba refleksyi do swego
biegu zmian. – Opowiada więc – np: pięknej
legendę o drzwiach – Haralda – „Miłość
nim owładnęła, że zapomniał o całem
i bohaterskich – czynach. – Potrzeba się
jednak i Haraldowi wiosennej stanąć prze
szłej monarchy, i zgładzić złe chęci
„Miłości – Frau Minne – zostaje
zbawcą, zwraca na wyspę, posyła
na wieś, wreszcie na śmierć w głębi
morza. – Na wody pada róża i odtąd
pieśni z nich wstają. – Król Harald
zwyciężył wrogów, zgładził chciwość,
rycerze – pomścił go na zawsze. Dzisiaj
żyje zapomnianą i umiejętnie, zasiada
do uczty – i biała zdobi – przy czole
w złocie. – Ale wojenne, groźne –
hymny nie budzą go z zadumy.
Śni mu się o dawnych dniach
„I tylko raz – niegdyś inny śpiew,
najpiękniejszy, jakim w życiu żyła
zdał. – Zdawno go pamięć. – Jak ma
rzeni grób, gra mi po cichu – melodyę. V
Było to, jak V Było to, jak gdyby mi dzwoniły drozdy –
kiedy wiosna w złote bursztynowe wieczory ...
na dworze
jak snop zł.
kiedy las pełen dziewczęcych pięknych
oczu i rozśmiany ... "
Była to „Miłość.
Jak róża, upadła do morza. I znowu
podnosi się jej zbawca. Król Harald
zerwał się z tronu: „ „Miłość,
miłość żyje!" "

wówczas – trzeba refleksyi do zwrotu
liryzmu. – Opowiada więc np. piękną
legendę o źródle Waralizie – Miłości tak
mu owładnęła, że zapomniał o zdro-
wiu bohaterskich rycerzach. – Ocknął się
jednak i biegał winnej skargi przed
swą monarchą i uchiarowane zdobycz.
Miłość – Frau Minne – rozlała
zdrajcę, zrzuciła na wygnanie – potem
na wieżę, wreszcie na śmierć w głębi
morza. – Na wody padła róża i z niej
pieśń z nich wstają. – Król Hartal
zmyca zdrajcę wrogów, zgrzał chwałę
rycerza – podniósł go na tarczy. Żmuj,
zyk zatrzymało i uwielbienie, zeszło
do serdy i biegło robić przygrywać
w locie. – Ale wojenne, zgrzane –
hymny nie brzmią, gdy z zadumy.
Śni mu się o dawnych dziejach
i bohaterach – niegdyś inny śpiewał,
najpiękniejszy, jakim w życiu zdo-
był. – Zdawno go pamięć. – Jak ma-
rzeń złota, gra mi po zębach – melodyę. V
Było to, jak szum morskiej fali,
kiedy nieskromna dziewica, zabawiwszy
na brzegu w niej zasnie. – Było to,
jak snop złocistych promieni,
kiedy lat pełen dziecinnych psot
dzieci i rozśmieje ...
Była to Miłość.
Jak róża, upadła do morza. I nagle
podniosła się jej postać. Król Hartal
zerwał się z tronu: „Miłość,
miłość żyje!"

V Było to, jak gdyby mi dzwoniły drozdy —
w złote bursztynowe wieczory ...

I patrzę jej do nóg, jej uwolnionej z więzienia, wtedy zgoła — dotąd jej więzy będzie serce króla.

Jak to mówiły inne o duchowych pragnieniach i porywach, o dalekich, odwiecznych pożegnaniach, nie mówmy nawet o słowie, zbiegły dotąd lub trudem. — odpowiedz zawsze jak T. Resa:

„Wiem dobrze, że ty mój, że mój" — ma nie umiałabym też mówić o czym innym, jak o kochaniu. — Tutaj się wypłakałam, wzpółczuję z innemi, rozmiłowanemi duszami, z zbolałem, opuszczonym przez dziewczynę, z sobą, tą, w której głos wydrowanej śpiewaczki odległe wspomnienia. — Współczuję i z tym rybakiem, który ujrzał ogień na górskich zapomnienia, odmiany.

Za jeszcze żyję, jeszcze śpiewam,
w świat mi się jasna droga otwiera.
Trzecim z kolei ciężkie jadzwon,
wielkiej bół miłości.
Królowo, u twych stóp klęczałem,
dziś kornie pełza, pełne blasku.
Śpiewam pieśń dziką o potokach,
ginących marnie w piasku.
Śpiewam o chmurze pożogi,
z której wyłania się ćmiejąca,
O orle, który zdaleka zdumiewa,
Łanim się urwał do słońca.

Wtedy ludzie tak wrażliwa, jak T. Resa,

tak ulga na ból i nędzę życia, mogłaby była zadośćuczynić swe pieśni niestrojem, zgrzytem, wybuchem nerwowego śmiechu. — Dzisiaj tak tanio o ironię, towar pokupny i tani! Nawet u ludzi wykształconych i prostych, kiedy ból za długo, serce czuje drewnieje się jadem, podobna trzaskającemu lodowi, który się w oceł zamienia. Tymczasem moja poezja tego świata, zdawała się z biegiem lat coraz wytworniejszą. — Wreszcie w przedostatnim wierszu drugiego tomu zwierza się radośnie i śmiało: „Młodość już mam za sobą!"

Ustaje męki, trudy, ufania i zawody. — przychodzi ulga, cisza, uspokojenie. — Dość było walk, dość bólów, dość rozpaczy.

„Młodość już mam za sobą!" — mówi do Swobiela, która bardzo żywo kochała i w życiu pragnęła głównie miłości. — Mówi do niej zgodnie, a jednak ma dobre ważne słów, bo zawsze była szczera.

Jakże się do niej nie przywiązać? Sully Prudhomme wiedział, co czyni, dedykując zbiór wierszy „nieznanym przyjaciołom."

Dopóki moi czytelnicy nie zajrzą do jej dwóch tomów, T. Bera będzie w każdym razie miała jednego „nieznanego przyjaciela," którym jest

R. M. Górski.

— — —

Najnowsza Powieść Sienkiewicza: Bez Dogmatu (Bibl. Nar.)
Listy z Afryki, „Słowo" 1893
Pisma H. Sienkiewicza. T. XX. Czas 1894
Krzyżacy. Czas 1900

Kronika Sienkiewicza dzieła dla obchodzenia
Jego Jubileuszu ?? (czy Krakowa),

24

Słowo N: 3. Środa 24 Stycznia/8 Lutego 1893 r.

Przegląd literacki

Henryka Sienkiewicza: „Listy z Afryki"
z roku 1893 r.

I.

Odbyliśmy wszyscy, my stali czytelnicy „Słowa", ogromną podróż, jeżeli nie po sam środek, to jednak sporo po głąb Czarnego Lądu. — Odbędę ją, zdaje się, co jest jak poddaje się po raz drugi wrażeniom, wstępującym dziś na kartach jednej książki.

— Unosi się aż dotąd mgła biała postać Arabów, czarne, ruchliwe, trochę „djabelskie", kurtaty Somalizód i rozświetlone babiły misyonarzy. Widziałem morza błękitne, zielone i mleczne, widziałem pustynię „bez miłosierdzia", skamieniały z wielbłądami, podobne do biblijnych, piramidy, Sfinksa, rozmawiającego z księżycem, baobaby i palmy, głowy krokodylów, wynurzone z wody. — Przebyłem wiele rzek i wiele gór. I słyszałem tłumiony jęk, rozdzierający świsty batogów, wrzawę wschodnich portów, klątwie arabskich dragomanów, lecące po nocach odgłosy murzyńskich, jednostajnej piosnki i złorzenie biwa pod namiotem. Słyszałem nawet ów cień, co „ar

w uszach dzwoni" i w której ucho
chwyta jakby z nad otchłani lecącego
czasu. – Byłem w krajach, dotąd
nigdy przedtem nie zabiegałem wy-
obraźnią. + Bo chociaż sprawy ziem
dalekich zajmują dziś rzeczy ucze-
ni, geografów i ekonomistów, my wczoraj
nie wyglądaliśmy nigdy tak daleko.
Lgd Afryki jest dotąd dla ogółu cza-
rującym, tj: ciemnym lądem. ++ Brak
naszej wyobraźni wyrobionych, nawyczek
dodawać wrażeniu, tak bardzo obcemu
obrazy. ++ Nawet z powieści Lotiego
wynosimy raczej widzenia senne,
gorączkowe, nadrzędne pamięci barwy z
rzadkich odczuć, albo uczucia jakiejś
ciężkiej, upajającej woni. ++ Bo lodu,
jaskiń śnieżnych, nawałnic nowożytny
podróżnik zwłaszcza najbardziej oczekuje
wrażenia i uprzytomnia sobie dale-
kie strony wspomnieniem
najmniej uchwytnych, najmniej
świadomych pocruć. ++ podobnie
melodya, albo zapach kwiatów dra-
śnięta najsilniej wrażenia jakiejś
sytuacyi minionego, albo chwilowego
nastroju. ++ po za tym czarodziejem
francuskiej literatury rzadko, aby
nas kto wyprowadził w kraje
wiecznego lodu, lub wiecznego słońca
i potrzeba pierwszorzędnych zagadnień
społecznych, jak nasza emigracya
abyśmy się bliżej zapoznali z Syberyą.
Nie mamy czego jak szukać po-

morach i lądach. — Zazwyczaj
zjeżamy wyobraźnią na wschód,
mniej lub więcej znamy ze wspo-
mnień osobistych, z obyczajowego
i umysłowego rozwoju, albo wa-
żymy o biednych miastach, rozsia-
dłych w dole błędnika śródziemnego
morza. —
Od Sadis mniej na Attyce, gdzie,
jak mi się zdaje mieszkałem
dwa. — Znam w Tadminie
widoki, otwierające się w dal
za piniowemi gajami, znam do-
rzyckie świątynie w Paestum,
leżące w szerokim polu —
Nie przypominam sobie zaś, abym
kiedy w godzinach zamyślenia podró-
żował po afrykańskim brzegu i
jak przyjaciel Horacego, nie zasiedział
nigdy nad bezbrzeżnością, gdzie
nieustannie wre nawodzańska
fala. + Chyba, że mię i tam zaczą-
rował łotr, wiodąc przez fantazye
nadodrzańskich Arabów, albo że
z naszych Rostafińskich stworzył mi
za drogomana, przyrodnika i wy-
kwintny stylistę zarazem. — I dla
nas, jak dla Rzymian, kończy
się zwykły świat u słupów
Herkulesa i szukamy najbardziej
do krajów, gdzie się rozsiedli rzym-
skich mówców zgrzybiałe. + A jeżeli
przychodzi czasem chęć wyboić
się do Indyj, to chyba na wiarę

Wzmianka
Rostafins
opuściła

Hmmanche o
Rostafinskine
opesiciTabegon E.

Klejnego, który ich zwykłemi oczyma nie oglądał, a wie, że ludzie dzisiejsi bardzo niedbale przed światłami bocznemi i z zgarbionemi plecami mędrce oczy endyliop. — Po za kołem ucznych stanął do dziś człowiek, którego cała siła ziemska złoi zewsze na myśli, człowiek, który otwiera „do świata ramiona upragnione". — Pryczyna tego leży po części w niedbałem obcowaniu naszego piśmiennictwa. — Za czasów romantyzmu przemógł się Wiktor Hugo myślą na Wschód, a Mickiewicz w pierwszym tomiku swoich wierszy, obracał się w Ukrainie, której nigdy nie widział, i we Wspomnieniach, które pozostał dopiero później.. — Przewodnią artystycznej myśli naszej epoki jest przekonanie, że ideału istnieje wszędzie dla tych, co umieją szukać. —

Dawniej malowano tylko swoje czeskie i włoskie widoki, dziś Chełmońskiemu nie jest jedynym pierwszorzędnym w Europie pejzażystą, który maluje to, co ma przed sobą, choćby to nawet były bardzo równiny pod samą Warszawą. — Kroby czytelnik wrócił z pola do literatury, trzeba tylko, aby bardzo ubolewanego młodzieńca ktoś porządnie odstraszył i zaczął prosto tyrazać

na co patrzy, nie inne oczywiście o tem, że zamieni mundur oficera marynarki na zielony strój człon. Akademii francuskiej. +

— A jednak nie brak ustosunkowań na tem polu, nie brak opisów podróży. Uczeni zwiedzający dalekie kraje, opisują zazwyczaj rezultaty swej wyprawy. ++ Nie wiem, czy mam tak nieszczęśliwą rękę, czy też odważne eksploatatorów nie zawsze towarzyszy szczęście literackie, ale co do mnie, na dziesięć dzieł tego rodzaju, spostrzeżenie o najlepszym razie jedno, które mi da jakie takie pojęcie o wyglądzie krajów i jakie takie stanowi dla wyobraźni. Nawet „Listy z Ameryki" Sienkiewicza, gdzie się od czasu do czasu trafiają istne malowania, jeszcze wyraźnie pisane dla wątroby, z myślą o niej, z przyciskaniem do niej, bez tego zapomniania się co przedmiotem, którego wyrażamy, kiedy sami, jako autora, pragniemy odczuwać. Są to pewno najpoetyczniejsze odcinki, jakie w naszym języku posiadamy, ale bądź co bądź odcinki, gdzie kaprys pisarza odrywa nas jeszcze od obrazu. ++ Dopiero niedawno, kiedy lata temu chodziło po Afryce, po obcym, dalekim nam lądzie człowiek, który pojechał

jedynie po obrazy i przywiózł ich ładne moc, jakie z naszych pisarzy zapewne on jeden zdolny był zgromadzić. Odwiedza je zaś dla nas lud żywo i widomo, że przez wyższych obrazu wszystkich tych, co się dziś tutaj o malowanie zdobnami, a lud prosto, jak podróżnik, coby swe przygody opowiadał półgłosem przy ognisku.—

Wszędzie, gdzie dojdą dwa tomy „Listów z Afryki", wydaje się oczekującym, że z dalekich stron przyszedł gość w dom i zwyczaj jemu wędrowców wspomina głośno to, co sam przebywał. Niełada gość! Przewiózł przez długie lata ładne pięknie, bohaterskie powieści, że wielcy i mali u nas zawiśli.

Czasem w środkach historycznych, które wypadł z rękawa, drażnił on, gniewał i smucił, czasem śmieszył ludzi do rozpuku. —

Polem znów mówił rzeczy subtelne i wydumane, a dziś, kiedy zdziwienie mięsło i zrównoważyły się zdania, już chyba nikt nie myśli nam zaprzeczać prawdy bohaterskiej, a widzianej z wysoka.

Rozumiej wodził nas aż na dziwaj miejscami i podziwiał, że żywia z głów wśród cieniności świeci.

Od młodych lat trwał się zmieniał

drogi i oddarł swój talent w ofiarze do nowych tematów. + Po walkach, które wiódł za jedną i drugą sprawą, po wzruszeniu, bawieniu, badaniu, doszedł do tego, o czem każdy szlachetniejszy pisarz marzy, a co bywa dla wielu udziałem nielicznych, do szczerej i mistrzowskiej prostoty.

NN

Odczytawszy w domu „Listy z Afryki", wraca się myślą do ostatnich korespondencyj, pisywanych do tej „Gazety Polskiej", której sierowniczy potrafili najwcześniej odczuć i przywiązać do siebie talent Sienkiewicza. Wraca się do dawnych listów, zastanawia dalego, że zawodzi czasy i im wszystkie dobre chwile, przebyte w epoce, która się dziś wydaje lepszą, a może nią i była. + — Służ do porównywających pisarzy aplikantów przy literaturze, przemyca to i wiadomie i niewiadomie zwroty Listowca do swoich prób autorskich! A jednak, jeżeli oderwawszy oczy od „Listów z Afryki" zajrzę dziś do tych pierwszych wersyj felietonowych, to z nich, pragnący udoskonalenia

swego stylu, wersach chwiejna stopa,
nie pożałuje, że nie mógł się za młodu
wprawować na wytrawniejszej książce?
Siedemnaście lat dzieli te dwie prace,
siedemnaście lat, ogromny przełęg czasu
nawet dla pisarza, co tak wielkiemi
krokami postępował naprzód. + A
jednak przedrok jest tu zdumiewa-
jący. + Wiersz jest dziś niewątpliwie
mniej, mniej [illegible] i dowcipu,
ale, co do mnie, wyznam śmiało, że
wolałbym może, aby w nowych
liściach nie było go wcale, bo choć
[illegible] rzadko najwytworniejszy
rozrywa mi czasem obrazy i myśl
pogodny ton dzieła. + Nie mówię tego
z powodu słynnego ustępu o krytyk-
kach „Bez dogmatu", dotkniętem, zda-
niem mojem, nadano zbyt wielką
wagę. + Zresztą i ja niejedyś, co-
myśląc o tej powieści i mógłbym się
łatwo pomylić co rzeczy „różnych
przygodnych recenzentów," którzy
„zdaleka spoglądają na tamtego
na, porafią się z nim, jak wyżej," a
jakoś nie zdołam sięgać po dumne
słowa oburzenia i dlatego wielki orzeł
porwałby sobie nadęte „scherzo"; nie
umiem zdejmować cięższych frazesów
z słowika. + Uważam to bowiem
tylko za wybryk humoru, za odzwier-
cadlenie się dawnej, ucznej „maniery"
pisarza. + Kiedy sobie nad to przypo-
mnę, że dopiero robi sobie ma

niekiem mianowicie swoją, bogdiem
znajomości i zwłaszcza bogdiem
poczucia, kiedy np: zwarę, że na pole
ocenę sztuki plastycznych, nawet
Wiśniewski nie wszystkim niepowo-
dzeniom zasługuje i że się tem
i ówdzie „przygodny" i wygodny recen-
zent pozwolić dobychcas niezdrowe
mniemanie dzieła i lubuje we fraz
zerach, myśle chwilami, że za tych,
którym się zdarzyć nie wypada,
pomścił się artysta, mający więcej
prawa — i że to pomiędzy dobre. —
Szkoda tylko, że cykl „Listów
z Afryki" daje się zpadać na ludzi,
którzy niewątpliwie mają najwięk-
szą warunkowo do zdrowia i naj-
mniej win na literackiem
sumieniu. —

Listy, pisane do „Gazety polskiej",
były jak wiemy, odezwami,
które dla niepospolitych zalet pod-
rzuno w książce; listy zaś, drukowane
wyłącznie w „Słowie," powstawały
z myślą o całości, o kompletnem
dziele. — Stąd ogromna ilość różnic,
odmiana ogólnego charakteru. —
— przedewszystkiem osłabienie korespon-
dencyjne się więcznie artystycz-
nemi, a pierwsze zniknęły być
z natury rzeczy informacyjne. —
Anegdota gra już zbyt wielką rolę
w życiu zbiorowego ciała, wywiera nad-
wielki wpływ niebywały na ekonomiczne

ale i na cywilizacyjne stopnie Europy, aby, pisząc o niej, móc pominąć urządzenia, obyczaje i nie dawać przysługujących faktów. ++ Tego z nas może zarzucić, że nie pojedzie przyjrzeć się ciekawemu społeczeństwu Stanów Zjednoczonych, że go sam nigdy nie zagna ciekawość lub interes.

O Zanzibarze zaś nie można tego z równym prawdopodobieństwem przypuścić. ++ Jest to Stanleyowski sprawozdawca, który umiał rozpoznać i ocenić ludzi, warunki bytu i drogi od New-Yorku do San-Francisco, ale widzi w nim i ten demon pisarski, który mu dawał trafne informacye humoreski i nie pozwolił, aby się odcinały stamtąd fredkatami. ++

Od najwcześniejszych swoich literackich wystąpień miał Stanisławski ten dziwny dar, że to, co on napisał, zwracało się odrazu publiczności w oczy, jak gdyby było odznaczone innym wyrazistszym drukiem. — Każde zdanie, które ogłaszał, zachęcało do dalszego czytania. ++ Tylko z biegiem czasu urywał coraz to innych sposobów. Dawniej odróżniał się od dziennikarskiej prozy werwą, a dzisiaj na na to wyższy i trudniejszy forte — prostotę. ++

— Wyjątkiem jednak czytelników, wśród których się na brak humorystycznych ustępów w „Listach z Afryki“ i wyjątkiem innych, ucieszonych, którzy się

37

spotkiwali więcej wiadomości o Orzeszkowej Lidzie. # Alex Siemiradzki nie jeździł na studya etnograficzne, nie wysyłała go żadna akademia, jak np: Dybowskiego! —
Wolno każdemu czytać co książce zarzekają, które go interesują, ale wolno i autorowi wymagać, aby go czytano według tego, co daje i co daje zamierza. — Krytyka, która w ten sposób przedstawia punkt swego widzenia, musi się narazić na ostre potępienie. # A mimo to zdaje, że ostatnia książka Siemiradzkiego zawiera dużo bardzo prostych uwag, wypadających z tego, co zapewne przez "te" uchodzą za "dowcip" naiwalizmu, "chłopskiego rozumu"! — Kto wie nawet, czy nie dla swej zgrabnej a głębokiej prostoty uszły podobne spostrzeżenia uwadze dostrzegawczej?
Ekonomiści uznają potrzebę nowego pola działalności dla Europy, czytają zagraniczne sprawozdania z podróży przebywających krajów i wyraz "Afryka" nabiera dla nich magicznego znaczenia. # A oto nagle podróżnik wytrwały i silny, zakarbowany w kalifornijskich lasach, nie chce wierzyć w długotrwałość europejskich kolonii w Afryce i przyjmuje za najwyższą możliwość państwo, powstałe z połączenia białej i murzyńskiej rasy. # I dużo drukowanej

bibuły wpada odrazu w wodę gorączkowych mózg podniebiennych i rzek, zjejących chorobę. # A jego podróżniska zarwpada właśnie febra i widział on jej ślady po wyniszczających i bezdrożnych dniach. —

Trzymają się sam jako jako jedni katolicy misjonarza, zapewne dlatego, że w przeciwieństwie do anglikańskich i do urzędników pruskich są sami i nie-kłócą się o drogie-głowy rodzinne. # Czyż to, co o nich mówi Siendiewicz, nie należy także niestety do pięknych, ale do praktycznych, nieciawych stronnic-ności? # Dzielą oni dni od innowierców, i europejczyków i murzynów, poparcia od władz niemieckich, a dzierżawią jedyną cywilizacyjną, możliwą w tych krajach, chrześcijaństwo. I to mówi znowu człowiek, który się na to patrzał i za to znowu trzeba bardzo prosić... A on nie studiował ich, ale chodził, „febry zbierając do dzieła", chodził jak malarz i tym razem mógłby być zastosować do siebie słowa autora, jak niepodobnego mu, jak Flauberta: „Świat jest przedmiotem sztuki, dlatego się pracuj, aby je opisać." — Ale chwilami zbiera go chęć, wyższego uniesienia na życia Arabów, Hindusów i czarnych, a dziwny instynkt wskazywał mu dar Duszy dziecięcej, niezrozumiałego dla zwykłej mowy

człowieka, który się nazad budzi
wśród przepaści prudkiej biegnącej
i gubiące się w ich wezmaganiach,
może zginąć..
Siendziewicz rozpoznał to wszystko
poczuciem, bo się nowy Ri-mahili
nie nauczył i sam znowu różni się
autor amerykańskich korespondencyj
od malarza afrykańskich obrazów. –
I angielskim językiem zaporucał
się bowiem zupełnie i zrujnował się odtąd
z Szekspirem. + Nie można mu
dopiero brać za złe, że nie odgadywał
wad muzy różnego malarza; za nauki,
na które w życiu czasu jednak nie
starczy. + Ograniczył się więc na tem,
co mu oczy dawały. + Ale malarz się
za to na pustyni, do której, jak sam
wyznaje, tęsknił od wczesnego dzieciństwa. + U dzisiejszego u nas budzi się
za lat młodych ciekawość do innych
światów, kojarzących barwą i
odmiennych zwierząt, chęć do-
myślnego wolnego życia, do trudów
i walk i noclegów pod gwiazdami.
Ale pragnienia te nie pomagają
zarówno miejsca innym pojęciom
i Robinson już się nam nie śni
po nocach, nie nawiedzają nas boha-
terowie Mayne-Raida. +
Życie dzisiejszej Europy, ciasne, trudne,
bolesne życie codzienne, ogarnia
nas coraz bardziej. + Od chęci po-
znania światła, nawet zwojskiej

i bliższej natury, od dziecinnego zapału do nauk przyrodniczych, które się najczęściej objawia malowaniem. malowali na szpilce, przechodziliśmy do zaciekawienia się człowiekiem, do studyum historyi, do nitości poctów. Trzeba zmużenia i przesytu, abyśmy zapragnęli odetchnienia w przyrodzie, abyśmy jej badanie uznali za najzdrowszą umiejętność. + U Siemiradzkiego zaś nie przerwał się chyba nigdy pociąg do żywej, obecnej, potężnej przyrody. + Kiedy, będąc studentem, pisał pierwszą historyczno literacką pracę o Zygmie Starym, przyznawał się, że nie przestawał marzyć o owem burzliwem życiu amerykańskich osadników. + W każdym razie zachował całą dziecinną świeżość podziwu dla dziewiczego lasu. + Jeszcze teraz, przed wyjazdem na pustynię afrykańską, nie może on zasnąć na myśl, że jedzie nareszcie na ziemie, o których marzył i że zobaczy jego wnet potwa.

Zdaje się, że w Siemiradzkim odzywa się jakby atawizm, po tych ludziach pierwotnych, którzy toczyli nieustanną walkę z naturą dzikością, z własnem ubóstwieniem i z dzikim zwierzęciem i w zwycięstwie widzieli godność człowieka. — Dwa razy napada go jedna, wie, że trzeci atak go zabije, ale postanawia zobaczyć nie przejść go i może po części dlatego

nie ulega już chorobie.'
Inni współcześni pisarze, odzywają się do ludzi zgiętych przeważnie grozą, niezdających sobie po miastach, w pracy niemniej zwadzej, ale jednostronnej, do ludzi już niepotrafiących pasować się z naturą, pojmujących walkę o byt, jako wojnę człowieka z człowiekiem. + Sienkiewicz pisze szkice i dla tych, co czują w sobie zasoby niezużytkowanej murdestadzkiej siły. + Brander zamawiał tragedyę, że w najnowszym francuzem z arcydzieł, w „Faustcie" Goethego, dla wagi osobistej nie gra żadnej roli, ale świadomie myśli niemieckiego bohatera, nie pokuszą się wyobrazić Sienkiewicza w tym stopniu, co męskiego rycerza. ++ Jest to zapewne najbardziej epicery i najbardziej męski talent w dzisiejszej Europie. ++ Potrzeba mu przykład i trudów i dla swoich potrzeb i dla siebie. — Jak podróżuje koni jego amerykańskich bisonów, od chwili, gdy porzuca miasta, pustyni się koleją Dwóch Oceanów i zachodzi do kochowników i myśliwych! Poeta wydobywa się odtąd jak mógł z powodzi dziennikarza. Czuje on to zresztą sam i już w korespondencjach do „Gazety polskiej" zaczyna się trochę wpływ bezdroża mórz i bezgraniczna pustyni na własną zdolność i usposobienie.

W ostatniej książce dominuje on wyraźnie dobrocyzmu – zdumienie dalekich podróży na pisarza, bo, jak każdy wielki artysta, tworzy on przedewszystkiem ze studyów swego własnego talentu. Smutna poezya miasta, nędzy, płodnego a powolnego trudu, długiej i bezpłodnej niwecz walki, ozdobnego życia, nie pobudza go do tej miary do twórczości. II Tylko zwrotna, bo lotna dygresya własnej natury i duszy pozwoliła mu wejść w grzbiet „Bez dogmatu" i nega tego, jakby powiedział Edward Rod, tego płodzenia. III Byli ludzie, którzy uważali to porzucenie za apoteozę. — IV — Równocześnie z podróżą obudził się w Sienkiewiczu na pustyni malarz. Zawdzięczamy mu opisy Kalifornii, pełne wdzięcznych stepów, a — wreszcie obrazy marowieckich pól w „Bez dogmatu"; zgodziliśmy go zwłaszcza – co krok w afrykańskich listach. V Nie mylę się i na razie nie mogę wdawać się w ocenę bezwzględnej wartości tego nowego literackiego kierunku, ani odgrzebywać Lessinga, który zarzucony stosami nowych estetycznych studyów, leży w grobie spokojniejszy i zimniejszy jeszcze, niż ze życia. VI Być może, być bardzo może, iż chcieć malować słowami, jest to wkraczać w zakres sztuk plastycznych, mylić się co do środków

i całość, zbliżać się do barokowe, który nie znał rozgraniczenia sztuki. – Ale z drugiej strony wykształcił się jego publiczność Dziecięstwa, zwłaszcza we Francji, domaga się obecnie, aby jej i piśmiennictwo dawało te wrażenia. Dlatego, a zwłaszcza plamy barwnych, które przed nią rozwarstwiło malarstwo. –

Jest dziś i u nas wiele ludzi, czy to bardziej z nerwowych jednostronności, liderackich motywów, czy też przeczuwających nowe poetyckie zdobyczy, którzy pragną i szukają malowania natury nawet w piśmiennictwie. Nie znam myśli o nich, ale jednak dla nich, rozpostarł Dziedzictwo dużych obrazów. + Ale jak pisząc przy tej monografię o płaszczowskim, ustrzec się śmiesznych a pedantycznych drobiazgowości Francuzów, tak umiał w malowaniu pozostać pisarzem, który dla niezwojszczego świata farb i potyczków, nie wyparł się własnej dziedziny, ludzkiej duszy, jej usposobień i porwań. Tego nie wzywa on jedynie naszych barw, jak i inni malarze piórem, ale i porównań i niekonwencjonalnych wyrażeń. „Kalosza była zgrabna, nie tak niemiłosiernie modna, jak bywa czasem moda środziemna, ale raczej kolorem nie zapominająca, z odblaskami pereł, opali, miedzi, dymnego srebra." –

„Cisza była zupełna — pisze on gdzieindziej — woda leżała ciężko, bez ruchu, jakby powierzchnia oceanu odrzekła pod śniegiem... Wszędy cicho, biało!... no tej białości nie było najmniejszego światła, ani jednego pobłysku; była ona matowa, jak całun. — Księżyc nie świecił. ++ Gwiazdy, gęsto posiane srebrnych gwiazdki, powtarzające w zatobne obicie, albowiem niebo, w przeciwieństwie do morza, wydawało się czarne jak sit." ++

W zgórze wodzisko Sucru „ o zachodzie słońca ów obraz wyraźniejszy, ozmaszkowane na czubach złotem i purpurą, na skałach liliowe, powietrze, delikatne."

Podkreśliłem te parę wyrazów na dowód, jak prostym i jak nowym umie być w opisach Sienkiewicz i wybrałem umyślnie dwa krajobrazy morskie, na przykłady. ++ Bo i on zdaje mi się urzadać, kiedy mu o morzu mówić wypadnie, o morzu, które jest tak zmiennie i prawie tak żywe, jak dusza. I wtedy nie ma miejsca na humor. Ów, który — nad zupełną powagą, albo zupełną piękność, która jest tegoż rodzaju powagą. — I ona stanowi, wraz z prostotą, zasadniczą różnicę między nowemi a pierwszemi listami z podróży. ++ Wertery i Jantaryi amerykańskich korespondencyi, nie zdoła nikt naśladować, a kto kolwiek próbował, wzbudził rodzaj niesmaku u siebie i u drugich.

45.

Tymczasem jednak jeżeli się nikomu nie uda dojść do malowniczych zalet afrykańskich wrażeń i obrazów, to musimy się wszyscy starać o ich zachowanie, o przyswojenie sobie ich prostoty. ††

Listy z Ameryki należą do tych dzieł, które nie powinny mieć nakładowego, bo wydadzą tylko epigonów; opisy afrykańskie wyprawy mogą nabrać być może stylu w najszerszem znaczeniu wyrazu, t.j. mogą ucząć prosto czuć, a co dopiero za tem idzie, prosto pisać. Czyli imieni słowny, jest to ostatnia księga Sienkiewicza. ††

XXX

Tu muszę dodać specyalnej uwagi języka, bo on to, mojem zdaniem, zapewni „Listom z Afryki" długotrwałość. — Każdy wielki pisarz był twórcą i nowatorem na tem polu; z naszych pierwszorzędnych autorów żaden tylko jeden, co malowniczo języka rodzimego nie odnowił, a nawet nim nie zupełnie owładnął, Aleksander Fredro. —
Co się tyczy ostatniego dzieła Sienkiewicza, to wyznaję, że dzięki mistrzostwu i prostocie języka,

czytelnika z zajęciem nawet pobieżne
szkice afrykańskiej fauny i flory,
zamieszczone w drugim tomie. Bo i
sam, mnie, który piszę, to jest gonię
za wyrazami, oddającemi najwierniej
to, co myślę i odczuwam, i sam zdumie-
wają mnie co krok proste formy
stylistyczne. — Rozróżniam pewno czytel-
ników, twierdzę, że nie jest to bez-
względnie rzeczą obojętną, czy przed-
miot następuje w zdaniu po
podmiocie lub na odwrót i czy
przymiotnik stoi przed albo po
rzeczowniku. — A jednak sąd jest
i przyzna mi do niektórych nader
skrupulatniejszy i świadomy swego
zadania pisarz, ale nawet psycho-
log. — A to tem właściwie bieda, że
nie jest łatwo pogodzić w obrazie,
sprzecznie wiarą interesa wyrazów
i sąd zdania uprościć i dostroić,
ażeby każdy wysnuł wzrost do
pełnego zmartwienia. — Radzimy-
zobie zarezygnuj, pobrzmiewające srebr-
tel obrazem nadmiarem ozdób, błys-
kotek, barwnych przymiotników,
nadające mu szarej rezerwy, albo
od początku pozbawiamy i **fatalnej**
asekuracji zdolę nazwij myśli, jedy-
nej naszej **właściwości**, byle jej nada-
post świetny i przemycić pod
kolorową, ale cudzą flagą. —
Zadowalniamy się literackiej tem-
dzy i pełnemi zaglami płyniemy

do maniery. — Zapominamy, że jedna prostota, jedna zgodność myśli i wyrazu, może przetrwać do jutra. Zapominamy o tedze, które Alfred de Musset dał autorce „Indyany", kiedy na pierwszych stronicach tej powieści powyciskał wszystkie nazwane i tysiączne wyrazy, wszystkie, bez których mogło się tego obejść. —

Ale u Sienkiewicza odbywa się rozwój w przeciwnym kierunku: od świetności do szarego nastroju, od maniery do prostoty. —

Jak wiemy z naszej znajomości Hellenów, przebył on tę drogę Słowackiego, której El... z ulegał w pierwszych utworach, z której się Konopnicka dopiero od kilku lat otrząsa. —

Listy z Ameryki pełne są jeszcze reminiscencyj po Bemowskiego, i na jednej z kilkunastu pierwszych stronic, spotykam podobne widzenie wyjątkowego kościotrupa, utworzone z rymów, które już błysły w „Biciach". — Posłuszne chodziło o to, aby zmieniające kontrastujący na kartkę prozy i realny, znaleźć odpowiedni nastrój, aby w ślad Słowackiego „język giętki, powietrzny wyniósł, co pomyśli z słowa", i dowody tego artystycznego przeobrażenia widzimy w „Hani", „Srdicach węzłem" i

i „Janiole." – Ostatnia epoka, kiedy Sienkiewicz od „liliputowych bohaterów" jak sam mówił, przeszedł do historycznych postaci. – Musiał on wtedy przyswoić sobie język XVII stulecia i jeżeli „Wiernej Rzeczy" podziwiamy ogólnie, uważam za nieszczęśliwą próbę odtworzenia tonu, do którego najzupełniej zachwyt, z którym powitano „Ogniem i mieczem" i nie mogę się dość nadziwić intuicji pisarza. ⁂ Charakterystyczna, a zarazem żywa mowa bohaterskich powieści, przystosowała się niemało do niebywałego ich powodzenia. „Ta trzecia" wzbogaciła język literacki nowym zasobem humorystycznych, malowniczych i malowniczych wyrazów. – Zadanie stanęło Sienkiewiczowi przed najtrudniejszem zadaniem: rozpoczętą wielką powieść obyczajową i nie mógł korzystać z żadnego wyrobionego języka, ani z potocznego, ani ze staropolskiego. Trzeba było stworzyć nową swoistą, odrębną mowę dla psychologicznej analizy i salonową mowę dla ludzi, którzy nie wytworzyli towarzyskiego tonu rozmowy. ⁂ Wydaje mi się, jak gdyby się wtedy Sienkiewicz był zlękł, zgrozą swoją zdolność pisarską, że też rezultat odpowiedział wysiłkom. – Język salonowy odczuwał się z wszystkich, o której się nawet nie śni międzyrosii nowoczesnej konwencjonalności, zubożałości duchowej

objawia się w dyrygentowym stylu. Mowa, którą Siemdiewicz włada, składa się dla niego wielkiemi organami, z których może wydobyć pełnię wszystkich dźwięków, nawet głos wiejskich skrzypek, gdzie do prostego akordu znajduje akompaniament i nadaje melodyi właściwy rezonans. Kiedy Siemdiewicz dziś gra, cały organ dźwięczy. + Od studyum chorej duszy przeszedł do epoki jej zdrowej działalności, z której wszystkie możliwe mu wówczas korzystał, odkąd bowiem zaczyna się przejrzystość, zdrowość w traktowaniu efektami i prostota. W „Listach z Afryki" polegają się te zalety. — Pisania są najzwyczajniejsze, środki, ale skoordynowane się im przy tym, poruszą, że żadne inne, nie zdołałyby ich zastąpić i wywrzeć tego wrażenia. — Wyrazy idą w uświęconym, w najnaturalniejszym porządku, a wydają, silniej i działają skuteczniej, niż w sztucznie zbudowanych, rozbujałych zdaniach. — Nie mam nadmiaru słów barwnych i rzadkich, mających stylizacyę uświęcić, ale, jak mówi niemiecki poeta, „ograniczeniem i umiarkowaniu mistrz się robi". — Jest wszystko artystyczna logika po za prostotą mądrze uszeregowanych zdań i wyrazów. + Przed trzydziestu laty stawiano powieść Sienkiewicza się z niemieckiego, jako wzór dla

pisarzych: Dziś wyda się ona każdemu nadto nadzieszczną i wymuszoną. —
Siendkiewicz, jak mówiłem, czuła często w innych stronach duszy i talentu. — Kryje się przytem pod szczególnym pozorem języka, że nadaje czasem wyrazom nowe znaczenie, tworzy słowa, jak „chwiejba“ odnosząc na morze, albo „huśtawica“! — Wszystko mu się zdaje obrazem. ++ Tam gdzie używającz ubitych wyrażeń, nie czujemy już porównania, on je odświeża i rozszerza po swojemu. — Więc kiedy np: ogół mówi: „płynąć z kimś jakie a jakie szczęście,“ jemu podnosząc się pod pióro obrazowe zwroty, jak: „ze zbyt porywczych pogłosów płynąć całe rzeki błędów“. —
Porównanie w którym coś dzisiaj z pierwotnego odkrycia, czuje silniej, głębiej od nas pierwotną, ludzką mowę, znajduje niejako jej źródła. —
A z drugiej strony talent subtelny i cichy, obawiający się najmniejszego szczegółu, kiedy potrzeba o bliskich, o swoich i dziecinne wspomnienia. ++ Jego język nie jest nigdy tak przejrzystym, jak kiedy opisuje wrażenie pieśni murzyńskiej ze zwrotką „Ave Maria“ śpiewanej „niesporo tam, gdzieś za morzami, albo kiedy w dziecinnej wilii wspomni „o lecie zachwycającem, jasno oświeconych obrazach, o radosnych obrzędach dzieci na-widok

„Drewdra." Mówiłem to już raz, przy innej sposobności, im trudniej ojczysty dziennik obiera ten pisarz, tem więcej żydem jest pisarzem. —

— — —

IV.

— — — —

Maurycy Barrès, autor francuski, nie tyle zrozumiały, co głośny, drukował przed półrokiem artykuły w „paryskim Figaro," gdzie zastanawiał się nad potrzebą zapoznania Francyi z większą ilością obcych pisarzy i poetów. — Pomocowy ustęp wywodu porównywającego zagraniczną literaturę do gwiazd dalekich i mało znanych, uderzył mnie wówczas różnością swego zapatrywania i odrębnej natury ze stronnictwa zapamiętałego wśród „Listów z Afryki."
Na zachowanie uwagę, które mi się nastręczyły, przytoczę dwa, te lekkomyślne zdania, przytoczę je cudzoziemcie, a już bez komentarza:
„Tędy podróżnik przebiegł równik — pisze Barrès — i nowe gwiazdy nowe rozświecą, budzi się w nim na pokładzie parowca, jakaś melancholia, upojenie serdeczne, których nie noce Europy od dawna nie umiały dostarczyć. — Czyż mamy dalej twierdzić, że owe niebiosa są bardziej tajemnicze, niż po nad Montmartre?

„I owe te gwiazdy zlewają na niego te same blaski i te same smutki, które nam rozpościerają nasze nad Paryżem. — Rajdrak powie on wzrokiem: „Tam to, tam Saledro, noc mówiła do mnie lepiej i podobniej mi to, co mi nasze gwiazdy nie przekazy prawią, ale mnie jeszcze nie umiały skłonić do słuchania." [1]

Siemiradzki zaś pisze:

„Nie przypuszczałem jednej rzeczy: że może istnieć nostalgia do gwiazd. Długie lata marzyłem o zobaczeniu południowego Krzyża, aż gdy mi go którejś nocy pokazano, wtedy mi się jakoś dziwnie i niezwojo. — Chciałoby się zapytać tych gwiazd: co wyjście za jedne? Ani ja was znam, ani wy mnie, a z takiemi rzyżem się od dzieciństwa. — I oto widok podziwia te nowe, światy, błyszczące ten! ne ciemnych przepaściach nieba, ale po chwili ogląda się za siebie, czy nie zobaczy jeszcze starych przyjaciół — a gdy ich nie dojrzy, to mu i tęsknio."

R. M. Górski:

1/ „Figaro" z 4. Lipca 1892.

Czas z Świata 21 Czerwca 1894 r.

Przegląd Literacki.

— — —

I pisma Henryka Sienkiewicza, tom XX:
„Wyrok Losu." — „Z wrażeń włościch." —
„Organista z Pomiechy." — „U źródła."
„Lux in tenebris lucet." — „Bądź
błogosławiona." — „Pójdźmy za nim." —
„Listy o Zoli" — U Gebethnera i Wolffa.
Warszawa 1894 r.

— —

E

Ten dwudziesty tom pism, wydany przed kilku miesiącami nakładem pp. Gebethnera i Wolffa, jest w istocie dwudziestym pięcym tomem dzieł Henryka Sienkiewicza. — Są tu liczne pierwsze młodzieńcze próby, na które przedruk sam autor może by dziś nie pozwolił, nie wspominam więc „Humoresek z teki Worszyłły," ani powiastki „Na marne," jakkolwiek i one na niemałe dziś zdałyby się powodzenie. + Nie jest też moim zamiarem zwracać tu uwagę naszych firm księgarskich na „Mięszaniny literacko-artystyczne" rozrzucone po dawnych, bardzo dawnych rocznikach dzisiej. Nie wiem czyby warto dziś było zebrać w tomik te krótkie kuźne, recenzye, to felietony, z których nas przedewszystkiem zaciekawia osobiście samego

recenzenta, krytyki egzotyczne, pełne
nawpół wypowiedzianych zwierzeń,
sprawozdania, pisane przez. poety. -
Wiem tylko, bo sam je świeżo odczytałem, że przyjaciół oryginalnego pisarstwa mogą zachęcić do powtórnego przejrzenia tych oszlifowanych odcinków. — Jest tam artykuł o pewnej średniej nowelce, gdzie wszystkie kwiatki i dzwonki w borze pochylają się ku sobie, szepczą i rozbrzmiewają cicho wyrazami: „Słowa, słowa, słowa!" — aż cały bór i świat ze pieśni kwiatowych kiełkuje powtórzyć. — Są ilustracje dzieł zapomnianych i słabych, nie świeżych same przez się, ale odrestaurowanych kunsztem zdobniczym, w który je artysta ustroił. —

Pamiętam sprawozdanie z nieudanego przedstawienia Kleinowskich pieśni, artykuł, gdzie dopiero prozaik bierze poetę w obronę i daje go nam lepiej poznać od rymującego tłumacza. Pamiętam dużo słów serdecznych o odczytach. — Ale niech moi czytelnicy przekonają się o tem sami. —

Pomijam więc nazwanie „Międzynarodowy", który tylko dziwi, czytano w księżce wydanie. — Do twierdzenia tomików pp. Gebethnera i Wolffa dodaję trzy tomy „Bez dogmatu", dwa „Listów z Afrydi", i utwory mające w ten sposób cyfrę dwudziestu pięciu dla drobnego tomiku, o którym

miłości zamierzam. —
Od piętnastej[30] dwudziestu lat literackiej działalności i dwadzieścia pięć tomów, napisanych — podróże w tej chwili do Syrii — najnowszym języczkiem, na jaki się nam, współczesnym pisarzom zdobyli. —
Dwadzieścia pięć tomów przy mierze przeciętnej, a wprawdzie zadarem, bo i średniej, osobistej i prawdziwej. —
Dwadzieścia pięć dobrych książek, pożądanych w świat i powitanych nieźle z podziwem, ale i z wdzięcznością, książek, gdzie się nieraz szczegółowe lub zmiany zresztą, ale ~~niekłamanie~~ niema ani jednej, gdzieby nie błysnął humor, szlachetność, prostota, myśl jasna, szczęście, podniosła jakaś miłość. Trzy pisarz, bezbłędnie powiedział, że ten ostatni tom jest jubileuszowy. — Ale dziewięć pełnych lat to przyszłość, dla więcej o dzieła, które napisze, niż o te, co na dotychczasowych pańskich półkach leżą i odnawia swój talent, rzucając je, może bezwiednie, nowych zadań, tematów i horyzontów. —
Świadczy o tem niejedno „Rodzina Połanieckich", świadczy o tem i ten dwudziesty piąty. —
Kto spotkał umie czytać z rzęs i z księżyca, na tego pełnej z jej stronie twarz, piszesz, jakaś twarz

nie materyalna, ale żywa. — Ołóż się
zygmonta Siemdziewicza, jak się
z oddalenia tonie poznaje,
jest nieco odmienna od dawnej,
niemal nowa. — Jeden rys, dołęg
mniej występuje, chcę tu z góry
zaznaczyć. —
Są ludzie, którzy rzucają dużo
po przeczytaniu, jak wypiwszy
wino, zostawia się butelkę na
stole. — Są inni, którzy przywykli
czytać z ołówkiem w ręku, zachę
dać usteb, jeżeli ich widzę. —
Potem w godzinach spokojnych, w
chwilach, kiedy się potrzebuje
podniety z zewnątrz i rzadko do
stroje się — się, współczuje w
trzeci dach napotrót obcej i nad
swej, jak książka, wracają oni
do zaznaczonych ustępów, do wda
nych myśli, z rożu niektórych dla
nich danych, odłęg im pisarz
dał wyraz; do własnych uczuć,
silniejszych i naturalniejszych,
odłęg je w słowach cudzych odnaz
leźli. — Bo zdarzeń się nam,
zwyczajnym czytelnikom, że świat
nasz wewnętrzny nie różni się
wcale od widnokręgów nierzadkich
nawet pisarzy i schlebiamy sobie,
ufając, że my tylko mniej świeci,
mniej mężni od myśliciela i poetów,
że jakiś wewnętrzny brak odwagi
nie dał nam sformułować wtrzeń

I w tem poczuciu jest pewna wielka część prawdy. — Ale kiedy to uświadamianie wydaje się nam [illegible] dla innych ludzi jest ono potrzebne, oni nie domyślają się nawet, jak bardzo są odważni i nowi. — Musza według słów Miedziewicza „mieć miłość, jak jedwabnik swoje przędze snuje." I tem się od nas cudzoziemcy różnią; po tem poznajemy ich odrazu; dla tego stawiamy ich wysoko nad poziom ogólny. —
Na kartach ich książek odnajdujemy [illegible] ślady odwiecznych, przypadkowych, głębszych wrażeń w życiu, lub poczuć wyłowionych, ale całe żywo myśli, wrażeń, nastrojów, umiejętnie zapisanych, bo zgłębionych. I my zostawiamy coś na tych stronnicach. —
Jedni mają dar Ewiady, drudzy przechowywują wspomnienia. —
W żadnym domu dziś Siemiradzkiego nie zdołasz ludzie tyle osobistych wrażeń, tyle drgnień duszy, niżeli ich po salach, tyle nie odnajdą co w tym ostatnim, najnowszym. —
Jest zapisane w tych domach „Bez dogmatu" więcej, niż kiedyś wolnych, spostrzeżeń trafnych, ciętych, zwięzłe i mistrzowsko powiedzianych, jest dużo słów mocnych, jeżeli nie zawsze do dna pogłębionych

do opisanych ze strony nieznanej dotąd w literaturze naszej. — Bo u nas psychologia powieściopisarzy wydaje się zawsze zacofaną w obie bohaterki tego tragizmu — i malowniczości pełnie. Ktoby więc w najnowszem naszem piśmiennictwie chciał szukać — afforyzmów, katalogować charakterystyki osób, krajobrazów, ktoby w tym celu zbierał definicje ludzi, aby je potem do bliźnich stosować, ten niechaj weźmie dziennik Pożaroweckiego. Ale ktoby mniej złośliwy i samolubny, chce sobie do własnego użytku taką bibliotekę zgromadzić, aby mógł w każdej chwili wziąć książkę z półki i odnaleźć w niej obraz — coś, co go wprawi w zadumę lub w zapomnienie życia, stronicę, która pobudzi, powagę, pięknością nastroi, pozwoli mu wyjść z otaczających stosunków i wejść natchnieniu w siebie, to jak to jego szczęścia źródła, którego chwilami we wnętrzu swojem czujemy, ten niechaj pisma chowa „U źródła" „Lux in tenebris" i „Pójdźmy za nim," niechaj zostawia na stronicach książki, ślady swego czytania, znaki, wrażenia otoczenia, albo swą całą pamięć, albo przynajmniej zakładki i pamiątki.

Zdaje się, że nowej orientacji obadwóch

się od niedawna w Sienkiewiczu.
Być może, iż chwilowo odstręczenie
się do niego Tuwima, który
lubi się trzymać znanych dróg i tworzyć
rzeczy, sądzę jednak, że pojednanie i szybki
powrót do niego z Tuwima - wszystkich
dusz. - A o nie tylko chodzi!
Bo odczuwać się w Sienkiewiczu, obok
artysty - jakiegoś ogólniejszego obserwatora, a zwłaszcza obok epika - poetę
lirycznego. - nie będę nad tem ubolewał,
jakkolwiek doskonale oceniam usprawiedliwioną do niedawna zdawną
na zbędność podniosłości naszej
„literatury pięknej". Ale żeś nie o to
chodzi, jaką będzie poezya i chodzi o to -
czy będzie. i martwi się mi się, że społeczeństwo znużone - nie realizmem
koli, ale jego karykaturą, nie malowniczością Kossaka, ale katalogami farb
malarskich, nie „wesołymi" i gęsto
rozwiązanymi Ibsena, ale drwalskiemi
jego naśladowcami, że społeczeństwo
znienawidzi poezyę, która rozprawia
i mędrkuje, chce malować, a nie
odczuwa, archaizuje, bo nie daje
wrażeń, że się natomiast zwróci
do tego, czem poezya była z początku,
czem jest w najgłębszej swej istocie,
do wzlotu prostych, ostrych dźwięków
wyrazów, do wewnętrznej melodyi,
do pieśni. - Sądzę, że jeżeli poezya
znajdzie jeszcze w przyszłości słuchaczy,
będą oni powtarzali poetom słowo

Paula Verlaine'a, którego zbyt łatwo
mianowano wyrodkiem zabłąkanym
niezrozumiałych dziwadeł:

De la musique encore et toujours!

X

I niech się nikt, że zdanowicza
zapoteznego, nie obawia podniosło-
wości Sienkiewicza. — Jest to liryzm
męski, pogłębiony znajomością życia,
myśleniem poważy, dolychczas
może nawet niewiadomy; lirycz-
pizarra, który wiele drogami chodził,
wiele rzeczy zgłębił, dużo gorzkich po-
znał, dużo tłahostek wyśmiał, a
potem ujrzał, że dla erotyzmu,
jak on, niemasz, jak to zadanie:
ponad sprawami ludzkiemi „snuć
marzeń" jak jedwabiu przędzę
swoję snuję. —

— — —

XI

Czy potrzeba czytelnikowi dowodzić, prawdę
że słowo moich o czasowych, niż
dolychczas, Sienkiewiczowskich
zdaniach ogólnych, postrzeżeniach
głębokich i mimo swego idealizmu
tak prawdziwych, o nastrojach
duchowych, zanotowanych tak
jeszcze swobodniejszą i szerszą, niż
najstaranniejsze uwagi Potkowskiego?
Pisząc o dziele Sienkiewicza, choćby
bardzo drobnem, ma się zawsze uczu-
cie, że mówi się o utworze znanym,

żyjącym w ogólnej pamięci. — Każde
słowo, które się tworzy, jest wtedy
podobne do kamienia, cisnącego
w stado tych wróbli, które się zimą
kupią dość zabudowań na jednem
miejscu podnosi się odrazu całkowita
gromada wspomnień. ✕ Ale tego
razem wolałbym nie wyjąć wszystkie
do ładnych, co raz i drugi odczytali
nowele, zawarte w niniejszym
tomiku. — Bo drugą jego dziwną
charakterystyczną cechą, jest
niezwykła płodność pomysłów, kompo-
zycyjna powściągliwość, mistrzowskie
nie do tych czasów, czasami wstrząsa-
jąca, czasem niemal śliska. ✕ Powia-
dają, że nowela nie posiada żadnego
wzrostu, żadnej akcji, nie ma
nawet treści, jak np: ono „Brzanka
za z powieści" — mojem zdaniem
najmniej udatny utwór w tym
zbiorze: dzieje człowieka, który
w duszy, kiedy mu wreszcie
miłość, uczucie, zajrzały w oczy,
idzie tęsknią, rozmarzony, trochę
podochocony, idzie po śniegu, od-
dany muzyce i radości, a że mróz
jest ostry, że las bezlitośnie (ta) z zimna
nie śpiewa, zamienia z zimna
przy gwiazdach. —
Przeciwnie treści, wiejskiem zwyczajem
tematem, obrazkami ludowego
życia i humoru, jaśnie rozsiane po
całym obrazie głuchą tęsknotą za

natchnieńskich i beidnych przypomina „Organista" wreszcie nowela autora mimowoli przychodzi na myśl „Janiosa". — Wydaje mi się jednak, że w porównaniu do tamtych dawnych powiastek, jest to utwór mniej prosty i mniej bezpośredni.

Po pierwszem przeczytaniu wydało mi się nawet, że to jedyne dzieło Sienkiewicza, któregoby od biedy mógł był kto inny napisać.

Zapomniałem wtedy — pod ogólnem wrażeniem — i o cyklowcu „chudziaku o długich nogach", czerniejącej się na śniegu — i o opisie gry na organach, o oddaniu wrażenia, które ona wywiera na ludzi zebranych w kościele, na księdza Kanonika — i samego pana Klenia, organisty, nie wziąłem w rachubę jednej z tych stron, które zawsze wypada zachwalić i zganić. — Zresztą jest zresztą cała nowela obliczona na jedno zdanie końcowe, na to, co Francuzi w swym języku, a Niemcy z francuska zowią pointe, a co mi pewien wielki polski pisarz radził nazwać „końcówką".

Kiedy się dorywczo ostatnich wyrazów „Wyrodnej Żmii", gnie z wrażenia czarowny opis wieczoru i nocy a świtu. A jednak, jaki to opis! „Białe marmury Propylejów, Partenonu, i Erechtejonu

wydawały się różowe i lad- ności,
jakby tamnicą straciły wszelkę wagę
lub jakby był sennem zjawiskiem.
Oto wtedy olbrzymiej Adamy
Promachos prosto w zorzę, niby
zapalona nad Atlydę pochodnia.
Na niebie ważyło się na rozpostar-
tych skrzydłach kilka jastrzębi,
które leciały na noclegi do gniazd
ukrytych po skałach."

Podkreślam, przepraszając te słowa,
które ~~przypadkowo~~ mi
się wydają najprzystojniej dobranemi
słowa, które przy głośnem czy-
taniu trzebaby abrakadem, sonem
uwydatnić. — Cały ten ustęp, jest
pełny ustępów, które się proszą
o głośne czytanie — a czegóż to
jest dowodem, jeżeli nie lirycznie?

Gdyby rzadsza głośnego czytania
rozbudzała u nas, jak dawniej we
Francyi i Niemczech, nie żądałbym
bym się, gdyby jadi potrzeby długowe
dodać do zwięzłego repertuaru, zdoro-
wego z dzieł uwiecznionych —
takie prozaiczne utwory, jak
humorystyczny poemacik
„Wyrok Zeusa" albo ów mi-
styczny madrygał, noszący tytuł:
„Będzie błogosławiona." —
„Noc mrok nie trwał długo —
mówi taki Sienkiewicz. — Wodotla
z archipelagu wynurzyła się
blada Selene i poczęła żeglować,

jak srebrna tarcza po niebieskiem
przestworzu. — I znów rozświecisty
się marmury na Akropolu, tylko
świecisty teraz jasnozielonem światłem
i bysty jerzyce do zamego zjawis-
ka podobniejsze." —
— A jednak wszystkie te i inne, równie
cudne obrazy przy pierwszem czy-
taniu zachwycają na chwilę tylko
mniej. — Chociaż w niej przede wszy-
stkiem końcowy, sam wyrok Kleona:
"— Kobieta cnotliwa, zwłaszcza —
gdy trochę innego, może oprzeć się
Apollinowi... Ale z pewnością i
zawsze oprze mu się kobieta głupia"...
Dopiero za powtórzeniem do nowelki
widzi się, że treści jej nie wyczerpuje
to zdanie, ten „zenis nie moralny",
jakbym powiedział, gdybym nie
miał przekonania zrazu się codziennem
na radzie... Dopiero wtedy rozło-
żonymi się rzeczywiście opisem
miasta, którego wody dowożą
bardzo jęczmień, a wodę niosą dziew-
czyny „z amforami, wspartemi na
ramieniu i tyle wzniesionemi
do góry, tchnące i wdzięczne, do nim-
fy niebieskich podobne." I
wtedy zaczynają tkwić zdania,
jak nasze pojęcia, z tamowić dla nas
cztodnej wartości utworu:
„Głos boga poezyi brzmiał tak
cudnie, że cud wywołał. Oto
wśród ambrozyjskiej nocy zadrgała

Troeira wróciła w ręce siostrzej na Akropolu Ateny i głowa otoczy mięsy pozycji zwróciła się nieco ku Partenonowi, by lepiej słuchać słów pieśni...
I może przesłało szumienie i lekko cichy przy brzegach, nawet blada Selene przerwała nocną po niebie wędrówkę i stanęła nad Atenami nieruchoma.
A gdy Apollo skończył, wstał Achilleus i nióst pieśń przez całe Argos. Grzmotowiek zaś zaśpiewał choć jeden jej ton Dziecko w kolebce, tkwi z tego Dziecka miał wyrosnąć poeta."
Jaki? jaką pieśnią wielki i sławny? Czy to nie będzie moje poezje Literacy?
Dzieje się coś podobnego z czytelnikiem Diem Lux in tenebris. — Nowela otwarła się w pierwszym zeszycie odrodzonej Bibliotheki Warszawskiej, której się z bieżącym rokiem udało druknować „U źródła", „Bądź błogosławiona" „Wesoły," która nam wreszcie zdołała dawać co miesiąc po kilka arkuszy tomu „Botanicznych."
Pamiętam, że Antoniewicz rzucił się na pierwszy różowy zeszyt czasopisma, na nowe prace Siemiradzkiego, bo już zazwyczaj oddawał z uczuciem ogromnego zdumienia. — Po realistycznym opisie pracowni, po bezradziejnym obrazie życia codziennego artysty, po owym nastroju dni jesiennych, gdzie „krople wilgoci spadają wciąż

66

równo i lekko pozgnie, jakby przez nie Dyskytował się mrok i smutek całej natury" — zjawiały się nadal jak zmorá, bieliki, świadkowie dni wiosennie promiennych i dojrzałych. — Dźwięczą listny wczesnej jesiennej oświecenia, orzeźwienia, ożywczego widoku. — Ale pisma Siemiradzkiego mają to moc w sobie, że się do nich powraca, bo chce się z nowu doznać silnych wrażeń, jeszcze raz przeżyć ten nastrój, jeszcze się przyjrzeć chociaż tym obrazom. — Ale, zresztą, zresztą często zresztą ulubionemu, tak często modnemu i zbyteczny w życiu, obejść zajęcze podwórzowe, naukowe czy wodzy, zresztą zginąć i odpowiadać się w sztuce! Powracało się do Lucis in tenebris, abey jeszcze raz wejść we mgłę jesienną, usłyszeć dzwon, dzwoniący w rymach „krakanie wron, które z lasów i pól zbiegały już na zimowe leże do miasta i z wielkiem dopełnieniu wszystkich zadowoliły się na noclegi wśród konarów." Czuło się wtedy, że cała nędza, odpisana na dziesięcie pierwszych stronicach opowiadania, bezpotrzebną, abey dać tło do dwóch kart o świadości niebieskiej, niezbędną, abey całą jasność innego świata wydobyć.

Inna rzecz z nowelą „U źródła".

of.

Żaden utwór Sienkiewicza, prócz powieści „Pójdziny za dim", nie posiada dla mnie tyle pierwszorzędnych piękności, do żadnego tak często nie powracam. — Mimo to uważam jego kompozycyę za niedbałą, wprost wadliwą.

Mamy tyle razem prawo gniewać się na autora, że bawił się z nami; starał nam przez subtelniejsze stronnie wierzyć w rzeczy nieprawdopodobne, zmuczał nas i zeodrzucił. Prawda, że robił to wybornie; że umiejętności mu zupełnie. Prawda, że nawet nie mógł robić inaczej, ani z odmiennej strony pochwycić tematu, ale pomimo to przedstawił nam — wśród rzeczy wielkich i pełnych, na końcu oświadczył, że te obrazy były tylko szczegółem gorączkowych urojeń. + To pomysłu samego jest wada, a chociaż Sienkiewicz zakrył kwiatami przepaść, przez jaką ta jednak istnieje. —

Weźmy mu zarzucić, że żadnym niemal rysem nie zaznaczył gorączki, że jego obrazy, tę nadzwyczajne, a z wyjątkiem zbyt drobnych szczegółów, pozbawione cechy chorobliwych widziadeł. I z drugiej znów strony prawda, że dla powieści odrzucił, zapomniał o fosforze pisarza i ujrzy w niej tylko-

obraz ogromnego zręczcia i hymn na cześć miłości. — Różny studenci na różne rzeczy, Różdy mówi:

„Że wszystkich źródeł zręczcia; to, z którego płynie to gorące — jest najczystsze i najprawdziwsze.

„Tedy życie, którego miłość, nawet jako sen nie nawiedzi, jest jawsze gorsze."

Cytuję znowu, cytuję zdania, które mają stałą wartość, nawet Różdy się je wyrwie z kontekstu opowieści. — Miałem dać dowody, że tam zawiera ich treść. — Niechaj mi wolno będzie jemu dalej zapisać, przytoczyć dalsze przykłady, jak to Siemkiewicz umie mówić o rzeczach smutnych i o „rzeczach ambitnych". —

„Wam sędziom, tak zwanym rozsądnym, dość na tem, gdy wynajdziecie pustosłowo, które narzucę na rzecz, a że tam dbać [illegible] zdrzeć, przez rzecz samą, — mniejsza o to. — Egzaltacya! Co mi za pociecha z nazwy, Różdy mi to sprzeczne wmawiacie? Co mi pomożecie nazwą na zdrowie Wiem?... Gdy wam zęby wypadną ze starych szczęk, przestaje wierzyć w ból zębów. — Według was, romantyzmu, to istotnie coś poważnego; romantyzmu naprawdę boję, ale miłość — to żyto —

egzaltacya!" —

Nie chciałbym uprzedzać ogólnych zdań, ani zabierać głosu w imieniu przyszłych sędziów, ale mam ochotę powiedzieć, że szereg stronnic, z których ten drobny ustęp wyrywam, zabiera dzisiaj do najpiękniejszych, najbardziej ważnych myśli, w czem „dzieło" Sienkiewicza. —

Nie wszędzie tryska z jego prac taka bezpośredniość uczucia. I niech nikogo nie dziwi, jeżeli podnoszę myśli tak proste, tak wszystkim w głębi serca znajome. — W tem właśnie odsłania się naiwna świadomość pisarza. — Bo piękna to rzecz mówić do dzieci wybrednych, ale piękniejsza tak się zniżać do wszystkich, aby im zadrżały struny, rafinowanym zarówno, jak prostaczkom. —

Ten sam student umie tak dobrze mówić innym językiem i tonem, gra pianissimo, równie dobrze, jak forte. Zrozumiano — tak mu się przynajmniej świtało — jego czytelnicy, obiecano mu rękę panny Joli. „Będę bardzo młodym pisarzem on wtedy — i przeczuwszy miłość, nie miałem zapewne ciężkich grzechów na sumieniu, ale jak każdy człowiek, nosiłem swoje brzemię

wiru, zbocreń i przeor. + Otóż
w tej chwili to brzemię spadło mu
z ramion.... Wszystkie nadzieje
tego świata, liche ambicye, liche
względy, wszystko to, co zniża i
niweczy życie, co czyni je pasztetem
i obłudnem, odrzuciliśmy z siebie
razem z popielatą gorycą i znowu
świeciem... Ale mogło mi się w
głowie pomieścić, dla czego ludzie
odpychają to jedyne, największe
dobro życia."

Innych znowu nastrojów, bolesnych
rzyek i beznadziejnych, trzeba szu-
kać w historyi rzeźbiarza Kamionskiego:
pomiędzy smutne opisy jesieni
w „Luce in tenebris" wcisnęły się
smutniejsze uwagi o najgorszych
chwilach, „w których człowiek czuje
że czego miał dopełnić, to już dopełnił,
co miał przeżyć, to przeżył i że mu się
już nic co życia nie należy."

„Ludzie, którzy chcieli, żeby
bardzo kochano — mówi mimochodem
Sienkiewicz — muszą zacieśnić życie o
byle co; inaczej, nie mogliby istnieć."
Pośród tych zdań — a nie najprzy-
krzejsze, bywało najchrobrzejsze — przy tak sem-
brzmiewa jednak i dojęca mądrość,
zrzadkiego miłośnika ludzi, którą
będzie Kamiondo „głęboko szanował
i zawsze był względem niej [illegible]."
Przez dwadzieścia lat swego zawodu
nie oszukał i nie ukrzywdził ani razu,

ani dla sławy, ani dla podziwu,
ani dla pochwał, ani dla przygan.
Tworzył zawsze tak, jak czuł. — Gdybym
nie był zdrożonym na to, aby jak
Judka bibljna, zbierać za zwierciadłem
kosy, zamiast być samemu siewcą
i uczestnikiem dożynków, gdybym
Bóg uczynił nie dogodzicielem i wielbicielem, ale artystą i twórcą, nie
pragnąłbym mieć żadnego innego
rzemiosła, tylko to nowe Sienkiewicza o krzyżakach Płanicach. —

Miłość i wierność dla kobiety i
dla sztuki, oto są dwie myśli, po-
wracające stale w ostatnim tomiku.
Odpowiadają sobie, jak strofy, z no-
weli do noweli. — Słychać je w „Ogniu
życia", w „Luce in tenebris", „U
źródła", „Będą błogosławioną". Stąd
nowość jednak różnorodnej
książki. —

III

Różnorodności książce tej nikt
nie zaprzeczy. — Wiedzie, że autor
odmienia lica i krajobrazy, prowadzi
nas na Riwierę, pod Akropolis
ateńskie, do wsi polskiej, potem
nad Ganges, potem do Judei. —
Ale że zmianą strof odmieniają się
i pojęcia wieszcza jego bohaterów.
Nam ukazuje nam Jezus, jak widzi
na rozdrożu Idy, gdzie mu „Ziemia

72

rodzina jasną majową krawdę i młode hyacynty ... przebierał palcami po dziedzińcu dziecięcia i cieszył się w sercu wyniosłem."

To znowu w dalekich Indyach rozmyśla „o jasną noc księżycową mądry a wielki Brygua." Bóg pożegnę. — potem w pracowni Parmenidesa „rodnel na głowie radosnicy pozycja koleć swą białą, elegancką, drga po brzegach, koncepcje, rozpływa się jak jasna mgła i zmienia się ładnie w widziadło;" wprawiona w ruch wyobraźnia erystenidesa widzi dalej, jak się rodnel rozpromienia w aureolę, jak za do głowie radosnicy, skrzy marar blask drugich zdrajców, biednych jak dzieci, obśmiewających ich, jak złodzieje. — I pośród tych mar i widziadeł wyłania się nadrodzie Przeczywidzącej — sam Chrystus.

O śladzie Domowi Sienkiewicza czytamy wiele zarzutów zupełnie literackiej natury. — Tych razi „mniemana zwyczajność", „Wyrocznie Lesna", sam tych „zaświatów", „widziadeł", co w ciemnościach świecą." — Wołano na pisarza z gniewem, że obniża swój talent i

L3

i moralny poziom piśmiennictwa; ubolewano, że racowca społeczeństwo na błędne, dawno porzucone tory mistycyzmu. — Ale Sienkiewicz nigdy się nie narażał na tyle zarzutów, nigdy tych obaw u najwierniejszych wielbicieli nie wzbudził, jak w chwili, gdy na kartach swoich pism postanowił wprowadzić — Chrystusa. —

Najmniej religijni przypomnieli sobie, jakim wielkim, obszernym chodem widziadła dworzy on u Sienkiewicza ponad ludzi i morza, nieco zgięte czerwone, płomienne słońce, zamiast serca. — Wszyscy poczuli, że wprowadzić tę postać już niedobrze godzi, albo piękne dzieje, ale wprost tak, abyśmy nie musieli odwrócić się od obrazu, będzie niepospolitą zdobyczą, niemal tryumfem autora.

W osłabionych czasach oswoiliśmy się, co prawda, z podobnemi próżnami. — Chrystus ukazuje się nie raz w opowieściach, zjawia się nie w apoteozie, jak u wspomnianego niemieckiego poety, ale na tle historycznem, przemienia się cały blado i niedmiało, zdrobniały, sprowadzony do codziennych rozmiarów. — „Listy z gór" zdał się dziś przedmiotem handlu, religijna rzewność i naiwność

54.

żerarają dziś paryzkich dziennikarzy, kupiecidów i reporterów. Taki Armand Sylvestre, taki Theodore de Wyzewa / rzecz: Wyzéwski /, zabawiają się obalaniem chrześciańskich dogmatów i legend i chcą także skorzystać z „neochrześciaństwa", oni, do których się nie odnosi tzw. Sienkiewicza o Kamiońcu. — I dziwna rzecz! podczas gdy malarze starają się o to, aby posąg Zbawiciela zbliżyć do stanu, kiedy Fritz von Uhde lub Shermidle zadają śmiało chrystusa w rzeczywistej i w izbie robotnika, bezsilnego, gazeciarze, idący powoli, stroją Go w stare, wyblakłe, tradycyjne szaty i obalają tradycyjnem świątkiem, które śmią nazwać „mistycznem". Stawiają Go potem wśród nowelistycznych, między kilku, chińskich sytuacyi, które nazywają powszedni, w niby naiwnym, niby dziecinnym świecie, któremu brak tylko wiary i szczerości. — Zapełniają przedziwnie świętymi, ale to tylko przekupnie. ++ Jednego Anatola Francuzie świątobliwym do nich zaliczyć. —

Kiedy Sienkiewicz ogłosił „pójdźmy za Nim!" — odezwało się więcej dusz nieprzychylnych,

J 5

niż zgodliwych. — Jedynak — o ile mi wiadomo — nie powiedział żadnego, któryby obwiniał pisarza, że uległ modzie i szerzy powodzenia, zwracając się do tematu z Ewangelii. + Nie będziemy zbyt surowi opinią, nie przypiszemy jego zaufanie, któremu społeczeństwo powinno we wszystkim pisarzem poddawać. — Stwierdzimy jedynie, że powaga, z jaką Siemieński wtór rzecz traktował, odbiła się na wszystkich. —

Surowych krytyk, jak wspomniałem, nie brakło.
Jedni nazwali opowieść pięknym, ale chłodnym, akademickim utworem; czy moglibyśmy ich prosić, ażeby dłoń położyli na głos serdeczny, arbitralnie nie uprzedzonym słowem? Drudzy gorzyli się trochę śmiałością i odwagą autora. — Znalazł się recenzent, który rzucił na świat słowo dowcipne, ale z gruntu niesprawiedliwe: Oto jest Chrystus bez dogmatu! — Krytykom tej ostatniej kategorii śmiałbym się zadać dwa pytania:
Jedno pierwsze. — Czy nie oceniają trudności, które powyżej podniosłem, nie chcą uznać ani talentu ani usposobienia, z jakiem się autor wziął do dzieła? — Czy

pb

głęboko religijni, a świadomi prze-
wrotu, który się dziś w duszach
ludzkich odbywa, mogliby sztukę
ratować, że świętych rzeczy
dotknięto tak poetycznie, i poważnie
zarazem? ✝

Powtóre: Dla czego artysta, który
pisze, ma być pozbawiony praw,
przysługujących wszystkich artystom, którzy malują i rzeźbią? —

Do drugiego pytania muszę
dodać uwagę, parę słów objaśnienia. — Istnieje pomiędzy wizerunkiem naszego, muzułmańskiego chrystusa, o cierniu otoczonej, głowie efektownej, ozdobionej brylantami, gładko rozczesanemi włosami, co dwanaście niewyraźnej, jakiejś dziwnej, manierowanej, sztucznej pięknotę nadającej. — Nie wiem, czy się kiedy idea Zbawiciela wcieliła w dzieło sztuki godniej odpowiedni i nabożny.

A Salwa stoi jednak w Krzyżu, w kościele St. Maria sopra Minerva, tuż obok wielkiego ołtarza. — I pielgrzymom pozwolono się cieszyć, byliby oczarowali nogą tego dziwacznego, — pozwolę sobie na zdanie śmiałe artystyczne — niezmiernego pięknego. — Umieniono się ubrać w sandał szpitalnej. — Autorem rzeźby jest sam Michał Anioł

Buonarrotti, największy z chrześcijańskich, może najbardziej chrześcijański artysta. Kto chce się przedstawić o żywości religijnej jego uczuć, niech otworzy jego poezye, rzeźby wyrzucia, nie przeznaczone do tłumu, niechaj odczyta choćby wiersze, które Sienieńczki Nowarego ++ Nie protestowano więc przeciw temu Chrystusowi, jak nie gorszono się drugim, różnemu na swym „Sądzie ostatecznym." Dał Michał Anioł twarz, zbliżoną do typu Apollina. I Paolo Veronese mógł zamieniać prostą scenę w Kanie galilejskiej na pyszne orgye wśród marmurowych pałaców, mógł grozmadzić w obrzędzie Zbawiciela postaci hultajskich. ++ Nie tylko karano nie zamalowanie psa, które ustawił pod krzyżem. ++ Na dwanaście lat przed reformacyą wolno było Dürerowi przedstawiać rzeczy pijących piwo dumnych na drzeworycie, „Urodzenia Najświętszej Marii Panny."

Ten i ów dziwi się lub gorszy, że Siendiewicz stawia w bliskości krzyża ubrany w kwiaty szkielet Anioła... Niby jednak Piotr Brueghel malował „Wieżę Babel", wprowadzając on na pierwszy plan gawiedź, tłum brudaśny i wesoły; że scenę religijną zrobił swoim zwyczajem rubaszny, silny Flamandczyk

78

obraz rodzajowy. — A stary Piotr, ów trzeci Breugel, najmniejszy malarz w rodzinie, o którym wiadomości zapomniała Telimena, nie był protestantem. — Malował w tej tendencji, pod odcieniem habsburgskich, arcyksiążąt, w epoce, kiedy inne dziedziny a badania nicestwo dzieła artystów, ale i życie ludzi. — Proszę się teraz oderwać od tych prac malowanych, w realizmie swoim nieraz grubych, choć jędrnych, proszę się uznieść do "pójdźmy za Nim", i do tego chrystusa, co idzie nad miarę ludzkich przebaczań przebaczających nad miarę ludzkiej litości litościwy, bo już nieodwracalnością ogarnięty, już nad ludzkie błoto wyniesiony, cichy bardzo, słodki i bystro ogromem smutku całej ziemi smutny."

— "prawdę jesteś!" — wyszeptała drżącemi ustami Ruda. —

Doprawdy, ilekroć się zapalę, ażeby właściwe stanowisko Sienkiewicza, istotną szlachetność jego pomysłów wyjaśnić, dziwię się ~~bowiem~~ potem samemu sobie i nad moim zapałem śmiech mię bierze. —

Ale przejdźmy do objektywnej oceny. —

Nie po raz pierwszy spotykamy

19.

się w literaturze z taką postacią jak Cinna, z przekonaniem, który, „nie należąc do szkoły epikurejskiej, był życiowym epikurejczykiem, ale takim zem hedonistycznem, chociaż wiedział, że rozkosz nie jest szczęściem.“ „Nie po raz pierwszy ukazuje się nam mędrzec w rodzaju Tymona, mąż, który wiedzę ludzką zgłębił, nie uchronił się nią i „wyciągnąwszy ręce przed siebie, szuka po omacku wejścia.“ Wyobraźnia przywykła do zaludniania krajów przedchrystusowych takiemi postaciami. Lubimy sobie wystawiać Dantego tułającego się po drogach, po bezdrożach, w zabłąkaniu i niepokoju.“ — Horacego wyobrażamy sobie w ten sposób stojącego przed ławką Wergiliusza i widzieliśmy zarazem skrzeciania się przeciwieństw w jedności ze powrotem Astrei. Wydaje się nam, że znowu gonimy za pokoju, jak przed wiekami, za ciepłem i światłem, że dzisiaj „Dante ludzkie łzy zbiera cierpienia, które jest miłością i światłem, które ogarnia prawdę.“ —

Są to więc sytuacje i typy, znane w życiu, napotkane już w literaturze — Ale ich nigdy nie kreślono tak prosto, tak szczerze, bez romantycznych ozdób i ubarwień. — W pierwszych rozdziałach „Pójdziny za chmurą“ panuje wielki

pisarz epicki, którego znamy od dawna. — Od czasu „Listów z Afryki" przywykliśmy do jego niebywałej prostoty. Ażeby dobrze ocenić jego powieść o Andrei, trzeba się wczuchać w powolny tok tej prozy. Jak miarowo idą po sobie zdania, mniej więcej równej długości, jak się układają, oziębają, jak się żegnają ze sobą! Czuć, że autor buduje szerokie podstawy dla akcji, jak biegły architekt, umiejscza starannie oczywiste, z góry fakt obrobione, aby się zgodziły. — Czasami dygresje wdarzy on [illegible], ażeby w brzegach zaprowadzić porządek. Czasami pojawia się zdanie zwarte, zaostrzone, świadczące się silnym krzesiwem wyrazem. Pomiędzy uwagi o naturze Cinny wciska się przypomnienie rzymskiego obyczaju: „Gdy go rozprawy zmordzą, siada do wyroku patrzeć na krew." —

Jasno i prosto odsłania się nam naprzód Cinna, potem Tymon Ateńczyk. O powieści idzie w wolnem tempie; nawet w rozmowie wstępującej i trwożnych ludzi jest pewien rytm ołtarzy i spokojnej; nawet charakterystyka Andrei, nie przystępuje na oklesku. Andrea chowa

żywość dań na sceny żywe i gwałtowne. — Ale już od chwili, gdy Cinna podchodzi Greczynkę, zagłowa to się w powieści Sienkiewicza. — Wydarzenia nagłe, szybkie, wrogie, jak krótkie fale porywanego morza. „Chciał ją posiadać byle prędko, aby ją rzucić. — Pragnął zaś być oddać krew, by ją posiadać. — Brat, że wolałby być zbrodniem z nią, niż cnotą bez niej. — I jak wir morski porywa z niepohamowaną potęgą wszystko, co znajdzie się w jego obrębie, tak miłość Cinny porwała jego duszę, serce, myśli, jego dni, noce i wszystko, z czego się składa życie. Aż wreszcie porwała i Autę."

Takie zapadki rytmiczne mowę tylko ozdobią. — Wielkim rysownikiem jest ten, co widzi linię w całej swej surowej prostocie. — Wielkim malarzem, kto czuje, jak ma farbę nałożyć, ażeby się ramię zaokrągliło, chociaż płótno jest płaskie, ażeby zaświecił rękaw złotem przetykany. — Mistrzem opowieści jest ten, kto rytmowi swych zdań, rytmu swych myśli udzieli. —

Słowo się własciwie ołtarza zaczyna, Sienkiewicz przestaje niemal opowiadać o swoich bohaterach, daje im mówić za siebie. — Tymon rzeczy już wtedy z widowni, a Cinna wchodzi niebawem w głąb, na dalszy plan kompozycji. — Przez całą, rzecz

samą słowowi swoi przeciwstawienie dwojga istot: Piłata i Antei. — Wszyscy czujemy potrzebę rozróżniania między ludźmi, wszyscy dzielimy wszystkich przynajmniej na dwie kategorye, ale różnimy się nieraz co do zasady podziału. — Najprostszym byłby może taki. — po jednej stronie ci, co się oszukują ze złem, które ich otacza, godzą się z czasem na wszystko, co życie brzydkiego i niskiego wytwarza. Wierzą to do, co jest, dlatego tylko, że jest, nie przeto, że je uważają za dobre; uznają rzeczy stanem, szanują fakt dokonany. + Po drugiej stronie zaś ci, którym poszukiwanie i próba prawda nie wystarcza, ci, którzy pytają, czy po za tem, co odwiecznie i zgoła ze zwyczaju robi czyni, niema bezwzględnych praw i prawd, czy nie istnieje jakiś świat bardziej rzeczywisty, bo lepszy, czystszy, piękniejszy, jakieś królestwo Boże. — Nie zdała ludzkość uszłachcona Jezus Chrystusa... Między czytelnikami Sienkiewicza niemasz pewno ani jednego, coby samego siebie nie zapytał: „A co z tego tu w owe dni być uczynił?" Wielkie pytanie, nie prawda? Warto je sobie postawić i może warto było napisać utwór, co takie pytanie nasuwa. — Mistrzostwo Sienkiewicza polega na prawdzie, prostocie i żywości postaci, na tem, że jego Piłat nie jest manekinem. —

Umiał uczynić tłum, indywidualną figurę z otoczenia, które i nie powtarzają codziennie miliony i miliony ludzi, odmawiających „Wierzę w Boga." — przedstawić go nawet w ten sposób, że mógłby od biedy uchodzić za uczciwego otoczenia, pełniącego sumiennie powierzony mu urząd, dbałego o dobro rzymskiego imperium obok nienawistnych, którzy nie chcieli rozumieć, i nie zdyscyplinowanych, którzy nie chcieli słuchać, obok fanatyków, wołających „o krzyż dla Proroka", który opowiadał miłość, reprezentuje Piłat ze dwóch, które nie było w stanie pójść za Chrystusem. — Wdarł się on był bowiem zbyt silnie w ziemski mus i ład rzeczy w obecnym świecie rozsiadł, że nie mógł pojąć nowego królestwa, które już nie miało być z tego świata.

Antea widziała tylko śmierć Chrystusa, nie oglądała jeszcze cudu, wieść o zmartwychpowstaniu nie doszła do niej, a już zaczęła przeglądać po za swoje, mroczne widnokręgi. — Wydawczyło jej zasłyszeć o nowej nauce, aby ją podrzucać, wydawczyło zobaczyć boskiego człowieka, aby Mu zawołać: „Ty jesteś prawdą!" Córka Ateńczyka Tymona jest obrazem dusz, zmurowanych iść za głosem tego, którego nauka

zowie się „Dobrą nowiną."

Wstępuję w opowieści sceny ukrzyżowania. — Trudno zdawać z nich sprawę. — Wiemy zapewne w całej późniejszej literaturze naszej kilka innych stronic, gdzieby były różnorodnych zjawisk i pochwał znalazło równie prosty, silny, jędrny wyraz, wszystkich małych szczegółów, gwałtowności i niepodległej samiczej zawiści, zimna powaga faryzeuszów, służbowa obojętność centuryona. — Siedzi więc tak panuje nad tymi wszystkimi objawami życia, tak trzeźwi swoją rzutkość, tak włada swoją prozą, że żaden wzrost innych wrażeń przedmiotowych nie zdoła, że Rudy chce, nastaje cisza w jego stylu, w toku zdań, w odcieniu, które prowadzi. — W tej ciszy słychać chrzęst gwoździ, przebijających ręce i nogi Chrystusa. — A potem dzieją się rzeczy na niebie i ziemi, o których się sadzi, jak Pontycki Piłat nic innego. „Przebiegł, że ktoś z góry przeszedł na ziemię czerwonawą ciemnością." „Grzmot zbudził się, wzdął, przeleciał się ze straszliwym łoskotem od wschodu na zachód, a potem, jakby zapadł w bezdenną przepaść, odzywał się niżej i niżej, to cichnąc, to wzmagając się, w końcu huknął, jak grom, aż ziemia zadrżała się w posadach."

„Jednocześnie otchłynęła, zima

błyskawica rozdarła chmury, roz-
świeciła niebo, ziemię, drzewa, zbro-
je żołnierzy i zbite jak stado owiec
tłumy niepodrojów i trędów. —
Głosem wśród ciemności grubszej ciemności,
wśród blasku, który „ciemny strop
rozdarł się i przez szczelinę długą
nagle potok słonecznego światła"
który „rozwidniła się wężyna,
zakłębione dwoiste ludzkie i drzy-
ce." odzywają się głosy, urwane
zdania, jęki, zawodzenia i krzyki,
mowy zwą zitną, zielem i rozpa-
czą ładnie semickie, podobne do
skarg, które się u nas czasem
w lecie słyszy przez otwarte
okna synagogi. — Z drugiej zaś
strony groźne i pyszne, jak
cała proza biblijna:
„Byłem trędowaty — wzdrowiał
nie — przecz go krzyżują?"
„Ojah! oj lamu! Żali nie
sprawiedliwego ukrzyżowano?"
— który dał świadectwo prawo-
dzie. Ojah!
— który wskrzesił umarłe! Ojah!
A inny głos zawodał:
— Biada ci, Jerozalem!
Inny znów:
— Ziemia zadrżała!
Wśród tych głosów, wśród tak
przeraźliwych nastrojów i opisów,
jedyną spokojną nutę stanowi Anioł.
Od pierwszej rozmowy z Pilatem
zaznacza się ta jej rola, rola
istoty prostej, dobrej, słodkiej.

Sam sposób mówienia chorej sta-
nowi przeciwieństwo do tonu słów
prokuratora. + Pisał mówi dużo,
krótkimi, urywanemi zdaniami,
jakby człowiek umęczony, który
się ciągle myli po swym nadmiernym
świadectwie. + Odchodzi wciąż od przed-
miotu, bo mu się myśli w ciasnej
i rozgrzanej głowie. + Wie on, że
„ten dziwny człowiek .... naprawdę
nie popełnił nic takiego, przez
coby zasłużył na śmierć", zdaje
go jednak, aby się „zbyć kło-
potu, a zarazem nie poruszać
tego gniazda os, które brzęczą
nadmiernie świętymi ... Trzeba prze-
cież nie o obywatela rzymskiego
chodzi."

— „Ów człowiek nie będzie takiego
innej cierpiał." — Tadzienni cichemi
słowy przemawiają ci, co mają
Chrystusa zrozumieć. + Nie
potrzebują wywodów, tłumacze-
nia się przed drugimi, jak pro-
kurator. + Pisał przedstawia
Ludziom całą naukę Chrystusa, nie
domyślając się nawet, co ona
zawiera. —

Jak wszyscy ci, co poznali, że wy-
godniej jest życia nie zgłębiać
i nie odczuwać, widzi w każdym
ziemskim objawie — przemoc.

Podobnie do miłości widzieli sta-
rzy ludzie, zasiadający dokoła
„u źródła", prostą czynność. —
Ludzie wyszukiwali tego, co jej

87.

Świat mówił o Chrystusie. Grobu
wtedy tylko dwa słowa:
„Dziwna nauka". —
Ale potem stanęła pod krzyżem
i dwa razy pośród bolesnych
obrazów, odzywa się cichy jej
szept: „Ty jedeś prawdę!"
Charakterowi swemu, odpowiedniej
misyi, została ona wierną aż do
końca. — Wtedy chrześciaństwo
korzystało z praw, obowiązujących
całą rzymską społeczność. ||
Grzebało się zwłoki nie inną rozpo-
rządzeń, szanujących świętość wszyst-
kich grobów. + Potem opierało
swe świątyby o mury dawnych
świątyń pogańskich. + Między
chrześciańskimi architektonicznie
tymi dotychczas spór o to, czy z
początkiem średniego wieku
zamieniono istniejące bazyliki,
to jest gmachy sądowe na świątyby,
czy też wzorowano na nich bu-
dowę nowych świątyń. + Jak
wyrastają rośliny, wśród wielkich
głazów marmurów Palatynu,
tak wykwitało chrześciaństwo
pośród zmurszałych pojęć starożyt-
nych. — Wtedy ukazywało się
stworzone zjawisko, które po swo-
jemu mogło zwać „Hedrate",
albo po naszemu „podróżnica",
zjawisko, któremu ludowa wyo-
braźnia nadaje inny kształt pod
nazwą strzygi. — Jednak od chwili
grzebowego, wewnętrznego przewrotu,

od chwili, w której Judea ujrzała Ukrzyżowanego, zdaje przed nią Bóg, a nie bogindra. — Za lat — mniej o nich wspomnień — którzy Siemiu wierzowi zarzucają, iż przeprowadził jakiby patologiczny proces, zamiast cudownego przebiegu. ++ Ci sami oburzyliby się na pisarza, gdyby jął w wyobraźni tworzyć i opisywać niemiane dotąd cuda. — ++ Organ paryski, „Moniteur de Rome" drukuje francuski przekład: „Pójdźmy za nim!" — rozpowszechnia po świecie „Chrystusa bez dogmatu".

Kiedy Judea ujrzała Zbawiciela w pełnej jasności i chwale, rzekła do męża: „Cinno, on niesie mi zdrowie, zbawienie, i wzywa mnie do siebie!"

I Cinna, dawny sceptyk i kpiarz, powiada jej wtedy:

— Pójdźmy za nim!

Żyd pozostaje wierny swej naturze. — Wiadomość o niezwykłem zdarzeniu przyjął chłodno. Wielki sportsmiśta nie chciał jej ani przejąć, ani uznać. — Traktował ją cum grano salis, położył ją naprzód na karb przesady: „Wyobraźcie sobie, co ci znowu rozpowiadają: „Że zmartwychwstał. ++

XV.

Zacząwszy od liczenia dowodów,

od spraw wydawniczych i księgarskich. — Muszę do nich na wsi powrócić. — przywyklismy wprawdzie do większej niedbałości, z którą się u nas traktuje słowo pisarzy, do autorów, którzy kaleczą sekret, do drukarzy i wydawców, którzy go przekręcają. — Ale z autorami, dla których powinienby istnieć wyjątek, z zwłaszcza pisarzy nadzadowe, po których nawet i śmierci się spodziewać więcej trzeźwości. — Nakładcy XX^go tomu pism Henryka Sienkiewicza, tomu przepełnionego tymi zdradliwemi błędami, które mogą zamącić rozsławić, powinni pamiętać, że należy postępować starannie, kiedy się pisarza po śmiał pierwszy książkowe wydanie dzieł pierwszorzędnego pisarza. — Albo też, aby uniknąć mniej prostego, bardziej bibliograficznego zwrotu: większa dbałość przydałaby każdej edidio princeps książęcia naszej prozy. —

R. M. Gór[illegible]. —

Czas z poniedziałku 19 Lutego 1900 roku.

Henryk Sienkiewicz.

wiedzi, ale przed dwoma, a nawet trzema laty upływało ćwierć wieku od chwili, w której Henryk Sienkiewicz wydrukował swoją pierwszą powieściową pracę. —

Zwolennicy i wielbiciele najwięk szego z naszych żyjących i naszych współczesnych pisarzy, zapragnęli podówczas obchodzić uroczyście tę pięknę datę i tę szlachetną zasługę. Było to jednak w przededniu wielkiej narodowej rodu, rodu pomni słów, jubileuszowych wydawnictw, przedsiębranych ku czci obrzymiego powodu, który „smutnością, jak jedwabnik nić z piersi swych snuje."

Było to w przededniu rodu, który miał całą potęgę napełnić odgłosem jednego imienia, echem jednej pieśni. Na wieść, że zgotują mu obchód dla niego, Sienkiewicz wystąpił publicznie, zawołał wszystkich i bliskim i dalekim „ach mgłą mi hymnu śpiewanego unisono! ja teraz nie istnieję. — Onorate l'altissimo poeta!" —

Pomnikl sterczą, echa skandal przebrzmiały w powietrzu, wieńce pobladły — miłość, niezmierna wdzięczność pozostała miłość

Czy ten artykuł
drukowac?

Czy nie zbyt oklicznościowy?

204a

nie zamorda. — Wśród wszędzie ciszy można pomyśleć o hodowli dla — życia jego pisarza, poety czy prozaika. —
Warszawa, ta zawsze pełna zapału, ofiarna i szlachetna Warszawa, powzięła zamiar, który wielu ludzi zadziwia lub gorszy, a nas — wyznajemy otwarcie — nas zgrozą wzdryga. — Henryk Sienkiewicz ma odbyć nad swych czytelników nakaz gruntu, kultywowania polskich zagonów, aby, jeżeli się będzie zechciało, miał nad sobą dach swojego dworku, a przed oczyma własne łany, rozległe murawy dziedzińców, kolebki polskich pieśniczych krosien. — Ten człowiek, który ciągle myśli o obronie polskiej roli i stawi pociąg do niej, ten wieśniak z dziada pradziada, a literacki „barbarzyńca bez ziemi", powinien odtąd na wznacie polskiej gleby i wznak ten nazwać swoim. —
„Teraz — mówi jego ulubiony bohater powieści — zamienne mi się dziwnem wydaje, żeby zniszczeć na tej planecie, niby coś mieć, a nie mieć choć kilku kwadratowych tej ziemi, o której można by powiedzieć: „moją"
Sienkiewicz przyglądał się niegdyś Japończykom i klasztorom buddyjskich mnichów w Hiszpanii, zachodom słońca, koncertom barw, na włoskiem wybrzeżu, kolumnom

Parlamentu, zbiegu we dnie, o nocy zielonawego).

(Na piaskach pustyni, w pobliżu piramid rozmawiał z wielbłądem sfinks. Wtem rozległ się w krwawych promieniach zachodzącego słońca, który się czasem widzą zamienia na wielbłądzie, różowe, chwiejne morze powietrza... Wędrował mimo wszystkiego, jak to niegdyś, przez usta pogańskiego wypowiedział, tęskni za drzewami tobolskimi swej ziemi, na której się urodził. —

Dajmy mu je, musimy mu je dać. — Wie, żeby naszego dobra potrzebował, ale w nas budzi się potrzeba — zrobić dla Henryka Sienkiewicza — mniej więcej to samo, co Francuzi uczynili dla Lamartine'a i Wiktora Hugo, Anglicy dla Dickensa, Węgrzy dla Jokaya. —

Nawet ziemi, która ozdobi na zamiar ofiarować ukochanemu swemu autorowi, odnyma podobno nazwę „Krzemieńca", nazwę majątku i „Rodziny pogańskich". —

To pewno, że kiedy Sienkiewicz zajedzie do nowej swej wsi, powita go i rola ciepłym oparem i sady kwiatami i zima wdzięczną wonią i słońce na wzgórzu krzyż błogosławieństwem. Powiedzą mu: „My ciebie znamy, żyjemy razem, żyjemy rozumiemy, żyjemy

nas malował w szeregu i słuchaz
niu; miło nam, że do panem
grzędy." A wśród wieczornej ciszy, jak
na odzewu stronnicy „podaniec
Rich" drugi ich zdaje się wtó-
rnym chórem: „rade! rade! rade! —
Przydrobi nam pomyśleć, że
tylko Warszawa dzięki się odzwo
zdolowania Siemiradzkiemu hasła,
który mu się od wszystkich pod-
ziela dziwnie należy. — I wielkiz
zatem radością witamy dzisiejszy
wieczór jubileuszowy, podjęty
przez chór akademicki. —
Na obchodzie przemówi najwy-
bitniejszy z pośród tych tytułów,
najbardziej powołany do zdania
Siemiradzkiego, pisarz i prelegent,
który niedawno odczytywał wielkie
szkolne linie, lecz i półtony,
półtrwa ocenia. —
Od wczesnych prac „Litwosa", aż
do ostatnich arcydzieł autora
„Quo vadis?", obecny prezes
Akademii śledził rozwój tego talen-
tu, w którym odbrzu pozostał
świeżość, prawdę, siłę, o którym
jeden z pierwszych mówił gorąco i
chlubnie, do którego zdaniu nie
mało się zwykł poważać przyczynił.
Wieczór dzisiejszy powinien być po-
budką do dalszej akcji w
sprawie jubileuszu. —
Gdyby wreszcie zachwycenie

czytelniczy nowel i trylogji dali
po jednym groszu — „Dziennik!
Siedmiu wieka bystry o wiele
rozleglejszym od „Dziennika"
polskich. —

— — —

124.

Czas z poniedziałku 24 grudnia 1900 r.

Krzyżacy

Henryka Sienkiewicza.

— — —

Wczoraj, nie po raz pierwszy w życiu, miałem najszczęśliwszy dzień na świecie. Potem, zdaje się, jak człowiek radosnym podnieceniem i odmiennymi zwoi[ch]. — Była to zapewne chwila ~~radosna~~ równie podniosła, jak ów świt nagły, zrywający się z łoża ludzkich, pochwalnych głosów po nominacji na honorowego doktora. Dumnej, pięciowiekowej uczelni. Obecnie zawrzało w Warszawie, a mimo wszystkich nieporozumień między dziennikami, mimo tych zgrzytających podpisów na rozbiory, to co Warszawa robi, znajduje jeszcze żywe echo w innych polskich stronach. — Jednego dnia, o jednej porze w miastach odległych o setki mil tak[i] sam obchód zgromadził jednomyślnie tłumy. I wszędzie wstał hymn pochwalny, wytrysnął strumień serdecznych życzeń, dziękczynień, błogosławieństw gorących. Zewsząd jednemu i temu samemu człowiekowi wołano z dumą: „Żyj i trwaj i działaj, zyskując nową chwałę. — Twoja sława jest i naszą sławą, jak nasze serca, wiem o tem, są twoje."

— —

I

Od lat blisko dwudziestu jest Lew Grodzieck przedmiotem zajęcia przyjaciół i wrogów, przedmiotem wdzięczności drugiego narodu. — Od lat kilku jest jednym z najgorliwszych, i można na obu półkulach najbardziej czytanym żyjącym pisarzem. Jego to zasługa, że Lew przymiotnik, najpospolitszy jak mam, przymiotnik „polski" odżywa się z nowe i coraz orężniej stanowi go niechcąc zdrajca na zamarłej ziemi. — Francya ordynarnych lat miast towarzyszy wycofać go z obiegu, wykreślić ze słownika. — A oto żyje, powraca do Paryża, dzwoni na bulwarach. — Otaczają się pelerynami kreski, żywopłotnicy i zitty, bo Henryk Sienkiewicz jest to poeta „polski"! I nie wszyscy Włosi mieszają się ze sobą Italia geograficzna pojęcia „Polonia" i „Bologna", a dzieci amerykańskie wiedzą, że tam za morzami, jest kraj zwany „Poland" wiedzą, bo bawią się w polskich rycerzy, w Skrzetuskiego, Wołodyjowskiego, Podbipiętę. — A bliżej nas, w ościennych wrogów, tych zajętych niemieckich, zelki tych zajętych rosyjskich myślicieli, zapominają na chwilę o nienawiści ku nam, bo z Rodziny Potockich, z Quo vadis oczu podnieść nie mogą. — Jeżeli w

Hani ze autobiograficzne rysy, to zapewne pan Róg powiedział Semu Henrykowi, który się był z Selimem o Hanię: chłopiec drzeć dobrze i uczciwie. – I żal tej Hani, że go nie kocha. –

Od wielu lat każdy człowiek, co się choć trochę zajmuje krytyką literacką, ocenia w pismach przyjaciół i wrogów Wilka dzieł Henryka Sienkiewicza. – Dziś mi to jest niejednemu spojrzeć na dawne, w latach młodzieńczych zachwycające dziennikarskie. – Na cichy głos zbiorczych ludzi odpowiedziały bowiem hucznie od strony ze xxxx wrogich stronnictw i krajów, a nawet w tych, co głośno mówić nie mogę, jakby cichy szmer uwielbienia wzlatuje z ośnieżonych drzewców, po nocy, per amica silentia lunae. Dzisiaj praca krytyka jest nad wyraz na, jest przyjemnością. – Mówię po dawnemu, z przekonania, nie narazi się admirator na drwinki gazeciarzy o tracie tego pyszu urodzie i nico parafianizmie widnokręgu. Dziś ma się pewność zupełną, że najostrzejszy zarzut nie ujmie, najbezwzględniejsza pochwała nie przyczyni Sienkiewiczowi ani jednego czytelnika: Działania jego powieści nie obiega jasnem wszystkich ziem a na jednej

z nich nie dojdzie zapewne do popełnienia. — Widzimy z przed lat dwudziestu i pięciuset mogli podziwiać „Bitwę Grunwaldzką" i „Potop pruski" Matejki; lecz ich było mało. W obecnej dobie bezmyślnego zażarcia się i wszechobecnej nagonce „Przyrodnia" Siemiradzkiego? Wątpię. — Ale i pozamiemiecki świat już jest — zbyt dużo. —

~~III~~ II

Czem sobie Siemiradzki zdobył tylu zwolenników? Zwłaszcza tak różni obozowi, jak na pierwszem miejscu Jandzio murzyński, Srokie oczy, lub Hania. — Cała generacya mężczyzn kochała się za lat kilkanaście w Hani, jak to żywej kobiecie. — Równocześnie i inna, nieco starsza, widziała w Srokich niedyskretnego obserwatorczyni, malowania humoru i drogich nam napomnień, lecz również dowcipnej oraz zgorszonej. — Nad Jandziem wylano tyle łez, że przyszły autor Kolopei musiał się nimi przerazić, pomyślał o innej twórczej drodze. — W dziejach jego rozwoju zobaczymy raz jeszcze epokę, w której zaprzągnął zwyciężać artystycznie to, co jest, co jest obecnie, na co wreszcie patrzymy. — W odzieniu który wydał Listy z Afryki, [illegible]

pierwszorzędny wróż potrzeby prozy, powiadam dwie powieści, z których chronologicznie pierwsza nie wydaje mi się do dziś dnia dość oceniona. — A jednak zgodzenie obawy przed zarażliwym przykładem Leona Kossowskiego były nieuzasadnione i płonne, bo gdy o dyletanccie „bez dogmatu" nie wolno żadnej moralnej choroby, żadnej, jak je a priori nazwano...

Przeciwnie acuta. — Spotęgowano oczywiście się ku czytelnikom od wejścia Wrzątkowa, zrozumiano lepiej przewodnią myśl Siedlickiego.

Gdybym, po dziesięciu latach, — chciał fugaces Postume, Postume — miał po raz wtóry pisać o Bez dogmatu, zgoła z dawnego tekstu nie wyrzucił bym ani jednego słowa nagany, ale wyrazy i powody podziwu wrzuciłbym mi w dziesięciokro. Tekst, które mijają, nie przechodzą bez reflexu.

Rodzina Pokarniewskich, drugie dziecko świeżej epoki, źle skonstruowane, a rzadko przetrawione w potowie, jednakowo to najpiękniejsze potoczne wspomnienie, najczystsze w postaciach artystycznie zarysowanych i duchowo najbardziej szlachetne. — Adam Arnych, o którym wbrew ludzkiemu zadaniu twórcy, że wyzwolić emit, zresztą podziwiał Siedlecki, radził mi kiedyś, abym przeczytał

Daniela cortis Antoniego Fogazzaro.
„Zobaczy pan — mówił — jak to książka godzi z ludzkością, jaka w niej atmosfera podniosła i czysta, prawie jak w rodzinie Podanieckich." —
Przeczytałem, aby się raz jeszcze przekonać, że trudno być zarazem wielkim poetą i dowcipnisiem, bo gdzież dziejom szlacheckiego włościego politykа do historyi Margini, gdzież temu nadmiernemu, wyszrubowanemu bohaterstwu do całego, jasnego nastroju, pogody, wiedności „służbą Bożej" — do prostego poziomu tych Wasilkowskich, albo pani Emilii? Dopóki rodzina Podanieckich udanymi będą się rozdziałami w Bibliotece warszawskiej, witano każdy nowy zeszyt niemi z rumieńcem jak lilia, pełen wrzenia o przyjaciołach i miłych znajomych. —
Odtąd ich historye, wydane w tomach, przedłużą się pamięci, jako wiernie rozrzewniającego dnia bez zduszenia, w pełni różanych oświetleń i złocistych blasków. —
A jednak nie te dzieła rozsławiły Sienkiewicza po świecie. —
Przekonuję się, że na to się urodził, aby zadni dziejowych, wśród ciężkich zawodzeń bezpłodnej ironii i zgryzot, które się zgłuszyć nie dadzą, opowiadał z przekonaniem, z wiarą szczerości, z obrazami rozległemi wyobraźnię o tem co było i — jak to być musiało.

4. Do tego zaś przyczyniają się nie tylko powieści, fabularne, lecz także faktyczne i prawdopodobne, że dla nas czytelników są pouczające.

Po to aby z przeszłości snuć coraz to nowe powieści
piękne, wierne, albo tak żywe i prawdopodobne, że dla
nas czytelników są prawdziwe.

130.

V

Rzecz, aby ktoś z nowu prawił o bohaterskiem męzów, o cnocie kobiet pędzących o walkach, klęskach, trwogach i stołecznych od dawna pod wiódłem zastępów i na wojskich namiotach, o niebezpieczeństwach zagrażających ludziom i krajom, rodzinom i ojczyźnie, o odwróceniu tułactwa zamierzchłych dni, o zapamiętałem do chwały, poświęceniach i pogardzie śmierci. —

Przedbyś, że epicznej poezyi, ze wszystkiemi siostrami, z baśnią, z legendą, z rycerską powieścią i anegdotą zatrzaskę, powiadę, że przeszedł już czas, przez który zpać im dano i wyjeżdżając z martwoty snu, przecierając oczy wróciły na świat, upomniec się o swe prawa.

I napotkawszy przed laty kobzarzy, poety, uniosły się nad nie jako dobre wróżki. — Dały mu moc śpiewać, wskrzesać, zabijać i uszczęśliwiać ludzi.

Obradowała się, że poeta mężnego bez serca, zwolennik świątych wyprawy, krwawych przedsięwzięć, zakochany w miłości, a nie bitwie o sławę... że dzieciom swojej fantazyi tak świeżego życia nie dał, biorąc się walczyć bez przerwy, narażać się na zgon okrutny, widzieć umarłych, jeszcze więcej i zdrowszy wybawić. Bo jako mąż silny, jak Ulisses, więc po latach, dziesiątkach lat niepokoje i męki, dając im rad na dnia

pogody, ukojenie i nitość. — Obaredo ich
rówieśnicy, ci sami poeta, u którego wady rod-
zinne budzą zawiść, jak pokaże dalsza, i ci o swoim narodzie myśli to
samo, co ksiądz Kalet w Krzyżakach
o Jurandzie ze Spychowa: „co nam
odstawili? wiec, by kto pamięć ich bez
rozumienia nędzy." —
I do tego to w świecie postaci, które
stworzył, w tym swoim, własnym
świecie, siedzieniec niżej różne
lekki i dryadowe na ramy. — przynaj-
mniej dla grona duchownych swych
czytelników, przynajmniej w literaturze
mniej „pieśni zmęczonej" Mickiewicza
rozsiadłego Konrada. —
I Krzyżacy z poematem, pełnym
przygód, zdarzeń, najstraszniejszych
„terminów," tworzących im radośnie
dla wielu bohaterów, tworzących
się, co ważniejsza, chwilę narodowego
tryumfu. —
Złote baśnie i epopeje zwykły się
zamykać majorowym tonem.
Walenrod lekki dramatyczny i tra-
gik jak Wallenrod, nie zadowolnił
się Bitwą pod Grunwaldem, nie-
zdał wymalować jej epilogu, pokaz-
wić bohaterskiego białma i przewidzieć
jego przyszłość ucrowego wśród
blasku i przepychu, wśród
pustych ceremonii zawodnego
Hołdu. —

XIII.

Wiederpiórna do tych sprawa pisać powinié ze schyłku połdniego XIV i początku XV stulecia. — Łacniéj przedstawiać czasy Wedona, obyczaj rycerskiego zpotkania się, do roby zbadany przez niepoślednich archeologów i historyków zdawczasu cywilizacyi, świat kawalerskiej, rozświetlony przez kadich uczonych, jak Giovanni Battista de Rossi, cały zastęp jego towarzyszy i uczniów. Wyobraźnia, nieustannie podniecana ogromem znanych, ściśle zbadanych faktów, może się swobodnie obracać w odległej epoce. — Chodziło tylko o intuicyę, o dobranie wrażeń ciała w dwa zdania, współczesne ustrojowi duchowe otoczenie.

Zwojedli, krwią i czasem bliźniemu wiek Kołopu wymagał może większych badań, większego wysiłku, ale, jako rodzimy i nie tak odległy, sam się układał w obrazy, sam prosił o przedstawienie. Anegdotyczni, gadatliwi poeci, pisarze prawni, autorowie pamiętników, jak Paweł, stawali za świadectwem zagrody, i w miarę pisania podsuwali mi rysy obyczajowe, koncepta, zwroty jędrne, dobitne, życia pełne, zwroty, które on jeden widywał, pojął, zrozumiał. —

Slawoda za nim i Historya, pani o
groźnej, majestatycznej twarzy i wej-
mieniada kolejno wielkie dzieje i
wielkie przedsięwzięcia. —
Inaczej z epoki Jadwigi i Jagiełły.
Dzieło Stajnochy nie daje dostate-
cznej ilości charakterystycznych rysu-
nków, żaden pamiętnik nie maluje
obyczajów w kraju. — po księgach
zgodowych, po grodzkich zapiskach
możnaby pilnie szukać wiadomości,
ale rezultat nie odpowie. podobno
z tygiem, żmudnem badaniem. —
Aby swobodnie korzystać z obycza-
jowych rysów, musi powieściopi-
sarz mieć ich pełno w zanadrzu,
tak, aby nie potrzebował ich szukać,
a mógł je wybierać z rozmachem.
Sienkiewicz umysł wiejski słusznie,
nie wdaje się w drobiazgowe docie-
kania. — odrobiny, które by ze sta-
rych aktów wydobył, wszystkie
jak kawałki świetnej mozaiki w jego
świadomości, zarodzić miałyby fresco,
rozrywałyby tylko wrażenie. —
Nie obeszłoby się zapewne bez
objaśnień, bez przerw w spokojnym
toku opowiadania. — profesorowie
historyi, nawet poetycznie uzdolnieni,
obdarzeni wyobraźnią, bywają zwykle
tymi powieściopisarzami, bo nieznają
drobiazgu zanadto ich krępuje. —
Zresztą, ja nie to chciałem mówić po-
wiem znakomity znawca polskiego

średniowiecza jest w połowie półtuzina najwyżej tomów nerwowych, zdobnych sobie w głowie wytworzonej jakiś ładny obraz naszego życia w przededniu Grunwaldu, obraz niebardzo konsekwentny, prawie zupełnie indywidualny, na osobistych hypotezach oparty. —
Sienkiewicz zaś nie chce pisać dla gawiedzi, nie powinien dla niej pisać i nie może. — Swoją drogą pomysł wybranej epoki odbił się niekorzystnie na całym utworze. — Nie przeczę, że prócz kilku ustnych opisów zgrodów, kościołów, uczt albo turniejów, Sienkiewicz, który w Quo vadis tak hojną ręką nasypał scenami z codziennego życia, umiał ich niemal w Krzyżakach. Ale dlatego, że uzupełniając rolę ewokacyjnego tła w powieści, czuje się niejako w obowiązku pośpieszyć zwykle bogactwo malowideł i opisów przyrody. — Podczas choroby królowej Jadwigi ciągnie po kilkakrotnie procesyę i „całe miasto zadrwiło chorągwiami." —
Kiedy Danusia wtrąca „niewiele zaufanej jej powieści, a natężnie poczęła po kwiatach na łące. — Pachołcy udali się ich śladem — i tak chodzili w słońcu, wśród bujnych traw, podobni do duchów potężnych, pochylając się co chwila i zdarzę, albowiem w sercach mieli lisoć i żal!" — Gdy Zbyszko z Maćkiem wjeżdżają do

Tradycyjna proza pochyla się ~~ku~~ ku złotej, błyskotliwej i mieni się od barw, wtrąceń zjadliwych, dowcipnych i ~~gwarem~~ gwarem. Siemieński przedstawiał sobą, gdyby nie rzucał na siebie światła, widmo i tęczy. — Ale wyrazy tych obrazów dawał niegdyś więcej, on najwięcej potrafił pisarz-pejzażysta innych czasów. — Najwięcej znaczy tu razem tyle, co ogromnie wielki. Chwilami podrzewny Matejko, bywał z rzadka rywalem Chełmońskiego.

Porucając do obyczajowej i malarskiej, autor Pierzchowic musiał całą swą uwagę poświęcić ludziom, a raczej ich losom. Bo dusza tych ludzi jest ciemna, jak dworzany bór, który z całej przyrody jeszcze najczęściej ~~ukazuje~~ ukazuje się w powieści, stanowi tło całej tej dworskiej albo otaczającej ramę. — Tę duszę trzeba było odtworzyć — niemal z niczego, stworzyć niemal wyłącznie z intuicji. Na Zachodzie ileż poematów, młodych piór, stroniło, nawet pamiętników i osobistych wyznań pozwala zajrzeć w wsporobienie średniowiecznego człowieka! U nas suche annały, zapiski, dotyczące przeważnie historyi politycznej, w rodowych papierach ubocznie wzmianki o sposobie życia, stosunkach majątkowych i rodzinnych — oto wszystko, cesar rozporządzamy. — Siemieński poradził sobie w ten sposób, że

sięgnąwszy naprzód do zachodnich dwor-
skich przepisów, do praw idei walk na
polu bitwy i na „odpędzanej ziemi." Za-
mierzył całe te rycerstwo w pewnem
swojskiem chłopstwie. — Między inne
te rzeczy swojskiego nastroju ludowy,
grubszy pierwiastek z jakimi obcym
połowem, przywiezionym z wprost rosną-
cej Europy. — Takie drogę mógł osiągnąć
wrażenie prawdopodobieństwa, a
chociaż postacie, które wprowadza,
zdają się chwilami należeć do bardzo
różnych epok, wywodzą pewien nastrój
ogólny, jednolity. — Zapomniany, że
towarzyszy Jagienka, waleczna z nie-
dźwiedziem, ma pewne cechy słowiańskiej
przedhistorycznej, mimo jasnowłosej;
że ojciec jej, Lech z Zgorzelic, wszędy
improwizator piosnek, przypomina
języckim racej swego prawnuka
Lechosława, niż ludowego poetę.
Bo mowa stanowiła podobną, mo-
jeszcze większą trudność. — I tu można
było grzebać po dokumentach, aby
osiągnąć drobne, nieuchwytne zdobycze
i tutaj Sienkiewicz zbliżnie pogardził
zbytnim archaizmem. — Jednakże on
miał nawyknięty do władania całą
klawiaturą, a racej całą orkiestrą
pewnie, że musi mieć jakąś powagę
pewną językową podstawę, na
której ta, która mu niezbędna dali
Baranek albo Wacław Potocki. —
O tworzeniu sienkiewiczowskim, jako

Słowacku powiedziano: „że obmyśl
język potrzeb w życiu, rodzimem
źródle słowiańszczyzny, biorąc życ-
cem niektóre wyrazy i zwroty
czeskie i ruskie." Sienkiewicz
zięgnął do gwary zakopiańskich
górali, użył wyrazów, których się
musiał od Sabały nauczyć, dla
niego i naszych „taberników" zrozumia-
łych, ogółowi obcych. — Trzeba one prze-
dzierać, mają jakiś smak staroświecki,
ale nie-stara za całą mowę wielką,
jasną, bogatą. — Autor Potopu zapewne
bezwiednie, uciekał się czasem nie tyle
do swego własnego słownictwa, którem
język ojczysty sam wzbogacił, ile raczej
do wyrażeń i zwrotów XVII wieku.
Z drugiej strony jego mistrzostwa w ze-
stawianiu wyrazów, nie wzajemnem
oświetlaniu ich i rzucaniu refleksów-
trzeba Sienkiewiczowskiej wielkiej szko-
ły, aby ta proza, powstała z różnoro-
dnych składników, była tak bardzo
umiarkowaną przyjemną i gładką. —

IV.

Dobrodziej rozbiór Przypadków, skreś-
lenie kompozycyjnej linii, ocena po-
szczególnych postaci — wszystko to wy-
chodzi oczywiście poza ramy niniejszej
dziennikarskiej zapiski. — Nie mogę jednak
bliżej uwagi, fizjognomii i szczegółów przemil-
czeć. —

Powieść zamknięta, między tabem

1399 roku, w ciągu którego umarła
Jadwiga, a dniem 15 lipca 1410, dniem
walnej bitwy pod Grunwaldem i Tan-
nenbergiem, obraca się Dürer o politycznej
historyi bystro w poezyi i na swoim
swym koniu. W pierwszym tomie z
niepoównaną rzetelnością zpleciono sprawy
bohaterów z ogólnemi dziejami. — Po
opisach Tyńca, Karwny i Klasztoru, po
wyborných obyczajowych obrazach,
kreślonych ze swobodą epickiego poety,
który sobie zrazu pozwala na drobne
rysy, bawi się jemu szczególami, po-
wolnym biegu powieści, rozlewającej
się w szerokie koryto jak Wisła pod
murami benedyktyńskiego opactwa,
— nadejmuje pierwszy wir, pierwsze
zawikłanie. — Przygoda Zbyszka
z Lichtensteinem wygląda jak rozdział
z Don Quijote'a. — Na tem się zresztą
końcy podobieństwo z Cervantes'em
i żaden Sancho Pansa nie będzie
towarzyszył rycerzowi z Bogdańca.
Kuperczyk retiriuami Sanderus, gwał-
towny opal, drobnochytry Lyck ze
Zgorzelic przesuną się bystro wśród opo-
wiadania, żaden nie wyrośnie na
wielką komiczną figurę. — Ni trochę
natomiast charakterystycznych po-
staci, jak ci dwaj praszczurowie Ge-
dowidzego, nieszczęśliwego wielbiciela
Maryni Potanieckiej, Wilka z
Brzozy i Ozian z Rogowa. — Na
pierwszym planie zdoi ponury „stryd"

Moiżko, stary krzepki rycerz o wiotkiej
duszy, chciwy na łup, w gruncie rzeczy
chciwy ale dumny i przemyślny na
kształt bohaterskiego Odysza. –
Dory i jego i rycerza więzą się teraz
obrazem z dziejami Królestwa, ze zdro-
wiem Jadwigi i nadzieją jej macierzyń-
stwa. – Dopóki królowa nie powije
dziecka, nie można ani ścigać chłopca
ani się za nim wdawiać w Jadwigi, bo
lekarze obawiają się dla niej „turbacji".
Jak ten Siemieński dba o sprawy
biednych kobiet, wyczekujących,
słabych. – Widok wiotczejącej idyoty
w górach przeraża i pośrednio zabija
Anielkę z Bez dogmatu, widok
zdarzenia nie ma zabić Jadwigi.
Umiera jednak cesarzowa, jadąc święte
Profesor Wojciechowski, który w spoj-
rzeniu na przeszłość posiada bystrą
wprawę wielkiego badacza, a razem
jakby intuicyę rozmiłowanego poety,
słusznie brak starego godzi-
go Jadwigi grobowca na Wawelu.
Idzie jej budować mauroleum, skoro
wyjdzie, że lada dzień, zaliczona w
poczet świętych, legnie w katedrze
godniej, na ołtarzu..
Obraz, ley dzieci, które wspólnemi siło-
czyli królowej, obraz ludu stojącego
godzinami przed zamkiem, aby się
czegoś o jej zdrowiu dowiedzieć, należy
do najpiękniejszych stronnic, jakie
kiedykolwiek Siemieński napisał.

widać, jak Sam na fali burzliwej dworzę się za nową wieścią drugi, jak przybyło i odbyło powstaje... aż wywieszono czarne chorągwie na wieżach, i dzwony zabity.... teraz można przystąpić do wykonania wyroku śmierci na Zbyszku. — Stryj Maćko, nie mogąc go uratować, zaciągnął przynajmniej nowy pład czerwonego sukna — pod pień Krakowski. — Zbyszko nie potrzebuje jednak na nim szyi, bo na drzódle wstąpiwszy szczęście, na wieczną drugę niedolę ocalitą go Danusia, córka Jurandowa.

Wspominałem tu krótkiej o niemieckim ludowem podaniu, jakoby skarga dla nowożeńców Dom, zeidrby trwałego szczęścia, powinno się jakiejś stworzenie żywem na niej zamurować.

Sienkiewicz jest chwilami równie berlitoring, jak legendo. — Dziewczęta Dom, jak Lidka i Danusia, które przedewszystkiem kochać, i potem giną z miłości, której jeszcze ani rozumieć, ani znać nie mogą. — potrzeba ich bólu i śmierci aby panna Marya Krakowska pokutowała Krakowskiego, a Jagienka z Grzelic — Zbyszka. — poeta wyprawia tym dzieciom pogrzeby wspaniałe od tych, za którymi chodziny wśród dziwięków marsza i topotania chorągwi — nieman nie nad pogrzeb Lidki. — A jednak nie można się oprzeć wrażeniu, że on tadi tęgodny, z bólem

ludzkim współczujący, zabija te dzieci
już rozmiłowane a jeszcze bezbronne.
Stary Madrio uradują się wielce, kiedy
po latach od zgonu Dauni, Zbyszko
pojmie Jagienkę za żonę, bo dwa porazi
powiększą rodzinny majątek, ale w
radości nie zapomni o dawnych
swoich ślubach pomsty, o niezliczo-
nych krzywdach kraju. — Naród,
naród cały zdamoce się pod bezczelność
i zdradę mnichów bez chrześcijaństwa,
mnichów w pancerzu, a bez rycerz-
dzkiej duszy. —
— „Panie" — mówi do Komtura stary
Kapelan Tęczyński — „tak nastające
na życie tego młodzieńca, jakoby on
całemu zakonowi Jadwinowi był
straszny. — Żali wy, Krzyżacy, już
się i dzieci boicie?"
— „My, Krzyżacy nie boimy się nikogo" —
odparł dumnie Komtur. —
„A stary Kapelan dodał z cicha:
— A zwłaszcza Boga.
Później Zbyszko pyta się Juranda
o Niemców:
„Ojcze!... Toćby im lepiej było na
miłość ludzką, niż na pomstę zarabiać.
Przecz oni tyle krzywd wszystkim
narodom i wszystkim ludziom czynią?
„A Jurand rozłożył jakby z rozpaczą
ręce i odrzekł głuchym głosem:
— „Nie wiem...
W istocie nie wiedzieć, co ich zaś
gna od wieków po całej ziemi i ludzi

niewyśnionych. — A chociaż Siendkiewicz z arbitralnych względów w najwięcej-szych okrutnikach i rzezbiarzach, rozbudza czasem jakieś współczucie serca, dreszcz trwogi, zbity murem wyglądu w jego opowieści jak elementarne bezprawie, przemoc, zdrada, jak Złe.

To też na końcu książki chodzi mu już nie tyle o zwycięstwo bohaterów, chodzi mu o zniszczenie ogółu. — Bolesław Śmiały zgromadził z trudem drobnemi straganami, polem swoich polaków, rzeki wezbrane i groźne. — Wówczas, kto zatamuje powstrzyma? Ze wnętrznych chat, z ostrodworcem otoczonych grodów, z klasztornych świerdz. z książęcych i biskupich dworów wylewa się ciżba mężów nieśmiałych, rozpaczy blizkich, niewinnych. Kto ich powstrzyma?

Walka będzie niesłychana, jak walka żywiołów. — Krzyżactwo, wsparte zasobami całego Zachodu, ufne w swą siłę, spróbuje stawić opór zalewowi. Bój będzie uporczywy i długi, teraz żywe wody obalą w końcu tamę.

Ostatnie rozdziały Krzyżactwa, opis bitwy Grunwaldzkiej stanowią jakby wielką klamrę, zamykającą równoległe biegnące linie, dzieje bytu ludzi, bytu dusz i utrapień. —

II Śmiałe przeniewierczy Zadrom krzyżacki teraz oko pobrodem u złóp króla, ale cała potęga niemiecka, zalewająca dolychczas, jak fala, nieznane strony

słowiańskie, rozbitą się w tym dniu odbiła pieśnią - o pierwszej ~~[illegible]~~ polskiej".

. . . . . .

„Więc sobie, wielkiej, świętej przemiłości, i sobie, krwi ofiarna, niech będzie chwała i cześć po wszystkie czasy."

V.

Powieść sama.

Jest dawny, stary, listy pan Polska. Wojnie w niej, gwarno, pełno przygód, umiejętnie, zdawna przygotowanych, a opisanych świadomie. — Wiele w niej mężnych pobojowisk się wojowników i wiele bojów wewnętrznych. — Kiedy po zamknięciu księgi, przymrużysz się oczy, słuchamy wołają, walczą, świecą zbrojami, krwawe groźne twarze. — Ale z biegiem czasu jedna postać ponad nie wzrasta, ogromna postać rycerza, wyraźny kolos na tle migliwego rozgwaru i murów krzyżackiego Szczytna.

Jak w Iliadzie całe wiersze księgi są poświęcone czynom jednego męża, tak w ramach tej powieści, której osobna księga o Jurandzie ze Spychowa. — To on na barach swoich, to on przemierza ostatnie dzieło — poety aż w kraj Jaćwingów, do wrogów i przeciwników. —

Nie tędy, aby Krzyżowiec z bokami serc Siedmiogrodzkich tyle cierpiał, co Jurand, i tak pogardzał cierpieniem, na końcu życia, oniemiony przez

Roda, miało zgoli posiadającej drzewcy
trzon bez głowni, przebiera wrogowi
i zbójcy, który go córki pozbawił. —
Ale w pamięci ludzkiej pozostanie
on na koniu, jadący do Trzeciego
gościńca zrobić ze siebie ofiarę, powięk-
szeń potwory, a jednak nie nadludzki,
lecz człowieczy, obrzymi, a prawdopo-
dobny. — Oglądając cmentarz za każdym
przejściem konia, malejąc mury krzy-
żackiego grodu, na którymś się
jednak Jurand zbliża, a rycerz —
w tej dziwnej perspektywie — coraz
to bardziej zasłania sobą miasto,
aż rośnie. —
Z opisem dalszych mgieł wielko-
ludu, można porównać tylko
śmierć Rodrigo. —
Przed Kilkunastu laty jakiś
pobożny dzieci, chcąc dać na
mszę za duszę ~~Rodrigo~~ Lon-
ginusa — od tego czasu widzą
on w cerkwi i zdaną, jest jużż —
jeżeli tak rzec wolno — in odore
sanctitatis.
Jakiś turkan, na który nikt dawniej
nie zwracał uwagi, dał się tak
wyobrazić sobie mojemu podbi-
pięty. — Siendziwor dożył chwili,
w której wyjęciona przez niego
mara, weszła w życie, ~~zdrowo się~~
zupełnie, weszła prawie w rzeczy-
wistość, zdaje się dostała do świata
najświętszych narodowych uczuć,

jak historyczna postać, o której snuje
legendy. — To właśnie jest cechą po-
wszechną prawdziwie epicznych, że
albo z ludu wyszły, albo do ludu
wracają. —
Sądzę, że i Jarand ze Spychowa
będzie żył wśród ludu, jak Barba-
rossa żyje. — Zdaniem wielo-
wiem walk na kresach naszych
zachodnich, walk uporczywych,
wieloletniej męki. — Pokonany, zbro-
ny, obrócony twarzą ku niemiec-
kiej stronie, będzie wciąż śnił mar-
stwy, jak żywy. —

R. Ma. górski. —

dzącego z Rosyi, jako rzecz wielce dla konsumenta niemieckiego pożądaną. Dzienniki te powołują się nie bez racyi może na anomalię, zachodzącą ciągle jeszcze w Niemczech przy ocleniu pszenicy i żyta, które to dwa gatunki, aczkolwiek nierównéj ceny, równe ponoszą cło, skutkiem czego naturalnie żyto, jako gatunek tańszy, względnie silniéj jest obciążoném. Jakoż przytoczone dzienniki domagają się wyrównania téj tendencyjnéj niesprawiedliwości, zarządzonéj przez ks. Bismarcka w swoim czasie, jakoby w celu dokuczenia Rosyi. Rzeczy naturalnie na seryo dyskutować jeszcze nie można, szerszéj bowiem dyskusyi nawet dotąd nie wywołała; służyć ona może i ma tylko za przyczynek do aktualnego stanu kwestyi ceł zbożowych w Niemczech. Zresztą cała rzecz przedstawia się jeszcze w bardzo niewyraźnych konturach, skutkiem czego niczego przesądzać nie można; zadanie sprawozdawcy staje się czysto relacyjném.

Niepodobna przy téj sposobności nie zaznaczyć, że powyżéj zrobiona uwaga co do znaczenia Niemiec, jako konsumenta, stosuje się znacznie mniéj do Królestwa; dla zboża polskiego naturalnym odbiorcą jest najbliższy sąsiad niemiecki, i dlatego nas kwestya ceł zbożowych niemieckich powinna nader żywo obchodzić. Brak wszelkich statystycznych danych (w ściślejszém znaczeniu tego słowa) co do udziału Królestwa w ogólnym wywozie zbożowym Rosyi, utrudnia stawianie wszelkich samodzielnych wniosków, i dopiero wtedy możnaby stąpać pewniéj, gdyby ktoś kompetentny podjął się mrówczéj pracy obliczenia i rozklasyfikowania podług gatunków i kierunku wysyłki ogólnéj ilości zboża, wywożonéj z Królestwa; zadanie to, jak wiadomo, czeka jeszcze wykonawcy.

Rzecz prosta, że najprawdopodobniéj całkowite zboże, zbywające w Królestwie, idzie do Niemiec na konsumcyę, z wyjątkiem chyba pszenicy, idącéj całkiem do Anglii, a zupełnie kwestyi nie ulega, że jakiekolwiek zmiany, korzystne dla naszego zboża, zajdą w przyszłości, to w każdym razie tempo ich będzie bardzo powolném, tak, że rolnictwo nasze nie ma powodu do żywienia z tego tytułu zbyt optymistycznych poglądów na przyszłość.

K. Rose.

Biblioteka Jagiellońska [1891.]

Najnowsza powieść Henryka Sienkiewicza.

Nie dla jednego tylko powodu jest „Bez dogmatu“ wypadkiem w literaturze naszéj, nietylko jako większy utwór Henryka Sienkiewicza, ale jako utwór odmienny, oznaczający może punkt zwrotny w jego działalności. Byli między najgorętszymi wielbicielami jego talentu i tacy, którzy żałowali, że autor „Szkiców węglem“ i „Latarnika“ opuścił maluczkich i powszednich swoich bohaterów dla wspanialszych a dalekich historycznych postaci. Zdawało się niejednemu czytelnikowi, że stała się tém krzywda codziennym i obecnym biedom, że boleści dnia dzisiejszego nikt już tak serdecznie na światło nie dobędzie. Mawiali przytém mniéj chętni – a nie potrzebujemy się z ust Śniatyńskiego dowiadywać, że niechęć idzie w ślad za każdym wybitniejszym talentem — mawiali, że nikt nie pójdzie sprawdzać, o ile są rzeczywistymi Kmicic i Zagłoba, że żadna nas siła w wiek XVII nie przeniesie i że usuwać w dal swoje postacie jest to poniekąd usuwać się od trudności samemu. I doprawdy nietylko nieżyczliwym przychodziło na myśl, że jest i w dzisiejszém życiu dość pytań, dość postaci, dość dramatów, ażeby ku nim zwrócić i oczy, i duszę. Życzono sobie przytém nowego dowodu wszechstronności Sienkiewicza. Wróżyła mu niegdyś krytyka, że wyjść nie zdoła po za drobne rozmiary pierwszych swych opowieści: odpowiedział jéj, pisząc „Ogniem i mieczem“. Czekano, aby wobec zarzutów, że fantastyczne tylko kreśli postacie, dał jakie dzieło, pełne obserwacyi.

Okazywał się rzeczywiście dotychczas nowellistą i historycznym powieściopisarzem, t. j. ostatecznie poetą. „Bo czemże jest nowella — mówił do Eckermanna Goethe — jeżeli nie opowieścią nadzwyczajnego zdarzenia?“ W szczupłych jéj ramach nie można objąć wielkiego zakresu rzeczywistości, a trzeba równocześnie dać całość poruszającą i skończoną. Życie, rzeczywiste życie, jest raczéj pretekstem, niż przedmiotem nowellisty; nie chodzi mu tyle o odtworzenie świata, jak o indywidualne jego pojęcie. Powieść zaś historyczna, zwłaszcza takiego jak u Sienkiewicza zakroju, mająca tyle tła i pejzażu, jest już niemal epopeją. Na wieść o współczesnéj powieści, którą autor „Potopu“ pisać zamierzał, pytano się zatém, czy posiada ten poeta dość objektywizmu i dość wytrwałéj obserwacyi, aby roztoczyć duży a żywy obraz istniejących stosunków, obraz, któryby w każdéj chwili z rzeczywistością zestawić było można. Czy język poety nagnie się do wymagań subtelnéj analizy; czy mowa polska, tak wyrobiona w podniosłym i bohaterskim kierunku, nabierze pod piórem jednego z wielkich swoich mistrzów dostatecznéj giętkości i precyzyi, aby zawikłane i różnorodne sprawy nowoczesnego naszego świata oddawać? A że po za ciekawością towarzyszy wogóle zamiarom Sienkiewicza ogromna w zdolność jego wiara, czekało wielu pośród nas — a wyznaję, że i ja do nich należałem — powieści współczesnéj, może obracającéj się w wykwintniejszych naszych sferach, powieści w każdym razie raczéj prawdziwéj i subtelnéj, niż „pięknéj“, raczéj wystudyowanéj, niż natchnionéj. I chociaż nie jest nikt bezkarnie poetą, doczekaliśmy się niepospolitego w tym kierunku dzieła.

Sam ten fakt ma już ogromną doniosłość. Jeżeli „Bez dogmatu“ nie odpowiedziało może wszystkim wymaganiom, które ideałowi naszéj współczesnéj powieści stawiamy, to najzagorzalszy wróg katalogowania dzieł sztuki, według subjektywnéj bądź co bądź skali, nie odmówi temu utworowi wyjątkowego w literaturze naszéj stanowiska. Ale jest i druga przyczyna, że powieść tę nową z osobliwszém witamy uczuciem. Oto zmieniło się koło czytelników, do których Sienkiewicz się zwraca. Umiejąc zawsze pozostać artystą niezwykłéj subtelności, przemawiał on dotąd do wyobraźni i poczucia wszystkich niemal sfer społecznych. W ostatniém swém dziele zdaje się mieć na oku szczuplejsze koło i bardziéj wytworne. Książka jego jest jednym z rzadkich u nas objawów owego piśmiennictwa, które Francuzi zową *littérature artiste*. Subtelniejsza i specyalniejsza od poprzednich, może ona wywrzéć zupełne wrażenie tylko wśród warstw bardziéj rafinowanych, zdolnych odczuć delikatną analizę i analizujących się nawet do głębi. Od czasu do czasu tylko odzywa się autor, przywykły do powszechnego wśród publiczności oddźwięku, i dodaje

kilka wyraźniejszych odcieni, robiąc pewne drobne szerokim kołom ustępstwa. Pomimo téj wyłączności, może jednak liczyć na ogromny szereg czytelników. Nie jest to pocieszającym, lecz jest podobno niewątpliwym faktem, że liczba natur, przypominających Płoszowskiego w ten lub ów sposób, zwiększa się u nas codziennie. Bez tego aniby ta książka nie była potrzebną, ani-by nawet pod piórem czułego na społeczne objawy pisarza nie była powstała. „I gdyby tylko chodziło o tak zwaną arystokracyę rodu lub pieniędzy — pisze bohater Sienkiewicza w swym dzienniku — zjawisko nie byłoby zbyt ważném. Ale do tego oderwanego świata należą mniéj lub więcéj wszyscy ludzie, posiadający wyższą kulturę, należy poniekąd nauka, literatura i sztuka“. Trzeba i dla tych ludzi coś zrobić. Zapalną ich wyobraźnię i tak zapalne na krótki czas serce zajmuje ów Podbipięta, rycerz silny a czysty, ale dowodzi im dopiero czegoś — o ile książka dowieść może — los współczesnego, bliższego im Leona, chorego, jak wielka ich część, i nauczającego ich swoim przykładem. Oni nie mają, niestety, ani tego ramienia, zdolnego uciąć głowy trzem pohańcom, ani téj duszy prostéj, niezmąconéj i stałéj. Więc skłonni są do czytania dziejów Podbipięty, jako pięknéj, od życia oderwanéj legendy. Chory Płoszowski przyjdzie natomiast do swoich i swoi go poznają. Prawda, że zdrowi podniosą może okrzyk na widok tego człowieka, dotkniętego zakaźną chorobą. Przypatruję się wobec takich okrzyków temu, co u nas czytają, i widzę, że młodzież i kobiety, t. j. właśnie ci czytelnicy, którzy najłatwiéj wpływom uledz mogą, znają dokładnie stan duszy i dzieje osób innéj, zupełnie innéj moralnéj wartości, postaci, stwarzanych umiejętnie przez obcych pisarzy. Gdzie nie dochodzą tomiki oryginalne, w żółty papier oprawne, tam spotykam drukowane na bibule przekłady. Wobec tego czuję w krzykach oburzenia dużo świadoméj lub nieświadoméj hipokryzyi. Jest jednak i tyle nieporozumienia, że zbiera ochota wdać się w tę sprawę i starać się ją wyjaśnić. Artyści zarzucają krytyce zbyt często, że stawia tylko mury między publicznością a nimi; a jednak minęły czasy, kiedy ogłaszała ze swéj stolicy bezwzględne wyroki, i dziś nie wierzy ona sama w doniosłość swego powołania. Niechaj wolno będzie się pokusić o skierowanie jéj raz jeszcze ku najszlachetniejszemu z jéj zadań: niech się odważy zająć stanowisko pośrednika między wielkim pisarzem a szeroką publicznością.

I.

Jest to charakterystyczną dzieł Henryka Sienkiewicza zaletą, że stają się one odrazu zupełną własnością społeczeństwa i, jako takie, podlegają, nietylko w pismach i dziennikach, ale i w życiu prywatném, nieustannym roztrząsaniom i dyskusyom. Każdy ma u nas niejako prawo do Sienkiewicza. Pisarz, który nas do tego przyzwyczaił, że się nim ogół rozkoszuje i zachwyca, musi każde indywiduum z osobna zadowolnić. Tak-to się podziw i sławę opłaca. Wszystkie wyższe talenta wprawiają czytelnika w złudzenie, że on-to dopiero myśl autora prawdziwie zgłębił i rozumie. Ponieważ mamy tu prawo spodziewać się jeszcze dzieł niepospolitych, pragnąłby niejeden czytelnik, aby Sienkiewicz po jego myśli talent swój zużytkował. Pisywał on dotychczas „dla pokrzepienia serca“, a daje teraz postacie chore i fabułę niemoralną. Dziennika, w którym wychodziła ostatnia jego powieść, nie mogli czasami ojcowie rodzin pozostawiać na stole.

I rzeczywiście, nie jest „Bez dogmatu“ dla wszystkich warstw i osób wszelkiego wieku właściwą lekturą. Dziś leży jednak utwór w trzech tomach przed nami i zarzut utracił chwilową swą doniosłość. Bo nie będąc dla wszystkich odpowiednią, może być książka tém skuteczniejszą dla wielu. I nie pokrzepiając serc, może jednak sumienia oświecać. Wiem dobrze, iż ten i ów zgorszył się powieścią, sądząc, że jeżeli Sienkiewicz poświęca tyle pracy charakterowi Płoszowskiego, to chce zapewne idealizować chorą jego naturę Miałby on może śliczny temat do nowéj powiastki we wszystkich tych dowodach niezrozumienia, gdyby go talent nie wiódł ku wyższym zagadnieniom i objawom Wyzyskałby to jaki pisarz w rodzaju Gustawa Flaubert, owego malarza prowincyonalnych zakątków i zbieracza ludzkich śmieszności, którego Jerzy Brandes raczéj imbecylistą, niż realistą, nazywa. Bo znaczenie i pojęcie literatury powieściowéj zmieniło się z gruntu w ostatnich lat dziesiątkach, i kto wie, jak tenże Brandes powiada, czy nie wypadnie nawet wyrazu „powieść“ jakim innym zastąpić. W belletrystyce szukają czytelnicy po wsze czasy rozszerzenia swego widnokręgu, wrażeń, których im szczupły zakres własnego życia nie daje. Ale kiedy Emma Bovary, wyhodowana jeszcze na romantyzmie, chciała przedewszystkiém czuć więcéj, niż na to jéj egzystencya pozwalała, żyć więcéj sercem, wyobraźnią może i zmysłami; to my, dzieci chłodniejszéj i bardziéj umysłowéj epoki, pragniemy raczéj *wiedzieć*, co się w innych duszach dzieje, szukamy nie tyle przejmujących uczuć, co poczuć subtelnych. Wyrażenie „bohater

powieści", dla oznaczenia głównéj działającéj osoby, jest dawnych, daleko sięgających czasów, spuścizną, dzisiejszy wyraz brzmiałby zupełnie inaczéj i byłby najpewniéj zapożyczony z naukowego języka. Codzienna mowa określiła zresztą najlepiéj stanowisko nasze wobec uczuciowéj powieści, nazywając wszelkie, napotykane nietylko w książkach, ale i w życiu, sentymentalne brednie romansami. Panuje dziś na ich miejscu studyum psychologiczne. Wobec naukowych pretensyi całéj téj literatury wystąpiły stany chorobliwe na pierwszy plan, nietylko jako ciekawsze, ale i jako ważniejsze. Znam tyle medycznych książek o chorobach, ale nie wiem, czy istnieje monografia, określająca zdrowie. A dzisiejsza literatura — nie mówię o rezultatach, ale o zamiarach — chce naśladować metodę naukową i ufa czasem, że do jéj wyników się zbliży.

Dziwno mi, że objaśniam takie stare dzieje. Jak to jednak i Płoszowski uważa, jest u nas tyle odrębnych kierunków i pojęć, tyle nowoczesnego pojmowania życia i tyle z drugiéj strony umysłowych nawyknień, że, chcąc mówić o dziele tego rodzaju i znaczenia, co „Bez dogmatu", potrzeba zaznaczyć stanowisko, z którego się wychodzi i które się poniekąd za stanowisko samego autora uważa.

Mamy tu oczywiście objaw choroby, nie nieuleczalnéj może, ale tak zaniedbanéj, że musiała się katastrofą zakończyć. Nie wdając się chwilowo w przyczyny groźnego stanu, zwrócę tylko uwagę na niektóre strony natury Płoszowskiego i na niektóre szczegóły w przebiegu jego dziejów. Jest to człowiek chory na „nieudolność życiową", natura w gruncie szlachetna i tém smutniejsza w upadku. Psychofizyologowie tłómaczą wolę, jako rozwiniętą i skomplikowaną formę odruchu, niby odpowiedź jednostki na wrażenia świata zewnętrznego. Otóż Płoszowski ma percepcyą tych wrażeń, ma ich zupełną świadomość. Odczuwa mnóstwo odcieni, z których sobie mniéj wytworna natura nietylko sprawy zdać nie może, ale ich wprost nie doznaje. Nie ma natomiast prawie wcale owego odruchu, owego czynnego wystąpienia wobec otaczającego go koła zjawisk, ma co najwyżéj porywy w tym kierunku, przelotne zapały i chęci, nie posiada zaś wcale owéj stałéj, przewodniéj i rozumnéj w skutkach swoich siły, którą w codziennem życiu nazywamy wolą. Gubi się on w różnorodności swych wrażeń, bo skala ich jest tém większą, że niepospolita inteligencya, zmysł estetyczny, wielkie oczytanie rozszerzyły jego horyzont, a z praw dziedziczności, z wychowania i z kolei życia musiał być wrażliwym. Porównywa się on sam do zamykającéj swe liście za lada dotknięciem mimozy. I przez ciekawą łączność zjawisk miewa on tejże mimozy nieubłaganą krwiożerczość, kiedy znudzony, doprowadzony do rozpaczy chaotycznością swych wrażeń, chce indywi-

dualność swoją wyraźnym faktem zaznaczyć. Niéma nic brutalniejszego nad niezgodne z sobą i wahadłowe natury: „słaby tylko rzeź wybiera“. W gonitwie za ustaleniem wrażenia, nie pyta on o zwykłą delikatność swych uczuć i poświęci wszystko dla chwili, nie z uczuciem Horacego, który każe z dnia korzystać i gotów może potém skutki swoich uniesień opłacić, ale z gorączką natury, szukającéj niezbędnych jéj poczuć nowych. Może on wziąć wtedy szał zmysłów za uczucie, a wyobraźni ma dosyć, aby jak Laura siebie samą, tak on swą miłość ubierać w słońce, poezyę i sztukę. Ale zna życie zbyt dobrze, aby już wśród zapału gorycz rozczarowania przeczuwać, a posiada naturę zbyt rafinowaną i szlachetną zarazem, aby uciec od boleści, następstw swego postępowania. Owszem skacze on, przymrużywszy oczy, jak nurek, w samą otchłań udręczeń. Czasami wobec rzeczywistego i głębokiego cierpienia doznaje on jakby potrzeby, moralnego przymusu, oddania się zupełnie goryczy, ma jakby punkt honoru w wyczuwaniu wszystkich swych boleści. Przytém szlachetniejsza to doprawdy istota, a zarazem syn narodu, o którym mówił kaznodzieja, że kobiety są w nim mądre a mężowie czuli, stary zaś książę Metternich powtarzał, że więcéj od innych społeczeństw wydaje rokujących świetne nadzieje młodzieńców. Jeżeli wyrobienie i wydelikacenie uczucia dostarcza mu coraz nowych przedmiotów boleści, to zdwaja ją jeszcze świadomość choroby moralnéj. Auskultuje się on nieustannie i rzuca raz wraz, jak z lekarskiéj lampy, promyczek światła do wnętrza ran własnych, zajęty wiecznie dyagnozą, a z góry wierzący w możliwość ozdrowienia. Bo wyniki swoich analiz uważa on znowu za przedmiot analizy i zachowuje się tak sceptycznie wobec własnéj niewiary, że już nic pyta nawet, gdzie jest prawda? Dla człowieka, oplątanego w taką sieć zwątpień, wplecionego w koło takich męczarni, niéma już rady, ni ratunku. Życia już nie może rozpocząć na nowo, ani go zwrócić na normalniejszą drogę, chociażby nawet ku większéj swojéj rozpaczy czuł ciągłą za prostém istnieniem tęsknotę.

Złudną jest nadzieja powrotu do zdrowia, budząca się w nim, kiedy napotkał kobietę, może równie, jak on, w naturze swéj wytworną, ale pod względem prostego pojmowania życia zupełnie odmienną. Zaczyna ją kochać, działa ona na niego uspakajająco i błogo. A że i Anielka go kocha, wyciągnąć więc mu tylko rękę po szczęście i spokój. Tu się odzywa jednak zaraz pierwszy grzech pierworodny Płoszowskich: nie znają wartości czasu, bo go nigdy nie rozmierzali na prace. Oddany wiośnie swego serca, Leon nie oświadcza się Anielce. Studyuje siebie samego, cieszy się naiwnym rozkwitem jéj duszy, daje jéj do zrozumienia, że ją kocha i że o jéj rękę poprosi;

ale nie ma owéj potrzeby ludzi normalnych zamienienia odrazu pragnień w rzeczywistość i, znając się dobrze, nie radby pułki zatrzasnąć odrazu za sobą. Objawia się przytém całe skomplikowanie, cała podwójność jego natury. Rzekłbyś, że raz sprawia mu pewną roskosz pokorne wyczekiwanie Anielki, raz znowu powstrzymuje go to i zawstydza, że potrzebuje wyrzéc jedno tylko słowo, aby mu otwarła ramiona. Więc trwa w wahaniu daléj. Mała to na pozór wina, jak na pozór niejedna wina Płoszowskiego, ale dowodząca istotnéj nieudolności życiowéj. Życie idzie naprzód, a kto, jak on, ciągle czeka, musi dożyć chwili, w któréj go zaskoczą przeszkody. Czyż będzie je ów Leon zwyciężał, który z pomyślnych warunków korzystać nie umiał? Zanim się zdołał Anielce oświadczyć, powołała go daleko ciężka choroba ojca. U jego łoża zaczął się znowu nad Anielką zastanawiać, bo z innéj perspektywy mógł się jéj inaczéj przyglądać. Nie odmówił sobie rozkoszy marzenia o niéj z daleka. „Zarzucałem kobietom, że nad samo uczucie przekładają formy uczucia, a podobno i mnie chodzi o to, by się wypełniły wszystkie“.—Czy jéj nie kochał? Owszem, po swojemu, całém swojém jestestwem, całą swą rozległą a nie głębszą zdolnością kochania. Przyszła śmierć ojca, znowu inne wrażenia, potrzeba samotności, zagłębienia się w bólu. Takie natury kochają się w rozpaczy: nieszczęście jest dla nich mniéj dotkliwe od codziennych przykrości, od nerwowych udręczeń, bo z pierwszego mogą układać sobie dramat, a drugie pozostają głuchą, martwą prozą. Przyszło wreszcie ukojenie po bólu, przyszło w postaci innéj kobiety, i zaraz, jeszcze wśród uciech, zaczęła powracać gorycz do ust i jął w głowie kołatać wyrzut zdradnego opuszczenia Anielki wraz z myślą o saméj Anielce. Wśród podobnych wahań, wśród błogiéj ciszy, po zerwaniu z tamtą kobietą, dochodzi go wieść o zamierzoném małżeństwie Anielki ze wstrętném Płoszowskiemu indywiduum, z Kromickim, i wtedy — jest to jedném z arcydzieł subtelnéj psychologii Sienkiewicza — cała niechęć do Kromickiego przenosi się odrazu na Anielkę. Bo dla Płoszowskiego ona nie jest ludzką istotą, ale arcydziełem, nie kobietą, ale postacią, i psuje ją w jego oczach myśl, że ktoś tak niski i wstrętny może wzrok na nią podnosić. Bo Leon nie kocha jeszcze wtedy uczuciem szczerém i głębokiém: zrodzi się ono dopiero z bólu i rozpaczy. Z czasem się on dopiero przekona, że kto nie zdołał wziąć sobie za dewizę słów Wiktora Hugo: „miłość—to czyn“, ten musi poznać, że „miłość—to cierpienie“. W téj chwili swego rozwoju pragnie tylko Płoszowski Anielki, jak źródła wody orzeźwiającéj i świeżéj, trochę jak wód zwierciadła, w którém swą postać odwzorzy. Postanawia wprawdzie jechać po nią, ale po namyśle wysyła tylko list — przez delikatność i lękliwość sumienia—

i list ten, dla różnych drobnych poczuć i odcieni, wypada zupełnie odmiennie, niż początkowo sam piszący pragnął. Myślę, że wstyd mu trochę iść z objęć Laury w ramiona Anielki. „Niewyczerpaném źródłem wahania się i słabości—mówi on raz słusznie—jest miłość własna, próżność i kokieterya względem innych“. U niego bywa ona często wyższego rodzaju: chce się podobać tak wybrednemu sędziemu, jakim jest sam, a chęci téj nie można potępiać. Nie istniałoby właściwie bez niéj poczucie honoru. „Przy całym swym sceptycyzmie— pisze on inną razą — posiadam zdolność odczuwania skrupułów, doprawdy godną płoszowskiego wikarego“. Dodajmy, że w umyśle jego zatarła się różnica między wielkiemi a drobnemi sprawami, i wszystko, co jego osobiście obchodzi, wydaje mu się równie ważném; bo człowiek ten, który nie jest bynajmniéj chłodnym z natury egoistą, nie zna właściwie nic na świecie, prócz siebie. Odwykł od patrzenia na świat, tak zajął się bolesną analizą swéj duszy, z niczém się nie zżył, niczego nie ukochał. Wszystkie sercowe potrzeby skupiły się dopiero dość późno, na pograniczu między młodością a podeszłym wiekiem, w jednéj kobiecie. A tymczasem „krytyka wszystkiego i samych siebie wyżarła w nas siły dodatnie, brak nam podstaw, brak punktu wyjścia, brak wiary w życie. Oto, dlaczego ja naprzykład nie tyle chcę posiadać Anielkę, ile boję się ją utracić“.

Stało się, czego się lękał. Anielka obiecała rękę Kromickiemu i żadne prośby i namowy nie zdołały skłonić jéj do cofnięcia przyrzeczeń. Płoszowski przeszedł wtedy przez dziesięć miesięcy tak elementarnego bólu, że przestał się nawet analizować i dziennika nie pisał. Odnalazł Anielkę jako kobietę zamężną. Łudził się czas jakiś, że go tym razem stan jego nerwowy od cierpień obroni, że pani Kromicka zabije miłość do Anielki. Niestety, taka jest prostoty siła, że się jéj wdziękowi najbardziéj skomplikowany z ludzi oprzéć nie może. Zapomina on o złotém widmie swém dawniejszém, ale zaczyna kochać kobietę. I doznaje całéj goryczy téj prawdy, że „miłość do cudzéj żony, jeżeli jest pozorną, jest podłością; jeżeli jest rzeczywistą, jest jedném z największych nieszczęść, jakie człowieka spotkać może“. Dziwne zdania — nie prawdaż? — jak na niemoralną książkę.

Z początku żyje w nim jeszcze dawny zdobywca serc kobiecych, ale nie trwa to długo. Sceptyk wobec cnoty niewieściéj błaga, jak żebrak, o odrobinę współczucia i czystéj miłości. Pod wpływem Anielki zrywa się nawet przez chwilę do innego życia, któreby było użyteczniejszém i lepszém. „Większa część moich dawnych poglądów podarła mi się nakształt starego ubrania“. — „Czasem przypominam sobie, że Anielka mnie kochała, że mogłem się z nią ożenić i mieć życie ogromnie jasne, ogromnie szczęśliwe; że wszystko zależało ode-

mnie". Wracają mu wtedy szalone pomysły do głowy, i on, człowiek delikatny i rozumny, stacza się, przynajmniéj w myśli, na krawędź hańbiących czynów i zbrodni. Nie ma świadomości waryacyi, ale rozumuje z jednostronną, natężoną jasnością szaleńców. I wszystkie prośby, wszystkie zdrady, wszystkie porywy zamierają wobec téj kobiety, dość silnéj, aby się wydawać obojętną. „Z całą moją przebiegłością, z całą znajomością życia, uczuć, ich dyplomacyi, zostałem poprostu pobity przez tę istotę, prostszą ode mnie, mniéj świadomą taktyki życiowéj, mniéj przezorną i mniéj obliczającą każdy krok. Zostałem pobity — niéma gadania!" I nie przyszły Anielce na pomoc żadne szczególne okoliczności. „Zbieram oto całą przytomność i pojmuję, że tych, co mają być zdruzgotani, druzgoce siła nadzwyczajnych zdarzeń; ale ze mną jest co innego. Mnie rozdziera zwyczajny tryb rzeczy. I im to jest bardziéj naturalne, tém straszniejsze". Tu dramatów nie można sobie układać. Bo oto dobił Płoszowskiego fakt, tak w najściślejszém tego słowa znaczeniu naturalny, że kobieta zamężna spodziewa się zostać matką.

Całą sztuczność życia rozbija życiowa prostota, całą sceptyczną i rafinowaną dyskusyę z obowiązkami życia rozsypuje w puch proste, naiwne ich pojęcie. Więc kiedy Płoszowskiemu zabrała śmierć Anielkę, jedyny cel widomy jego życia, zostało mu tylko bolesne poczucie nicości, i w nim, i dookoła niego, i pozbawiony w gruncie wiary, poszedł tam, gdzie absolutną nicość spodziewał się zastać.

Zupełne to bankructwo rzuca najlepsze światło na cały stan i całe postępowanie Płoszowskiego. Powiedziałem już, że winy jego wydają się czasem niewielkiemi, ale na dnie ich leży wielka próżnia, z win wszystkich największa. I mały stosunkowo grzech musi wtedy ściągać — nieubłaganie i tragicznie — w otchłań nieprzejrzanego nieszczęścia. W tém spoczywa wielka moralność utworu.

Czytelnik, który w ten sposób całość powieści pojmuje, musi i pojedyńcze jéj sceny uwzględnić. Bo cóż musiało na pierwszém miejscu rozwijać nieudolność i miękkość Płoszowskiego, jeżeli nie obcowanie z takiemi kobietami, jak Laura, i tego rodzaju Capua, jak w Peli? A przytém trudno chyba podobne sytuacye piękniéj na poezyę transponować i szybciéj zapuszczać na nie zasłonę. Odpowiadało to zresztą nietylko usposobieniu autora, ale i naturze bohatera. A musi być przecież w utworze tego rodzaju, co „Bez dogmatu", nietylko etyczna, ale psychologiczna i estetyczna prawda. Na te ostatnie chciałbym zwrócić po kolei uwagę.

II.

Ażeby sobie zdać sprawę z natury Płoszowskiego, musimy się przyjrzeć nietylko dziejom, ale uwzględnić rodzinę, wychowanie, słowem to wszystko, co od jakiegoś czasu nazywamy polskim wyrazem „środowisko“. Jest on synem starego, zamożnego, a podobno i nieco przeżytego rodu. Nie pod względem muskularnéj siły albo odwagi, albo nareszcie przelotnéj ochoty do czynu,— wyłącznie pod względem uzdolnienia do pracy. Matka umarła przy jego urodzeniu i kobiecą tę nawskroś naturę hodowali zrazu dwaj mężczyźni: włoski ksiądz, który zwracał, zdaje się, jego uwagę raczéj na estetyczną, niż na moralną stronę religii, i ojciec, nader ciekawy, a pysznie, choć w krótkich słowach, nakreślony typ zanikającéj epoki. Należy on do téj generacyi, która szuka prawdy w Berlinie, w metafizyce niemieckiéj, i chce na drodze czystego rozumowania dojść do odpowiedzi na wszystkie swe zagadki. Stary Płoszowski jedzie jednak potém do Paryża. Tam poznaje on potęgę, któréj my właściwie już nie znamy, salon, czyli, jak pisze mądra i wykwintna kobieta, zgromadzenie pięknych kobiet i mężczyzn świetnych, świetnych i zazwyczaj wpływowych zarazem. Ma on tam wielkie powodzenie, zową go „Léon l'invincible“. Nie przestaje jednak czuć wyższych w życiu interesów i pragnień. Zaznajamia się z Montalembert'em. Nie zrzekając się różnych poglądów swego wieku, zbliża się pewno do tak zwanego „liberalnego katolicyzmu“. Śmierć żony odwodzi go ostatecznie od metafizyki do wiary. O rodzinnych stronach nie przestaje myśléć za granicą, ale myśli zawsze w swój sposób. Należy do pokolenia, którego świetny i szlachetny przedstawiciel kazał sobie, jako dowód zasługi, wypisać na grobie te słowa: „żył w kraju“. Wierzy w Europę, jako w abstrakcyjne i piękne pojęcie. Osiada w Rzymie i doznaje tych specyalnych, pogodnych, umysłowych roskoszy, których każdy podróżny zakosztował choć trochę w pałacach pod Kapitolem i w willach na Gianicolo leżących. Zebrawszy całe muzeum starożytności, chce je przez miłość dla ziemi rodzinnéj gościnnemu Rzymowi zapisać. „Widzisz— mówi do syna— tam niktby ich nie widział, niktby z nich nie korzystał, a tu cały świat przyjeżdża i każdy przeniesie zasługę jednego z członków społeczeństwa na całe społeczeństwo“. Coby dał, za ileby sprzedał tę admiracyę obcych człowiek z innéj, z trzeciéj generacyi, naprzykład taki dr. Chwastowski, który na téj ziemi, gdzie wyrósł, budzi życie duchowe, nie dba może wiele o muzea, a z pewnością nic o sąd Europy, i łatając biedę, gdzie może, wydaje drobne hygieniczne pisemka dla ludu?

Takiego-to niepraktycznego ojca ma Płoszowski. Pyszna postać! Widzę go, pięknego, siwego patrycyusza, jak, na kilka dni przed śmiercią, z fotografią Anielki w ręku, prawi podniośle o piękności i dodaje, że najpiękniejszą na świecie rzeczą jest kobieta. Najpoważniejsze jego myśli, najgłębsze wierzenia mają w sobie jakąś estetyczną przymieszkę. W najszlachetniejszych uczuciach jest coś z duchowego sybarytyzmu szczęśliwszéj epoki. Był czas, kiedy wolno było myśléć, że się stosunkami z zagranicą, uniesieniami, podnoszeniem poziomu pewnego moralnego ciepła na świecie, sprawom bliższym służy. W wychowaniu młodego Płoszowskiego znać wyraźnie chęć wyrobienia w nim tych szlachetnych poczuć z jednéj, a nadania wytwornéj ogłady z drugiéj strony. Kiedy się tego okaże potrzeba, będzie wtedy mógł młody Leon zająć odpowiednie swemu rodowi i zdolnościom stanowisko, może jako ambasador, albo minister, chociażby bez teki. On został tymczasem „geniuszem bez teki", jak się sam wybornie nazywa. Bo o to, czy w każdym razie będzie użytecznym człowiekiem, nie zdawali się pytać jego przewodnicy. Kiedy, oddany do do kolegium do Metz, uciekł chłopiec do Don Carlosa, sprowadzono go wprawdzie do szkoły, ale widział on dobrze, że krok ten, dowodzący ostatecznie dziecińśtwa, ale i szlachetności — jeden z rzadkich energicznych czynów jego życia — wzbudził w ojcu i w nauczycielach kolegium tajone zadowolenie. Dumni byli z takiego legitymizmu i z pochopności rycerskiéj, a nie trudzili się myślą, w jakim kierunku się zapał ten rozwinie. Cieszyli się przytém ogromną łatwością chłopca do nauki; pozostał on téż zawsze bardzo zdolnym, chociaż do niczego niezdatnym człowiekiem. Mniéj świetni od niego koledzy w Metz i na uniwersytecie warszawskim powychodzili na daleko użyteczniejszych ludzi. Szczęście, że go przynajmniéj przysłano na czas jakiś do Warszawy i że mógł poznać wtedy społeczeństwo i zawiązać długotrwałe stosunki. Jest to jedyny zdrowy i prosty pomysł w całéj jego edukacyi.

Po szkołach, gdzie z książek uczą, nastąpiła ówczesnym obyczajem druga szkoła. Była to epoka, kiedy kobiety kończyły jeszcze edukacyę młodzieńców. Płoszowski spędził te lata swego życia w wielkim świecie paryskim, schodząc od niego do półświatka, w Dumasowskiém i po części w naszém pojęciu wyrazu. Wyszedł ztamtąd zachwiany w swoich egzaltowanych zapatrywaniach na życie, które na to tylko, jak się zdaje, hodowano, aby się mogło stać łupem wszelkich poprzedniczek Laury Davis. Wyszedł więc pełen sceptycyzmu życiowego i niewiary w natury proste a czyste. Zachwiały się i te religijne przekonania, w których atmosferze wyrastał. Nie wiemy pod tym względem nic pewnego, ale nie sądzę, aby Płoszowski prze-

chodził przez wielkie wewnętrzne walki, zanim doszedł do swego religijnego sceptycyzmu, jeżeli można tak nazwać próżniacką jego obojętność. Słyszałem nieraz z ust mądrego człowieka, że o pracę myśli najtrudniéj jest w Polsce, i zdaje mi się, że Leon nie miał nigdy dość skupienia, aby rozważyć, czy i w co on téż wierzy? Dlatego zachował pewne pozory i zewnętrzne strony wierzącego człowieka, nie pozbył się nawet poszanowania dla religii, byle mu tylko nie zawadzała w życiu, a raz, w chwili, kiedy się los jego i Anielki rozstrzygał, dał przez jakieś odrodzenie się wspomnień na mszę u P. Maryi w Krakowie, „na intencyę Leona i Anielki.“ Nie zerwał otwarcie z religią, przez delikatność serca, ażeby ojca i bliskich nie zasmucać, a i po-za tém idzie krok w krok za nim poczucie lepszego życia i spraw podnioślejszych świadomość. Nie jest w tym stopniu „bez dogmatu,“ co „bez pracy.“ I chociaż twierdzi, że przyrodnicze dzieła stworzyły jego niewiarę, sądzę, że jest i w tém ów optymizm względem siebie samego, który się u najzapamiętalszych autokrytyków spotyka. Przyszła poprostu chwila, w któréj niewygodną religię na bok usunął, a stać się to mogło łacno pod wpływem atmosfery Paryża. „Nie znam żadnego miasta w świecie — pisze on — gdzieby pierwiastki wiedzy, sztuki, wszelkiego rodzaju idee ogólnoludzkie, krążyły tak w powietrzu i wsiąkały tak w głowy ludzkie, jak tam.“ - „Wiadomości różnorodne a zawsze względne ulatują tam, jak rój niewidzialnych atomów—pisze podobnie Bourget w studyum swém o Renanie oddychać w Paryżu, to połykać te atomy, to stawać się krytykiem, wychowywać się na *dyletanta*. Zapewne, wielu jest takich, co opierają się tym wpływom, ale ci muszą się przez reakcyę podnieść aż do fanatyzmu“ [1]). Rzecz prosta, że może to być tylko głębszych i bardzo samoistnych natur udziałem. Podobny podróżnikom, którzy, patrząc na coraz inne obyczaje różnych stref i lądów, dochodzą do obojętności dla wszystkich, począł sobie Płoszowski ważyć zarówno wszystkie zapatrywania i pojęcia. Działały na niego tak różnorodne, sprzeczne z sobą wpływy, że schronił się do indyferentyzmu, jak do cichego portu. „Być może—pisze on—iż takie uwzględnienie wszelkiego rodzaju zasad prowadzi do pewnej obojętności na wszystkie i odbiera energię w działaniu, ale już nie potrafiłbym być innym. **Prąd umysłowy niósł mię—płynąłem.**“

A daléj powiada: „Idę mniéj więcéj razem z ruchem umysłowym mego wieku.“ Zapewne, ale o ile światowiec iść może. Widuje dużo ludzi, pracujących umysłowo, uczonych i artystów, i czasem, kie-

[1]) **Essais de psychologie contemporaine. Paris, 1886, str. 74.**

dy mu życie bezczynne obmierźnie, zamknie się na dni kilka i zapomina godzin nad jaką nową książką. Są to przelotne szały. Cytuje on w dzienniku swoim kilka dzieł naukowych, ale to właśnie, że je cytuje, pozwala mi przypuszczać, że stoją one po-za nim, zwłaszcza, że cały dziennik dowodzi, iż jest on w jedném tylko – i to w mniéj korzystném znaczeniu wyrazu—„nowoczesnym człowiekiem." Słowa te mają dzisiaj podwójne znaczenie. Nazywamy niemi raz zdenerwowane, nie mające praw do jutra, tonące zupełnie w sceptycyźmie indywiduum, raz znowu istotę, ufną w przyszłość, istotę, któréj krytycyzm ma naukowe podstawy i któréj zostało jeszcze bardzo wiele wiary w naukę. Do ostatniéj kategoryi należy pewno d-r Chwastowski, zaledwo nakreślona sylwetka, do pierwszéj—oczywiście Płoszowski. Charakterystyczną cechą jest i jego admiracya dla „Hamleta", i brak dowodów, aby rozczytywał się w „Fauście." Bo pierwszy mógł wprawdzie zaczerpnąć trochę niewiary w Wittenberdze, ale z własnych dramatów życiowych doszedł za młodu do swego wielkiego pytania; drugi posiwiał nad retortami, zanim się przekonał, że my niczego wiedzieć nie możemy. Płoszowski ginie téż tragicznie, jak Hamlet, nie dostępując zbawienia, obiecanego w „Fauście" tym, którzy się **„w czynach trudzili."**

Otóż tego trudzenia się nie widzę nigdzie w Płoszowskim. Im więcej się zastanawiam nad nim, tém bardziéj wydaje mi się, że kluczem do zagadki tego duchowego stanu i tych losów są słowa, które on nie o sobie samym, ale o całéj sferze społecznéj i intelektualnéj wypowiada: „Pod nami coś się dzieje, coś się staje, jest walka o byt, o kawałek chleba, jest życie realne, pełne mrówczéj pracy, zwierzęcych potrzeb, apetytów namiętności, codziennych wysileń—życie ogromnie dotykalne, pełne zgiełku, które huczy i przewala się, jak morze: a my siadamy sobie oto wiecznie na jakichś tarasach, rozprawiamy o sztuce, literaturze, miłości, kobiecie, obcy temu życiu, dalecy od niego, *wymazujący z siedmiu dni tygodnia sześć powszednich.*" W tych słowach zawartą jest, mojém zdaniem, główna przewodnia **myśl powieści.**

Bo tylko brakiem zajęcia mogę sobie analizę Płoszowskiego wytłómaczyć. Nie dziwię się, że człowiek ten, jak ja go pojmuję, zapomniał choć chwilowo i nawpół tylko dla Laury o Anielce, owszem gotów jestem najwięcéj podobnych zapór przyjąć; ale nie zdaje mi się równie prawdopodobném, aby Anielkę „przefilozofował." Człowiek, który na trzydzieści pięć lat życia strawił przynajmniéj piętnaście na miłostkach, mniéj lub więcéj poetycznych, i na estetycznych wrażeniach, mieszanych zazwyczaj bardziéj syntetyczną, mniéj świadomą siebie naturę. Lęka się nawet pogłębienia uczuć swych i życia, bo lęka

się gorzkiéj prawdy. Żadna ze zwykłych przyczyn autokrytycyzmu nie da się do Płoszowskiego zastosować. Nie nauczył go analizy ani skrupuł religijny, ani rachunek sumienia, ani konfesyonał. Nie zaczął on też filozofować o świecie i sobie dlatego, aby wszystko przenicować i wydrwić, jak to czynią natury nawskroś zepsute, szukające wytłómaczenia dla swego egoizmu; w duszy jego pozostało jeszcze ogromnie wiele szlachetnych uczuć i popędów. Nie wprowadziła go téż na te tory metoda naukowa i nauka, wątpiąca dziś o wszystkiém, ażeby jutro posiąść prawdę wszystkiego. Nie dziw, że analizują się ciągle bohaterowie Bourget'a, taki Greslou albo Claude Larcher—stało się to już u nich umysłowém nawyknieniem: pierwszy z nich zajmuje się najzawilszemi psychicznemi zagadnieniami, jako uczony, drugi jako obserwacyjny powieściopisarz. Spotykany nieraz zarzut, iż najnowsze dzieło Sienkiewicza powstało jakby pod wpływem Bourget'a, tłómaczy się właśnie owym nadmiarem analizy i może się na pierwszy rzut oka wydawać prawdziwym. Ale, badając autokrytycyzm Płoszowskiego, znaleźlibyśmy niewątpliwie odmienne w nim cechy, bo przyczyna jego jest inna. Tylko ciągła bezczynność, tylko to *ja* niezmienne, niby oś stała wśród wirującego koła wrażeń, sytuacyi i krajów, to *ja*, którego się pozbyć nie może i po-za którem właściwie zajęcia żadnego nie ma, ta jego stałość w wiecznéj niestałości, tylko takie czynniki mogły wywołać u Płoszowskiego zwyczaj rozkładania każdego uczucia. Pomimo zwątpień swoich i wewnętrznych niesnasek, pracują i Greslou, i Claude Larcher, jeden u naukowego, drugi u artystycznego warsztatu, kiedy nasz bohater, uznawszy swoją „nieudolność życiową", pociesza się tém, czemu wygodne miano „słowiańskiéj nieproduktywności" chce nadawać. Szczęściem jest to zupełny niemal frazes i Sienkiewicz wie, co czyni, stawiając na trzecim planie postacie Śniatyńskiego, Lukomskiego i braci Chwastowskich. Zwłaszcza ci ostatni wydają mi się mężami przyszłości. Generacya, oddana wyłącznie estetycznym roskoszom i przez samą swoją kulturę własnéj ziemi obca, należy już, ogółem wziąwszy, do przeszłości, i jeżeli nam jutro niebezpieczeństwo jakie grozi, to w małej chyba części z takiéj strony. Po ludziach „bez pracy" nastąpią może ludzie „bez dogmatu", i w tém, społecznie czysto rzecz biorąc, musi być w naszych warunkach niepokojący objaw. Pokolenia przejmują jednak wiele od siebie, i nie wiem, czy wahadłowość nerwowéj natury Płoszowskiego i w następcach jego się nie odbija.

Wracajmy jednak do saméj jego postaci, bo chociaż nie jest ona jutrzejszą, ma wszelkie prawo interesować nas dzisiaj. Bohater Sienkiewicza czuje, mówiąc trywialnie, przez skórę, że nowi ludzie zalewają świat, a on w wiecznem wahaniu rozprawia „na jakichś tara-

sach", wysoko ponad nimi. Imponują mu ogromnie Śniatyńscy i Łukomscy, bliżsi mu estetycznemi zajęciami z pośród ludzi pracujących; a jeżeli, zestawiając się z nimi, nie dochodzi nigdy do zbawiennej dla siebie pogardy, to dlatego, że w sądach o sobie samych zaliczamy stale do aktywów i dobre nasze zamiary, podczas kiedy osoby po-za nami stojące mogą w nich zapisywać tylko dobre uczynki. Stąd wielka różnica bilansów. Nie może on zresztą nie czuć istotnéj szlachetności swéj natury, a o skażeniu i wysuszeniu serca mówi słusznie, jako o nieszczęściu, które go spotkać byłoby mogło, ale nie spotkało. „Jest we mnie człowiek — pisze on po odebraniu szlachetnego listu od Klary Hilst—który umie odczuć i ocenić każde słowo tego listu." Bo chociaż kochać już wtedy nie umie, żyje w nim jeszcze najgłębiéj najmniéj samolubne z ludzkich uczuć, współczucie W parę dni po tém wyznaniu opisuje powrót swój do Płoszowa, do choréj Anielki. Złamany zupełnie, w każdym serca zakątku dotknięty, nie czekający już niczego, prócz bólu, powraca do niéj i dla niéj jedynie. „Piękność jéj prawie zniknęła. Zostały tylko oczy dawnéj Anielki. Ale dla mnie to dosyć. Ta zmieniona twarz zwiększa tylko moją litość i tkliwość — i staje się témbardziéj ukochaną." Lepiéjby mu jednak było sto razy iść „światami", niż patrzéć na nią i wiedzieć, czemu się jéj twarz odmienia. Ale nie, on udaje przed nią ukojenie, nawet wesołość, ażeby nie być ciągłym dla niéj wyrzutem i przypomnieniem boleści. Poświęca to, na co kochającemu zdobyć się najtrudniéj: oto niemą skargę, wyraz choćby najskromniejszy miłości i cierpienia. I tu pyszny szczegół, zdradzający światowego człowieka, posuwającego aż do form zewnętrznych najdelikatniejszą przezorność. „Włosy moje posiwiały tak przy skroniach, że waham się, czy ich sztucznie nie przyciemniać. Nie chcę teraz być starym, ani wyglądać na starego." A niéma już jednak w nim złudzeń lub ufania. Robi się taki cichy, pokorny, uśmiechnięty. Na kartach jego dziennika jest atmosfera tego niezmąconego a trwożnego spokoju, którym otacza się osoby chore a ogromnie drogie. Kiedy odejdzie od Anielki, to na to, aby się naradzać, jakby Kromickiemu byt materyalny zapewnić, sprowadzić go do kraju i z Anielką razem na gospodarstwie osiedlić. „Bóg widzi, że cała dusza wzdrygała się we mnie na samą myśl jego obecności przy Anielce, ale, żeby ofiara była zupełną, postanowiłem wypić i tę truciznę". Gdybyśmy nawet bardzo wielką część téj szlachetności na karb czyśca złożyć mieli, przez który Płoszowski przechodził, pozostałaby jeszcze niepospolita zdolność do uczuć piękniejszych. Ale u natur bardzo chorych, jak u chylących się do upadku narodów, wszystko, nawet lepsze popędy, zdają się popychać do zguby. Rzekłbyś, iż w organizmach, do gruntu

strawionych, jedynym objawem istnienia może być choroba. Względna szlachetność Płoszowskiego utrzymuje go na powierzchni życia, ale nie daje mu znów zajrzéć do głębi. Najbardziéj dręcząca analiza nie odbiera mu ostatecznych złudzeń co do własnéj przyszłości. Bo jeżeli wie, że jest w gruncie dobry, to wie także, że jest bardzo zdolny. Powtarzają mu to do znudzenia przyjaciele i krewni. Jeżeli zaś jest nerwowy i czuły, jak mimoza, to znowu tém lepiéj i nic w tém nie masz dziwnego. Ci, co jak Płoszowski, muszą się w rozstroju swoim uciekać aż do chloralu, pogardzają jednak niemal ludźmi, w których nie wszystko drga i dźwięczy. „Chory wiek — pisze Śniatyński, człowiek, który nie jest ani bez pracy, ani bez dogmatu — chory wiek, w którym tylko osły mają jeszcze jakąś wolę, bo gdy ktoś posiada choć trochę rozumu, to go zaraz użyje do zwątpienia o wszystkiém i przekonania siebie samego, że naprawdę nie warto chcieć czegokolwiek“. A oto, co mówi wprost Płoszowski: „Lubię ludzi rozwiniętych, wyrobionych nerwowo i szukam ich tam, gdzie mi ich znaleźć najłatwiéj“. Dlatego przesiaduje za granicą. Rzecz to ciekawa, iż koła, w których jest mu swobodnie i dobrze, mają cechy zupełnie od dawnych wykwintnych towarzystw odmienne. Powstała po arystokracyi rodu, talentu i majątku, najnowsza arystokracya nerwów. Różni się ona tém od poprzednich, że wyraz „celowość“ zupełnie już w zakres jéj pojęć nie wchodzi. W Europie całéj, którą przebywa wszerz i wzdłuż, Płoszowski spotyka ludzi, których jedyném zadaniem życia jest uosabiać rafinowanie cywilizacyi i porozumiewać się między sobą językiem wtajemniczonych. Że Leon Płoszowski z Płoszowa ma inne obowiązki, o tém nie zawsze pamięta nasz bohater, a przytém czuje on może znowu tę fatalną wyższość swoją nad innymi. Fortuna, która mu z jednéj strony daje pewność, że nie okryje się on nigdy wstydem i niesławą, służy mu do zaspokojenia wyższych, estetycznych i intelektualnych potrzeb. Jest on napoły tylko, ale szczerze artystą. Jeżeli posiada zbyt wiele krytycyzmu, aby módz tworzyć, to ma znów nadto wyobraźni, aby na biernem stanowisku widza czy słuchacza pozostać. Wyobraźnia jego spełnia w życiu to, co u rzeczywistych artystów czyni w świecie sztuki: obmyśla akcesorya, dobiera tło, wynajduje efekta, tworzy jedném słowem wokoło niego dramat. Oto np. co pisze Płoszowski z powodu choroby ojca: „Bóg widzi, że, znalazłszy go prawie zdrowym, ucieszyłem się szczerze i serdecznie; a jednak, ponieważ przez drogę nabiłem sobie głowę prawdopodobną jego śmiercią, ponieważ widziałem go już wśród świec *i siebie klęczącego przy jego trumnie*, więc doznałem uczucia pewnego zawodu, jakby mi żal było tego napróżnego żalu.“ Wolałbym, co prawda, aby takich ustępów,

a nie wszystkie musiałyby być tak okrutne, było w powieści więcéj, a zwłaszcza, aby nam dano więcéj dowodów estetycznych upodobań Płoszowskiego. Dziwny jego gust dla Carlo Dolce – wprawdzie przez dziecinne lata usprawiedliwiony — i łatwowierność, z którą złotnicze wyroby u Laury Davis uważa za dzieła Benvenuta, rażą mię nawet trochę. Przykro mi, kiedy słowa poety przypominają frazesy literatów i kiedy się na kartach Sienkiewiczowskiéj powieści stary Dumas odzywa. Sądzę, że brak czysto estetycznych wrażeń tłómaczy się owemi ustępstwami dla szerokiéj publiczności, o których wyżéj wspomniałem, i na karb tychże koncesyi położę pewien nacisk na światowość Płoszowskiego. Zaręcza on o tém trochę częściéj, niżby to czynił w dzienniku istotny reprezentant sfer najwykwintniejszych. Czytelnicy, którzy do nich się liczą, zarzucają nawet pewną niedbałość w oddawaniu tonu wielkiego świata i wytykają szereg mikroskopijnych wykroczeń. Nie mogąc wdawać się w kwestye tak subtelne, zaznaczę tylko, że chodziło tu przedewszystkiém o indywiduum, nie o sferę, że taki wiecznie myślący Płoszowski, któryby w każdéj warstwie był niezwykłém zjawiskiem, może się zupełną obojętnością dla języka i form swego świata odznaczać. Zapytam nawet, gdzie większą jest arystokratyczna swoboda: czy w dzienniku takiego szlachcica, jak Płoszowski, czy też w powieściach Bourget'a, zwłaszcza pierwszych, gdzie w niektórych rozdziałach, arcyeleganckich, czuję jakoś nowicyusza w salonie, żeby nie powiedzieć – dekoratora? Wszakże dziś sam Bourget śmieje się w najnowszéj książce ze swoich opisów salonu.

Rafinowanie, szlachetność i wysoka kultura charakteryzują w każdym razie, i to w niezwykły sposób, bohatera téj powieści, na któréj poszczególne stronice, w braku głębszéj krytyki, położyłem obecnie akcenta. I sądzę, że wszystkie te zalety, z których przy olbrzymiéj swéj świadomości nie może Płoszowski nie zdać sobie sprawy, pozwalają mu ufać, że kiedyś jeszcze odpowie wymaganiom i nadziejom, które taki Śniatyński w nim pokłada. Trudno mu tylko zacząć coś robić wśród wiru wrażeń, którym, wprawdzie na chwilę, ale całą jednak swą duszę oddaje. Tak schodzą mu dni w oczekiwaniu jutra. I tak minęło lat trzydzieści pięć. Płoszowski doszedł do téj „połowy drogi ludzkiego życia," o któréj mówi Dante. Nastała ostatnia chwila, w któréj jeszcze może coś uczynić, a potém trzeba mu schodzić drogą, wiodącą już do zmroku, schodzić z podwójném brzemieniem: **umęczenia i żalu.**

Wtedy zachodzi mu drogę Anielka.

Płoszowski nie lubi Polek i rys to bardzo trafny, uzupełniający wybornie charakter. Nie lubi ich, jako człowiek, szukający po świecie

miłostek, bo kobiety u nas mają usposobienie chłodne, co najwyżéj do kokieteryi skłonne. Nadto wynika to niejako z definicyi takiego Ploszowskiego, że nie bardzo je ceni. Dla rafinowanéj jego natury kontrast jest może zbyt mały: Polki mają, zupełnie jak on sam, więcéj nerwów, wyobraźni, więcéj zalet intelektualnych, niż wielkiego elementarnego uczucia. Społeczna ich rola nie wchodzi tu w grę, Ploszowski uważa je tylko odnośnie do mężczyzny. I pod tym względem ma on może racyą, a Anielka, którą mimo jéj narodowości tak gorąco i zupełnie pokochał, nie zupełnie zadaje kłam jego zarzutom. Kiedy kochająca go Anielka oddaje rękę Kromickiemu, ma Leon prawo powiedzieć z goryczą: „Ten gatunek Polek woli złamać serce, niż słowo.“

Anielka jest to córka szlacheckiego domu, wyborny typ istoty, którą w potocznéj rozmowie określamy wyrazami „wiejska panna.“ Szkołą jéj był dom, otoczenie, pełne tradycyi obywatelskich, uczciwych i szlachetnych. Wytworność swéj natury zawdzięcza raczéj atmosferze, niż indywidualnemu wyrobieniu. Sądzę, że jeżeli bierze książkę do ręki, to częściéj, aby z niéj uczyć dzieci czytać, niż dla własnéj umysłowéj potrzeby. Istota bardzo czysta, naiwna i niewinna, wychowana na to, aby nic nie znać życia, w którém się swoją drogą, dzięki wielkiemu sprytowi, zoryentuje bardzo łatwo. Miłość nie jest ani marzeniem, ani celem jéj życia. Kiedy ją za dorosłą uznają i pozwalają kochać Leona, kocha go serdecznie i pięknie, prawie tyle z podziwu, co z serca. Ale bardzo śpiesznie oddaje rękę wstrętnemu człowiekowi, skoro się tylko zdawać może, że ją Leon porzucił, a przynajmniéj zaniedbał, i skoro sobie pozwolił na nieszczęsny okrzyk: „życzę panu Kromickiemu szczęścia z panną Anielą, a pannie Anieli z panem Kromickim.“ Gra pewną rolę w przedwczesném tém postanowieniu uległość choréj i staréj matce, którąby los córki i rodzinnego majątku chciała widzieć zabezpieczonym, ale odzywa się tu i dotknięta godność osobista, miłość własna kobiety. Dlaczego nie ma odwagi choć potém zerwać z Kromickim? Polska ta panna nie zdaje sobie snadź z tego sprawy, że kiedy się jednego kocha, iść za mąż za drugiego, dla ochronienia swojéj niewieściéj dumy, nie jest ani szlachetnie, ani nawet zupełnie uczciwie. A jednak pytam, czy większość panien z téj saméj sfery społecznéj postąpiłaby inaczéj? Wiem natomiast, że nie uczyniłaby tego Klara Hilst, córka jakiegoś fabrykanta z Frankfurtu. Pojmuje ona tak dobrze, co jest miłość, że nie chce słuchać oświadczeń człowieka, którego jednak całém sercem kocha, kocha i czynnie, i cicho zarazem. Lęka się, że słowa jego pochodzą tylko z chwilowego rozczulenia i wdzięczności. Tak mądrą jest jéj uczciwość, że nie chce z chwili uniesienia korzystać. Bo by-

łaby może kiedyś kulą u nóg człowieka, którego szczęście ponad własne ceni, i to wystarcza, aby się zrzekła pragnień i marzenia. „Czy pan rozumie — pisze ona pod koniec ślicznego swego listu — że można kochać nietylko z całéj duszy, ale i z pokorą? Ja wiem, że można, bo tak kocham“.

Odkąd została panią Kromicką, zmieniła się i sytuacya, i obowiązki Anielki. Wywiązuje się ona z nich z ogromnym taktem. Nie wysuwa tego jednak na pierwszy plan, że nie jest już dawną, wolną Anielką, nie zaczyna od rozmowy o mężu, wogóle nie mówi o nim prawie wcale przy Leonie. Czuje się ona naprzód trochę winną wobec niego, a zwłaszcza lituje się nad nim głęboko. Staje się więc względną, łagodną i słodką, przebacza mu winy. Czego dla szczęścia dwojga ludzi zrobić nie umiała, czyni to teraz — z litości. Istna córka kraju, gdzie się chwilowém miłosierdziem długi wobec życia opłaca. Bez wielkiéj subtelności umysłu i bez delikatności serca nie podołałaby jednak swéj roli. Musi ona oszczędzać Leona, a na żadną nadzieję mu nigdy nie przyzwolić: musi kryć się z miłością przed nim, a przed matką i otoczeniem z walką i oporem. Uwikłał ją Leon tak mądrze w swe sieci, że niepodobna jéj głośno i wyraźnie oddalić go od siebie i przeciąć węzłów żelazem. Dokonywa ona trudnego zadania, dzięki temu zwłaszcza, że, jak sobie z tego i Płoszowski zdaje sprawę, kocha go ona nie tak silnie, jak on ją. Broni ją zaś ciągle owa natura gronostaja, lękającego się zbrudzić białe futerko.

Bo jeżeli z wyżyn swych nie zstępuje, to nie dla religijnych uczuć, w najabsolutniejszéj ich formie. O ile mi ją dziennik Płoszowskiego odwzorowuje, nie widzę u niéj dowodów ciągłéj pobożności, ani nieustannego religijnego życia. Nie kocha męża, nie ma dzieci, w którychby miłość swoją całą mieścić mogła. Wszystko zaś, co jest w niéj wytworniejsze i podnioślejsze, ciągnie ją ku mężczyźnie, którego właściwie nie przestała kochać i któremu wierzy. Nie opiera mu się też w starém doświadczeniu, że krótkie chwile jednostronnego szału opłaca się bólem z tysiąca stron, odnawiającym się ciągle. Zdawałoby się, że w takich warunkach upadek jéj nastąpić szybko musi.

Tymczasem tak nie jest. Walki świadomej niéma wcale w Anielce. Myśl oddania się Płoszowskiemu nie powstała w niéj, nie przeszła przez jéj głowę nawet w formie przelotnego widzenia. Broni jéj siła inna: czysto obyczajowa i ogólna. Tradycya, otoczenie, wiejska ta atmosfera, nie bardzo może w myśli, ale w proste poczucie obfita, wyrobiła w niéj poczucie, że istnieją dwie niepojednane ze sobą siły: złe i dobre, dwa pierwiastki, któreby Płoszowski tylko za

dwa różnorodne objawy uznawał, a między któremi dla niéj istnieje niczapełniona niczém przepaść. Ginęły w niéj po kolei, jak w bezdennéj urnie Danaid, wszystkie Płoszowskiego rozumowania, podstępy i zapały. Pytać, gdzie dobre a gdzie złe, nie potrzebuje Anielka. Pojęcie świata i pojęcie moralności są u niéj równie nieskomplikowane, proste. Natura jej i postępowanie dowodzą najlepiéj, jaką potęgą może się stać dla społeczeństw „dogmat“ i ile im na wyrobieniu odpowiedniéj atmosfery niewzruszonych przekonań zależy. Indywidua, któreby jéj same stworzyć nie zdołały, żyć bez niéj nie mogą i, kochając się w jéj czystości, chcą ją wiecznie mieć wokoło siebie. Silniéj, niż negatywny dowód w naturze Płoszowskiego, przemawia do mnie nauka, płynąca z poznania mniéj inteligentnéj i mniéj świadomej Anielki. Zarzutu bierności pojąć wprost nie mogę. W bezwiedności swojéj, w swojéj „czystości piór“ i łabędziéj białości, w cnocie swojéj, bez wielkich walk i bez wielkich może zasług, jest Anielka wybornym typem tego rodzaju kobiety, którego Płoszowski z góry znosić nie może i który go, właśnie dlatego, w szlachetném i pięknem wcieleniu tak nęci.

Nie jest nieprawdopodobném, że, jak w przyszłości coraz mniéj będzie Płoszowskich, tak téż i typ Anielki ginąć u nas pocznie. Być może, iż bezświadomość ustąpi przed świadomością, a pomimo chwilowego ścieśnienia kadr arystokratycznych, będzie się społeczeństwo stale demokratyzowało. Czcze już dziś formy salonu znikną wobec rozwoju drobniejszych kół towarzyskich i rodzinnego życia, z czém lepiéj będzie Śniatyńskim, Chwastowskim i innym pracującym ludziom. Wtedy postacie, jak Anielka, staną się rzadkim objawem. Nastąpi po niéj kobieta mądra, wyżéj ceniąca miłość indywidualną, bo na niéj oprze się jéj życie,—bardziéj dla trybu codziennego stworzona. Kobieta w rodzaju pani Śniatyńskiéj, a może raczéj zbliżona do Klary Hilst, równie czystéj i równie godnéj, jak Anielka. I poezya straci na tém tylko chwilowo, bo taki to kwiat cudny i żywotny, że może chyba wszędzie wyrość, a tylko—stosownie do otoczenia—różnorodnie zakwita.

III.

Prostemu charakterowi Anielki mogła każda powieściowa forma odpowiedzieć; Płoszowskiego trzeba było natomiast w specyalny sposób oświetlić. Nasuwała się wobec tego forma dziennika; Sienkiewicz wybrał ją.

Dwa razy w ciągu ostatnich stu lat rozwielmożniał się dziennik w literaturze, bo dwa razy zapanował w życiu. Powstaje on, ile razy poczynają się ludzie tém interesować, co się w skrytości duszy ich odbywa. Pod koniec przeszłego i na początku bieżącego wieku zajmowano się więcéj uczuciami; obecnie oddajemy się raczéj badaniu intelektualnych objawów i newrozy. W obydwóch razach wzmaga się stan chorobliwy, dzięki natężeniu świadomości, i sam materyalny akt pisania odrywa ludzi od zajęć i odwraca myśl od spraw, w których znaleźliby łacno zapomnienie, a może i lekarstwo. Ktokolwiek trawił wieczory nad kartkami swego pamiętnika, przyzna mi, że zwyczaj spisywania wrażeń zawdzięcza istnienie bezczynności, ale że naodwrót i próżniactwo z tego rodzaju piśmiennictwa rośnie. U Płoszowskiego jest więc dziennik bardzo prawdopodobnym objawem.

Artystycznie przedstawiał on pewne, nieuniknione niebezpieczeństwa. Przedewszystkiém ogranicza on pole widzenia; ścieśniają się ramy, w których obrębie roztacza nam autor obraz społeczeństwa. Nie zapoznajemy się bezpośrednio z osobami i faktami, widzimy je dopiero odbite w duszy Płoszowskiego, przeniesione na jéj tło, pojęte w jego sposób. Z wyjątkiem Anielki, któréj Leon całą swą uwagę poświęcił, nie powypadały też wszystkie postacie drugorzędne tak wypukło i żywo, jak to dotychczas u Sienkiewicza bywało. Epizodycznie bowiem występują kolejno Śniatyńscy i Chwastowscy, aby całą obywatelską nicość Leona silniéj uwydatnić. Czasami jednak posiadają te drugo i trzeciorzędne postacie swą niezwykłą, kilku rysami nadaną, żywotność i prawdę, któremi zwykł wielki nowellista ludzi swoich obdarzać: wspomnę tylko rzeźbiarza Łukomskiego, lub handlarza broni. Jeżeli w typowość Kromickiego nie wszyscy możemy uwierzyć, to widzimy wszyscy twarz jego szpetną, gest i monokl w oku. I nie pytamy, dlaczego dba tak ciotka Leona o wyścigowe konie, bo oto widzimy ją, kiedy głośno z sobą rozmawia, i poznajemy opryskliwość osób poczciwych i w gruncie kochanych.

I nie spuszczajmy tego z oka, że jedynie dzięki formie dziennika możemy wniknąć tak głęboko w duszę Płoszowskiego i mieć ciągłe dowody wiekuistéj jego analizy. Cały mechanizm duchowy bohatera odsłania się w ten sposób przed nami, a nadto objawia się nieustanna u niego świadomość. Ostatni ten rys, uzupełniający tak dobrze naturę, byłby się był wobec innego sposobu przedstawienia chwilami tylko przypominał. Należała się przytém nowożytnéj powieści forma, tak nawskroś nowoczesna. Wszakże w pogoni za najindywidualniejszemi poczuciami i najspecyalniejszymi stanami duszy, wydobywamy dziś na światło dzienne czysto osobiste pamiętniki i za-

piski. Powieść zamienia się coraz bardziéj na szereg zanotowanych spiesznie psychologicznych momentów. Niepospolity człowiek, który ani na katedrze, ani w naukowych dziełach, ani w poezyach nie wywierał silniejszego wrażenia i nie zdołał sobie za życia pozyskać nazwiska, został odrazu w całéj Europie sławnym, skoro wydano ustępy z jego dziennika, spisywanego sumiennie, pełnego zaciekłéj i bolesnéj analizy. W parę lat po śmierci zajął Amiel wybitne stanowisko wśród przedstawicieli współczesnéj psychologii, czyli, mówiąc praktycznie, pośród przewódców przyszłych generacyi. I podobnych przykładów możnaby wyliczyć dziesiątki. Nie ma więc dziś nikt prawa robić z formy dziennika zarzutu, bo jeżeli bezładny rzeczywisty pamiętnik budzi tyle zajęcia, to powinna i artystycznie zbudowana powieść, w kształt jego obleczona, zaciekawiać ogół. Przeczuwam tu zarzut: oto istotny dziennik jest niewątpliwym „życiowym dokumentem“. Zdaje mi się, iż mogę się, miast odpowiedzi, do publiczności odwołać i zapytać: czy mniejszą praktyczną wartość mają niektóre, tak trafne, tak na gorącym uczynku schwytane, rysy w „Bez dogmatu“? Twierdzę to w przekonaniu, że trzeba tylko dobrze wsłuchać się w dzieło, a rozpozna się w niém szczere i prawdziwe tony. Bo któżby się z nas dzisiaj zajmował jeszcze krytyką, gdyby nie wiara, że powstaje zawsze jakieś duchowe pokrewieństwo, tajemne jakieś porozumienie się i niemal wspólnictwo, między pisarzem a czytelnikiem, bardzo pilnym i zupełnie nieuprzedzonym? Podniosłem już poprzednio kilka ustępów, dowodzących niezwykłéj subtelności obserwacyi, a mógłbym jeszcze przytoczyć ich bardzo wiele, że wspomnę tylko owo rozdrażnienie, w które wprawia Leona raz monokl Kromickiego, raz szelest gumowego płaszcza. Niepodobna mi tu natomiast przytaczać długich stronic na dowód, jak całe głębokie stany duszy są pochwycone i odmalowane. Zadowolnię się więc tą krótką uwagą, że ci, którzy czytali „Bez dogmatu“ w odcinkach, nie mogą sobie zdać sprawy z artystycznéj wartości utworu. Gdzie mi najmisterniejszemi rysami kreślą wyjątkowe stany duchowe i chcą drobnemi środkami silny nastrój wywołać, tam nie mogę na całą dobę przerywać sobie wrażeń. Przybywam wtedy znieczulony dniem całym, wyrwany z atmosfery wczorajszego odcinka i, zupełnie nie przygotowany, poddaję się wpływowi autora. „Jakiego ja pragnę czytelnika?—pytał Goethe.—Takiego, co siebie, mnie i świat cały puszcza w niepamięć i w książce mojéj żyje“. Do ideału tego zbliżyć się mogą tylko ci, co zagłębili się w owych trzech tomach, tak pięknie drukowanych; gdyby nie staranność wydawców, byłby się tekst w dwóch tomikach pomieścił. — I wtedy dopiero okazuje się, że mistrzowstwo języka nie zawiodło Sienkiewicza. Spotykałem się wprawdzie ze zdaniem, że

konwersacyjnego tonu najwyższych sfer towarzyskich nie oddał, ale gdyby to nawet miało być prawdą, to trudno winić autora, który czystą pisze polszczyzną, kiedy Płoszowscy mówią zazwyczaj po francusku, albo makaronicznym językiem. Pozostała w każdym razie Sienkiewiczowi niemała zasługa. Oto wyraził on szereg myśli najsubtelniejszych w klasycznéj mowie i formie, w polszczyźnie tak czystéj, że się aż kryształową stała. Wprowadził do literatury mnóstwo wyrażeń, nie mających przedtém obywatelstwa w języku książkowym, i stworzył szereg zwrotów i wyrazów, które weszły do ogólnego skarbca i z których ja już pewno nie pierwszy na tém miejscu korzystam. Publiczności potrzeba myśli jasnych w jasnéj formie; dla tego przechodzi tyle zdań z „Bez dogmatu" na własność powszechną. Sądy Płoszowskiego wprawiają mię nieraz w zachwyt głębokością, dziwią mnie nawet często jakąś jędrnością i wesołém zacięciem. Naprzykład, kiedy, porównywając Laurę do konstelacyi, nazywa ją *Wielką niedźwiedzicą* dla otoczenia, a *Krzyżem* dla męża. I czuję pewien szlachecki, zdrowy humor w ustępie o polskiéj zimie, w któréj jest jakaś siła i powaga, a przedewszystkiém szczerość. „Równie jak szczery przyjaciel tnie prawdę w oczy bez ogródek, tak i ona bierze za uszy, ani pyta". Wydaje mi się to bardzo jędrne i proste na Leona, zwłaszcza kiedy porównam styl rzeczywistych pamiętników i napotkam u Amiela takie np. zdanie: „Będąc tylko marzycielską medytacyą, goni dziennik wszystkiemi przydrózkami, a do celu nie zmierza. Rozmowa mego *ja* z sobą samym może być tylko stopniowém rozświecaniem się myśli. Stąd ciągłe powtórzenia, zawracanie się w drodze, poprawki i wahania Kto twierdzi, bywa zwięzłym, kto szuka — rozwlekłym; kto marzy, chadza linią krzywą". A przedtém tak mówi Amiel do siebie: „Widzisz zbyt dużo sposobów wypowiedzenia myśli; umysł bardzo zgodny z sobą natrafia odrazu na ton właściwy... Aby do niego dojść, potrzeba nie wątpić, a ty wątpisz nieustannie" [1]). Kiedy nadto napotkam ustępy takiéj poetycznéj siły, jak dysertacya, a raczéj hymn o miłości, lub opis wrażeń, doznanych podczas gry sonaty Bethowenowéj, rodzą mi się czasem w duszy pewne wątpliwości. Gdyby Płoszowski umiał wyrażać swe myśli tak jasno i dobitnie, a uczucia tak żywo, dystylowałby może aż do końca życie swoje na literaturę i znalazłby w tém ukojenie. Wszak przyznaje on sam, że sztuka „zdolna jest wypełnić życie człowieka zupełnie i zostać jego religią, może wszelako pod warunkiem, by on został jéj kapłanem" A są stronice całe „Bez dogmatu", które pisał wielki artysta, nie Płoszowski, ale Henryk Sienkiewicz.

Niektórzy czytelnicy powieści nauczyli się do tego stopnia szukać w pierwszych odcinkach owych wspomnianych ogólnych rysów i obserwacyi, że spotykał ich potém pewien zawód, kiedy z rozwojem akcyi nastąpiły uwagi indywidualniejsze i bardziéj specyalne. Początek pierwszego tomu, poświęcony biografii i charakterystyce Płoszowskiego, pisanéj przez niego samego, obfituje szczególniéj w tego rodzaju spostrzeżenia; w drugiéj części następuje już akcya i odegrywa się w Leonie cała tragedya, zakończona utratą Anielki. Drugi tom zawiera zaś dziennik miesięcy, spędzonych razem z panią Kromicką w Płoszowie i Warszawie. Wszystko się tam dzieje podczas nieobecności Kromickiego i pod okiem dwóch kobiet, o wyobraźni tak czystéj, że na myśl im nie przyjdzie możliwość jakiegoś romansu. Staje tu więc sama Anielka wobec Leona i rozpoczyna się ich walka cicha, prowadzona niemal półsłówkami, ukrywana przed otoczeczeniem. Wobec nieuniknionych analogii w sytuacyach, charakteryzują ten tom ciągłe epizody, jak cała nowella o Łatyszach, opis burzy, wyścigów, obraz niedzielnego poranku, tak powietrzny i pogodny, a tak na wzrok obliczony, jak jakie malowanie Chełmońskiego. - Pomiędzy temi dodatkowemi scenami rozwija się nieustannie analiza i boleść Płoszowskiego, które trzeba było, nie tylko wśród niezwykle ciężkich warunków, ale i wśród dni stosunkowo szczęśliwych, pokazać. Tu się nareszcie poznajemy na dobre z Anielką. Postać jéj odporna i bierna nadaje ton całemu tomowi. Wszak dramatyczność polega na ciągłéj niepewności, na którą się stronę szala ostatecznie przechyli. A tutaj w walce dwóch dusz, na którą zewnętrzne wypadki nie wywierają niemal wpływu, zwycięstwo Anielki przeczuwamy z góry. Bije morze o niewzruszoną skałę, ale wiemy, że oczy nasze tego nie zobaczą, iżby się kamień stoczyć miał do fali.

Dopiero trzeci tom sprowadza więcéj postaci i nawał wypadków. Sprowadza Kromickiego, a z nim cały szereg zawikłań i szalonych u Leona pomysłów, zamiarów niegodnéj frymarki i zbrodni. Sprowadza rozpaczliwsze walki z Anielką i coraz większe bole. Komplikuje się to wszystko całą majątkową sprawą Kromickiego, jego śmiercią, stanem Anielki, ucieczką Leona, jego chorobą i złamaniem. Po największéj boleści następuje względne uciszenie i ukojenie. Dni ciche i niesamolubne: roztopienie się w kochaniu, które jest już prawie braterską miłością. Tak przeprowadziwszy swego bohatera przez wszystkie nerwowe udręczenia, tuż obok szaleństwa i zbrodni, ukazuje go nam Sienkiewicz w końcu niemal skruszonym i godnym przedewszystkiém litości. Po boleściach, których widok rozstraja i trwoży, następują cierpienia serdeczne, które wzruszać muszą. Ćmi się chwilami w oczach przy czytaniu ostatniéj

części, tomu i nic mi nie daje wyższego pojęcia o wielkiéj sztuce Sienkiewicza, jak owo wprowadzenie uczucia litości po mękach i po grozie. Występuje tu owa tragiczność, o któréj od Arystotelesa rozprawiają estetycy. I pod wpływem rozrzewnienia, nie spostrzegamy, ani jak nagły jest koniec powieści, ani jak drobną zostawia Anielka Płoszowskiemu spuściznę: jedno słowo „kochałam".

Takie nagłe wydobywanie na wierzch szlachetniejszych uczuć, wśród okropności i mąk, charakteryzuje może wogóle twórczość Sienkiewicza. W „Ogniem i mieczem" bodaj czy nie najpiękniejszą jest ta drobna scena, gdzie pazik, wbrew zakazom, strzela do człowieka, wijącego się na palu. I wódz mu w milczeniu takie litośne nieposłuszeństwo przebacza. Trzeba było—dla czysto artystycznych powodów—uwolnić tego człowieka od męki. I w „Bez dogmatu" trzeba było, kiedy boleść do szaleństwa doszła, rozpostrzéć jakąś wielką łagodność i litość. Wśród uczuć tych ginie okropność samobójstwa Płoszowskiego. Tak giną wszyscy, przez wielkich dramaturgów stworzeni, samobójcy tragedyi.

Płoszowski mówi na wstępie o pisarzach, którym myśl zstępuje prosto przez ramię na papier. Otóż nigdy nie zdaje się ona spływać u Sienkiewicza tak łatwo, jak kiedy ma przedstawiać owe czyste i piękne pragnienia, które w codziennym języku *poetycznemi* zowiemy. Rzekłbyś, że najłatwiéj było mu te ustępy z powieści napisać, w których Leon, opuściwszy Laurę, wyraża swoją tęsknotę za życiem spokojném i lepszém, gdzie czuje potrzebę prawości uczuć, gdzie mu jest cicho, i smutno, i dobrze. Albo te stronice, pełne zwyciężenia samego siebie, po powrocie do Płoszowa, do biednéj Anielki. Jest w tym fakcie coś bardzo charakterystycznego dla naszéj literatury i sztuki, coś nauczającego zarazem. Potrzeba żywotności, obserwacyi, nieubłaganéj prawdy, budzi się u nas coraz więcéj wśród ludzi, i tworzących, i odczuwających. A jednak u wszystkich artystów, którzy nad wyobraźnią obecnego pokolenia panują, okazuje się nieustanna tęsknota do jakiegoś bezwzględnego dobra i niezmąconéj piękności, do jakiegoś zacisza, pełnego idealnych potrzeb i uczuć. Kiedy są podnioślі, bywają najszczersi; po tém poznaję dążność ich i kierunek. Nie chcę doprawdy kuć jakiéjś doktryny, ale fakt stwierdzić mam obowiązek i prawo. Widzę, że uszlachetniają wszyscy ludzką nędzę, ludzką miłość i nienawiść. Czynią to na polu poezyi, jak Słowacki, który się teraz dopiero czytelników doczekał; na polu malarstwa, jak Grottger, Chełmoński lub Malczewski; na scenie, jak Modrzejewska. Są to duchy różnéj siły lotu, ale skoro ujrzą kawał błękitu, widoczny naraz wśród mgławic, wszystkie otwierają łabędzie skrzydła do lotu.

Całe to, zbyt długie, studyum, miało czytelnikowi przypomnieć, ile głębokiéj obserwacyi zawiera najnowsza powieść Sienkiewicza, a stwierdzić zarazem, jaka poezya opanowywała od czasu do czasu autora i przedostawała się przez nawał drobiazgów na światło. Dał on nam więc z jednéj strony całą tę życiową prawdę, za którą tęsknić musimy i mamy prawo, a z drugiéj to, za czém się zachodnie narody oglądają ze smutkiem, jako za dobrem niepowrotném, którego już tam nikt, gdzie zamarło, światu nie powróci.

Dr K. M. Górski.

PIŚMIENNICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

X. dr. Stefan Pawlicki, C. R. Profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, *Historya filozofii greckiéj od Talesa do śmierci Arystotelesa.* Tom I-szy. Dzieło wydane z pomocą Akademii Umiejętności w Krakowie. Kraków. Księgarnia G. Gebethnera i Sp. 1890. in 8°, str. XI i 431.

„Ani praca naukowa, ani życie praktyczne nie mogą odbywać się trybem porządnym, cieszyć się ciągłym, normalnym rozwojem, bez asno sformułowanéj filozofii"... „Kto nie myśli, właściwie nie jest bo życia nie masz bez czynów, a czyny są myśli potomstwem". Temi, równie pięknemi jak i prawdziwemi, słowy, motywuje autor zaraz na wstępie wydanie swego dzieła, mającego być pobudką i zachętą do poważnych studyów filozoficznych, tak bardzo u nas w ostatnich czasach zaniedbywanych. Sto lat temu, mówi autor, pokolenie *Szaniawskich, Śniadeckich, Jarocińskich* i tylu innych, pragnęło dźwignąć z upadku krajową oświatę i pogrążone w apatyi umysły obudzić do nowego polotu zachętą do studyów filozoficznych. Przypuszczali oni słusznie, że filozofia rozproszy u nas bezmyślną obojętność na wszystko, czém żyją i oddychają ludy zachodniéj Europy, że utrzyma naród, duchowo zleniwiały, w pragnieniu ogólno ludzkich ideałów. I w saméj rzeczy, raz poruszona ambicya nie ustała więcéj, a choć głuszona niejednym letargu umysłowego powrotem, przetrwała złe chwile i śmiało zdążała naprzód. Zjawiła się liczna plejada myślicieli, z *Cieszkowskim, Gołuchowskim, Kremerem, Libeltem* na czele, którzy siłę talentu i głębokość nauki wśród niekorzystnych warunków z podziwienia godną ofiarnością składali na ołtarzu szlachetnéj sprawy. Wszędzie za granicą byliby przyjęci skwapliwie, u nas zaś, niestety, łamać się mu-